Snajperzy w Stalingradzie
Krwawe pojedynki sowieckich i niemieckich strzelców

Uciekłem z piekła Korei
Sensacyjny wywiad z ofiarą azjatyckiego bolszewizmu

Masakra białych w Kongu
Kulisy brawurowej operacji belgijskich komandosów w Afryce

NR 7(89)/2020 LIPIEC 2020

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-9155
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Spór o Stanisława Augusta

OSTATNI KRÓL POLSKI

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ANDRZEJ NOWAK „DZIEJE POLSKI TOM 4 – TRUDNY ZŁOTY WIEK”

LATA 1468-1572 – OKRES NAJWIĘKSZEJ ŚWIETNOŚCI RZECZYPOSPOLITEJ. OCZYWIŚCIE NIE BRAKUJE PROBLEMÓW, WOJEN, BUNTUJĄ SIĘ LENNICY, A NA WSCHODZIE ZŁOWIESZCZO RYSUJE SIĘ SYLWETKA MOSKWY DĄŻĄCEJ DO OSIĄGNIĘCIA MIANA IMPERIUM. JEDNAK KORONA I WIELKIE KSIĘSTWO LITEWSKIE WCIĄŻ ROSNĄ W SIŁĘ, TAK SAMO Z RESZTĄ JAK DYNASTIA JAGIELLONÓW. PROCES TEN ZWIEŃCZY UNIA LUBELSKA W 1569 ROKU.

Zaczął się polski złoty wiek. Rozwój kraju jest wszechstronny. Gospodarczemu wzrostowi towarzyszy wciąż udoskonalana polska sztuka wojenna; po paru klęskach maleje znaczenie pospolitego ruszenia, rodzi się husaria niezwyciężona przez następne blisko dwa wieki. Kwitnie Uniwersytet Krakowski ze swym najsłynniejszym wychowankiem Mikołajem Kopernikiem, rozwijają się miasta oraz doskonali się język ojczysty, w którym powstają arcydzieła literackie zachwycające do dziś. Sztuka zaczyna być poważana i ceniona, Wawel jest przebudowywany a Kościół Mariacki w Krakowie zdobi jedno z największych dzieł plastycznych w dziejach świata – ołtarz Wita Stwosza.

Renesans wkracza szeroką ławą w nasze granice, ale jest najczęściej przetwarzany i osiąga oryginalny, rodzimy wymiar. W tym okresie Rzeczpospolita przyciąga naukowców, artystów i rzemieślników z zagranicy, którzy ulegają urokowi polskiej kultury a także polskiej wolności i osiadają tu na zawsze.

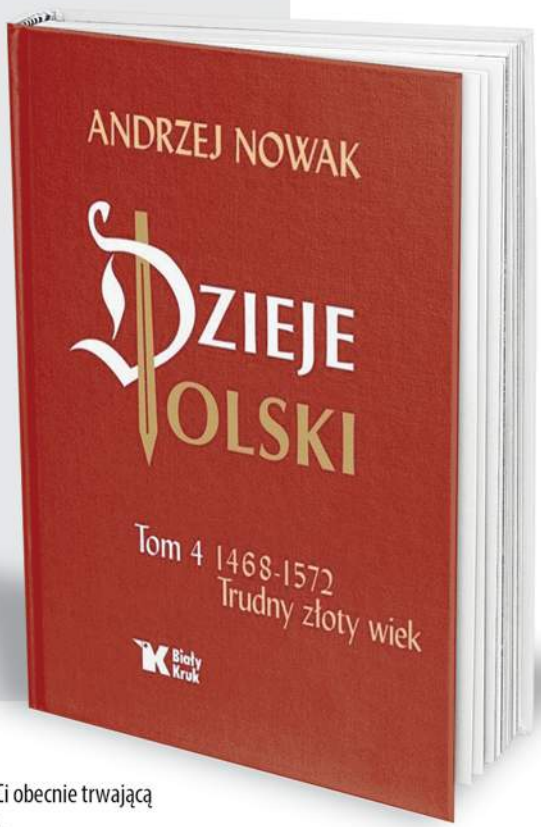

85 zł

oszczędność 102 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 448724bf47

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **MNW**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 27 czerwca 1937 r.

Karol II, król Rumunii, przed kompanią honorową podhalańczyków

FOT. NAC.

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Tragedia ostatniego króla

Żaden polski król nie wzbudza tak wielkich emocji i sporów jak Stanisław August Poniatowski. Jedni widzą w nim nieudacznika, marionetkę w rękach Katarzyny II, człowieka, który przyczynił się do upadku Rzeczypospolitej. Inni z kolei dostrzegają w nim postać tragiczną. Monarchę bez realnej władzy, który – w ramach swoich znikomych możliwości – prowadził dyplomatyczną grę, której celem było ratowanie ojczyzny.

Nie ukrywam, że bliższa mi jest ta druga opinia. Uważam, że ostatni król Polski stał się kozłem ofiarnym, na którego wielu rodaków zrzuciło winę za katastrofę ojczyzny. Zapominają jednak, że Stanisław August Poniatowski nie był – niestety! – monarchą absolutnym. Był słabym władcą elekcyjnym, któremu przyszło „rządzić" złotą demokracją szlachecką.

A więc krajem pogrążonym w całkowitej anarchii. Krajem, w którym zrywano sejmy i który był areną zaciekłych walk stronnictw magnackich oraz koterii. Król pozbawiony był silnej władzy, narzędzi, za pomocą których mógł wyegzekwować swoją wolę. Jego poddani byli pozbawieni dyscypliny, skłonni do warcholstwa, a niechętni do płacenia choćby najniższych podatków na wojsko.

W takich warunkach nawet największy geniusz polityczny i wojskowy nie uratowałby Rzeczypospolitej. Przyczyną klęski ojczyzny naszych przodków nie był więc zły król. Nie był też nią spisek trzech złowrogich mocarstw zaborczych, które po prostu skorzystały z okazji. Przyczyną był głęboki rozkład wewnętrzny, który już od wielu dziesięcioleci trawił Rzeczpospolitą. Jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz w jednym ze swoich artykułów o ostatnim królu: winien był cały naród, a nie tylko on jeden.

Oczywiście król – tak jak każdy człowiek – nie był pozbawiony wad. Nie ma powodu, żeby je ukrywać. Należy jednak również pamiętać o jego zasługach. Instytucjach, które stworzył, budynkach, które postawił. Tragedia ostatniego króla Polski i wielkiego księcia litewskiego była zaś przecież jednocześnie tragedią Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nawet jeżeli nie zgadzamy się z polityką Stanisława Augusta, to pochylmy czoło przed majestatem. I wielkim dramatem człowieka. ©℗

eprasa.pl 448724bf47

/ TEMAT NUMERU

.6 JAN SADKIEWICZ
W obronie Stanisława Augusta

.10 ZOFIA ZIELIŃSKA
Stracił państwo, uratował naród

.14 TOMASZ STAŃCZYK
Stanisław August Odnowiciel

.18 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Porwanie króla

.20 SŁAWOMIR KOPER
Amory z przyszłą carycą

.24 PIOTR ZYCHOWICZ
Królewski pogrzeb po kryjomu

/ FELIETONY

.68 JACEK BARTOSIAK
Polska versus Rosja

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Potwór uczłowieczony

.71 PIOTR SEMKA
Ardyci – sztyletnicy Mussoliniego

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Powroty Adolfa Bocheńskiego

/ KRESY

.72 TOMASZ STAŃCZYK
Męczeństwo i chwała Andrzeja Boboli

/ CZASY I LUDZIE

.28 JAKUB OSTROMĘCKI
Snajperzy w Stalingradzie

.32 MACIEJ ROSALAK
Epidemia w II RP

.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Operacja „Czerwony Smok"

.40 MAREK GAŁĘZOWSKI
Rzucone Virtuti Militari

.44 MIKOŁAJ IWANOW
Polska Republika Sowiecka?

.48 KIM KWANG-JIN
Uciekłem z piekła reżimu Kimów

.51 PIOTR ZYCHOWICZ
Jak Hitler uratował bolszewizm

.54 MARIAN ZACHARSKI
Szwajcarska zbrojna neutralność

.58 PIOTR SEMKA
„Boss" muskularnego miasta

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Popiół i diament Zuzanny Ginczanki

/ BATALIE I WODZOWIE

.76 MACIEJ ROSALAK
Król Trędowaty zwycięża Saladyna

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Wybuch na zamku

eprasa.pl 448724bf47

100. ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 ROKU PAMIĘTAJMY O BOHATERACH

Sto lat temu Polacy pokonali Armię Czerwoną... Poznaj historię jednej z przełomowych bitew w dziejach świata i wielkiego zwycięstwa nad bolszewikami!

W tym wyjątkowym albumie upamiętniającym Bitwę Warszawską odnajdziesz pełną pasji opowieść o wojnie polsko-bolszewickiej, archiwalne fotografie, mapy i plany działań zbrojnych. To opowieść nie tylko wojenna – autor Tymoteusz Pawłowski przybliża sytuację polityczną, społeczną i gospodarczą, oddając w pełni atmosferę, jaka panowała w ówczesnej Polsce.

Album jest wspaniałym prezentem dla pasjonatów historii, idealną pozycją dla każdego, kto pielęgnuje pamięć o bohaterach tamtych wydarzeń.

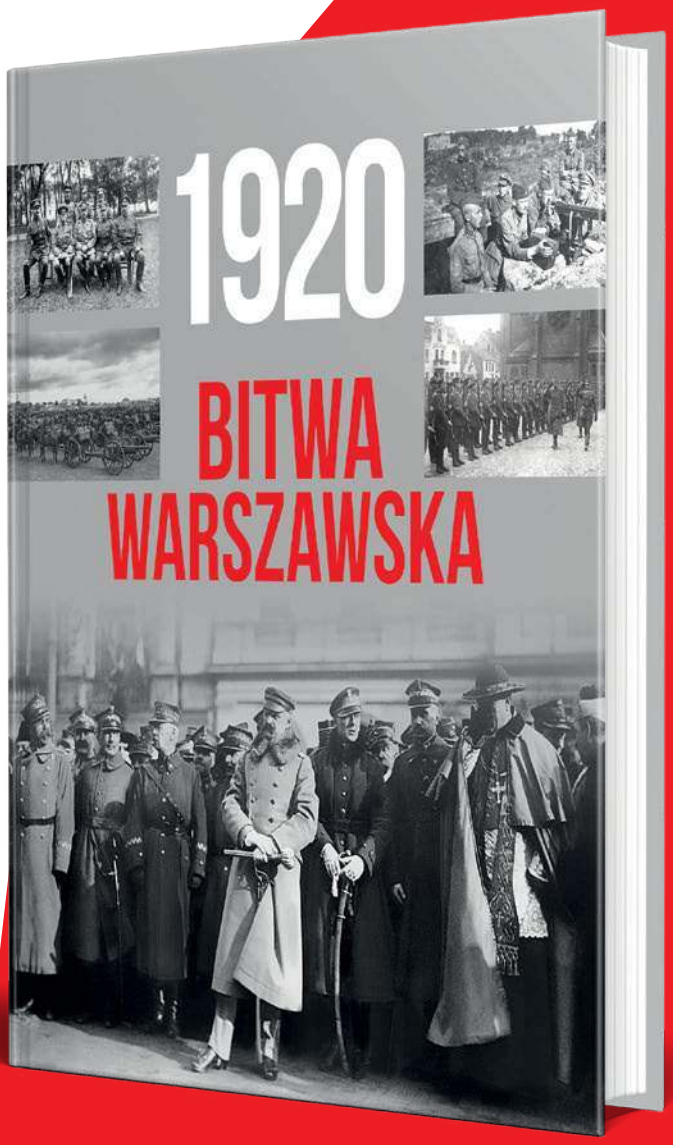

KSIĄŻKA DOSTĘPNA W DOBRYCH KSIĘGARNIACH STACJONARNYCH I INTERNETOWYCH ORAZ SALONACH EMPIK
WWW.WYDAWNICTWOSBM.PL

ZAPRASZAMY DO KONTAKTU BIBLIOTEKI, INSTYTUCJE, FIRMY
SBM@WYDAWNICTWO-SBM.PL

eprasa.pl 448724bf47

Jan Sadkiewicz

1732–1798 / Program polityczny ostatniego króla Polski

W obronie Stanisława Augusta

Ten król nie zastąpi w naszym panteonie wielkich wodzów ani bohaterskich powstańców, ale powinien zająć wśród nich należne mu miejsce, jako reprezentant rozumu politycznego

W maju 1981 r. zorganizowano w Warszawie dyskusję pt. „Sąd nad królem Stanisławem Augustem". Atmosfera zgromadzenia była gorąca, a jeden z uczestników podsumował ją słowami: „To nie był sąd nad królem, ale pluton egzekucyjny". Zdanie to dość trafnie oddaje bilans jednego z najbardziej doniosłych polskich sporów. Tylko pozornie chodzi w nim bowiem o postać historyczną – w rzeczywistości dotyczy on tego, jak Polacy chcą postrzegać swoją historię i siebie samych.

W sporze tym chętnie staję po stronie Stanisława Augusta. Co prawda wycieczka w wiek XVIII ma swój gorzki wymiar – o upadku I Rzeczypospolitej trudno myśleć bez poczucia wstydu. Jednak kojąco wpływa świadomość, że mieliśmy też w swych dziejach człowieka, który potrafił tak myśleć politycznie i który swymi działaniami tyle argumentów zostawił swoim obrońcom.

Nie chcę przy tym bronić Stanisława Augusta jako „ministra kultury". Nie odmawiam mu bynajmniej zasług na tym polu i ich znaczenia dla umocnienia polskiej tożsamości narodowej. Niemniej twierdzenie, jakoby król, nie zdoławszy ocalić kraju przed rozbiorami, pozwolił narodowi przetrwać 123 lata niewoli, wydaje mi się przesadzone. Jako linii obrony nie przyjmuję także: „Stanisław August (współ)twórcą Konstytucji 3 maja". Nie mam zamiaru zaprzeczać twierdzeniom, że ustawa rządowa była znakomicie napisana i miała uczynić

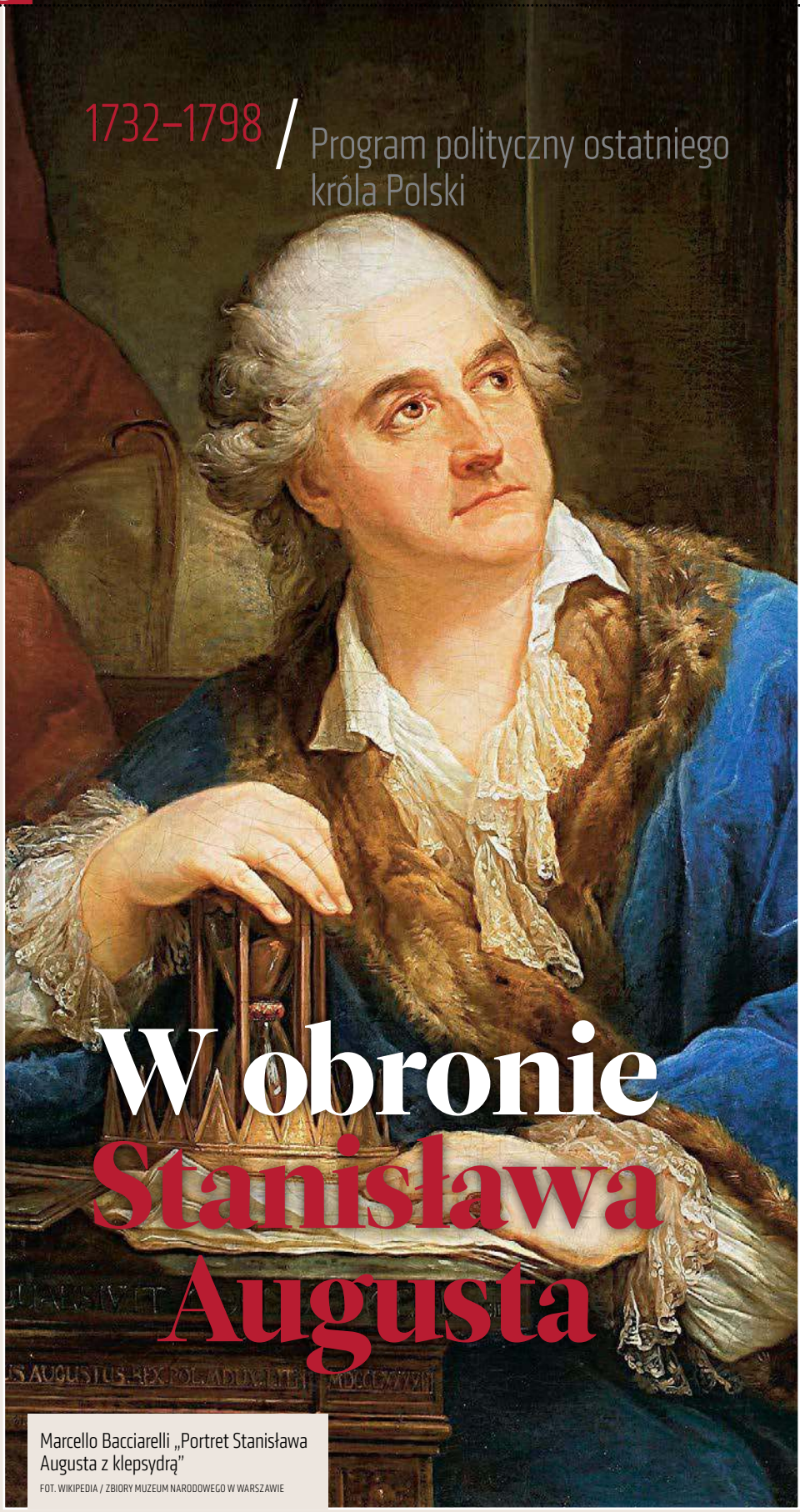

Marcello Bacciarelli „Portret Stanisława Augusta z klepsydrą"

FOT. WIKIPEDIA / ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

eprasa.pl 448724bf47

z Rzeczypospolitej sprawnie rządzoną, sprawiedliwą dla swoich obywateli i zdolną oprzeć się zewnętrznym zagrożeniom monarchię konstytucyjną. Rzecz w tym jednak, że dopiero miała uczynić. Nie wiemy, jak sprawdziłaby się na dłuższą metę, a jej krótki żywot każe nam pamiętać, że najdoskonalsze prawa na niewiele się zdadzą, jeśli nie stoi za nimi siła.

Plan strategiczny

Chcę bronić Stanisława Augusta jako stratega politycznego. Domyślam się, jak dziwnym pomysłem może się to wydawać czytelnikowi. Kiedy wspominamy myśl strategiczną I Rzeczypospolitej, przed oczami stają nam przede wszystkim jej wielcy wodzowie: Tarnowski, Zamoyski, Żołkiewski, ze wszystkimi swoimi wojennymi atrybutami – a nie ten słabowity paniczyk w zachodnim stroju, lepiej władający piórem niż szablą. A jednak będę bronił tezy, że wbrew tym pozorom Stanisław August rozumiał – jak mało kto w naszych dziejach – uwarunkowania geopolityczne, mechanizm równowagi sił, dynamizm stosunków międzynarodowych, naturę potęgi i ograniczenia, którym podlega polityk. Potrafił odczytywać interesy mocarstw i przewidywać ich działania. Podjął grę o ocalenie państwa i prowadził ją w sposób, który do dziś robi wrażenie, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, w jak trudnych warunkach przyszło mu działać.

Oceniając Stanisława Augusta, trzeba bowiem zawsze pamiętać o tym, że państwo, na którego tronie zasiadł, było przeraźliwie słabe. Głęboką przyczyną tego stanu rzeczy był ustrój wewnętrzny, który nie pozwalał przekuć potencjału terytorialnego, demograficznego i ekonomicznego na realną siłę. Słabość państwa była zresztą funkcją słabości instytucji monarchy. Król polski nie dysponował liczącą się armią ani skarbem, ani administracją, ani służbą dyplomatyczną. W porównaniu z mocą sprawczą współczesnych mu monarchów europejskich jego władza była praktycznie żadna. Nie mógł nic zrobić bez zgody Sejmu, a tam zarówno obcy ambasadorowie, jak i przerażeni widmem absolutyzmu rodzimi posłowie uważnie pilnowali, by nie powiększył swoich uprawnień.

Mapa Rzeczypospolitej z 1696 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Gdyby tego wszystkiego było mało, szlachta uważała ustrój Rzeczypospolitej za najdoskonalszy na świecie, a gwarancji bezpieczeństwa zewnętrznego upatrywała naiwnie w przekonaniu, że rywalizacja sąsiadów o potęgę powstrzyma ich od antypolskiej współpracy.

Stanisław August o wiele inteligentniej postrzegał międzynarodowe położenie państwa, biorąc pod uwagę zarówno uwarunkowania geograficzne, jak i istniejącą równowagę sił. Za największego wroga uważał Prusy. Wystarczał jeden rzut oka na mapę Europy Środkowej połowy XVIII w., by spostrzec, że strategicznym celem Hohenzollernów musiało być scalenie dwóch części ich państwa: Prus Książęcych i Brandenburgii, rozdzielanych polskimi Prusami Królewskimi. Jeżeli Prusy nie mogły tego uczynić, mimo słabości Rzeczypospolitej, to dlatego, że nie zgadzała się na to silniejsza od nich Rosja, uważająca Polskę za swoje faktyczne lenno i niezamierzająca dzielić się nim z innymi mocarstwami, tym bardziej że na rozbiorze Polski zyskałaby relatywnie najmniej, zagarniając słabo zaludnione ziemie litewskie i ukraińskie, a oddając rywalom najbogatsze prowincje zachodnie. Rosja nie mogła sobie jednak pozwolić na aneksję całości Rzeczypospolitej, przede wszystkim z powodu sprzeciwu Berlina i Wiednia, które nie chciałyby takiego wzmocnienia potęgi Romanowów. O polityce Austrii z kolei decydował jej antagonizm z Prusami, które niedawno odebrały jej Śląsk i kwestionowały jej dominującą pozycję w Rzeszy. Stąd Austrii zależało na udaremnieniu ewentualnych nabytków terytorialnych Prus w Polsce; jeśli jednak takich nie dałoby się powstrzymać, to musiała dążyć do uzyskania należnej rekompensaty, aby równowaga sił nie została naruszona.

Rozumiejący te niuanse sytuacji międzynarodowej Stanisław August miał w chwili wstąpienia na tron gotowy plan wydobycia państwa z zacofania i ze słabości. Skoro decydujące słowo w sprawach Polski ma Rosja – rozumował król – to nie wolno nam w żadnym razie pozwolić sobie na pogorszenie z nią relacji. Przeciwnie, powinniśmy jej zaoferować sojusz i pomoc w jej przedsięwzięciach międzynarodowych, a w zamian za to uzyskać zgodę Katarzyny na reformy wewnętrzne i stopniowe wzmocnienie państwa, tak aby w kolejnych rozdaniach móc licytować coraz wyżej i wyżej. Stanisław August wiedział, że będzie to wymagało czasu, usilnej pracy i pokory. „Trzeba mi odwagi – pisał trzy dni po koronacji – aby wszystko przedsięwziąć, bo wszystko jest do zrobienia w mojej

eprasa.pl 448724bf47

Bernardo Bellotto zw. Canaletto „Elekcja Stanisława Augusta" FOT. WIKIPEDIA

ojczyźnie, i trzeba mi cierpliwości, a nawet rezygnacji, aby nie obiecywać sobie innej nagrody dla mojej pracy niż wiara, że kto inny zbierze po mojej śmierci owoce z drzewa, które sadziłem. Bo nie można zrobić szybko i dobrze wielkich rzeczy w kraju osłabionym przez swawolę i nieporządek dwóch stuleci [...] i który otoczony jest sąsiadami zazdrosnymi i mocnymi".

Przykra lekcja

Wbrew stereotypowi Stanisław August nie był bezwolnym narzędziem Katarzyny. Wręcz przeciwnie, liczył na to, że jako były kochanek władczyni Rosji łatwiej uzyska jej zgodę na naprawę Rzeczypospolitej. Niestety, Katarzyna również nie kierowała się sentymentem. Cesarzowa i jej doradcy, owszem, rozumieli, że rozbiór Polski nie leży w ich interesie, ale też zdawali sobie sprawę, jakim niebezpieczeństwem dla Rosji byłoby wzmocnienie bezpośredniego sąsiada. Przyzwolenie na reformy było więc bardzo ograniczone, a w zamian domagano się ściślejszego podporządkowania. Gdy Stanisław August okazał się zbyt samodzielny, Katarzyna zwróciła się ku antykrólewskiej opozycji, przy pomocy której cofnęła część wprowadzonych jeszcze w czasie bezkrólewia reform i zastopowała dalsze.

Teraz jednak z kolei Rosjanie popełnili błąd. Poczynając sobie zbyt brutalnie, wywołali reakcję w postaci konfederacji barskiej. Po czterech latach beznadziejnych zmagań i nieudanych prób pacyfikacji Rzeczypospolitej Katarzyna, uwikłana dodatkowo w wojnę z Turcją, musiała pogodzić się z koniecznością podzielenia się polskim tortem z Prusami i Austrią. Nastąpił I rozbiór.

Okres ten był dla Stanisława Augusta wielką lekcją i domknął jego ewolucję jako polityka. Król uświadomił sobie w pełni przewagę Rosji nad Polską i niemożliwość zrzucenia protektoratu siłą. Pojął też siłę oporu społeczeństwa polskiego wobec reformowania i wzmacniania państwa. Zrozumiał wreszcie złudność nadziei na pomoc innych mocarstw: Francji, Austrii czy Wielkiej Brytanii, którym kłopoty Rosji w Polsce mogły być okazjonalnie na rękę, ale które nie miały zamiaru Polski spod rosyjskiej dominacji uwalniać. Teraz dopiero przed oczyma Stanisława Augusta stanęła w całej pełni trudność zadania, którego się podjął.

Nic dziwnego, że towarzyszyła mu myśl o abdykacji. Zwyciężyło jednak poczucie odpowiedzialności za państwo. Stanisław August wiedział, że na tronie zastąpić mógłby go tylko ktoś gorszy. Świadomie przyjął na siebie poniżenie, aby oszczędzić większych klęsk krajowi. Wyciągnął wnioski z pierwszych niepowodzeń i na przeszło sto lat przed Koźmianem wstąpił na drogę wskazaną przez tego teoretyka realizmu politycznego: „Zawsze i wszędzie robić to, co się da w istniejących warunkach i otaczających naród okolicznościach, w przekonaniu, że zawsze coś zrobić się da, ale robić to tylko, co się da".

Wielki program reform z początku panowania zastąpiło uporczywe targowanie się o drobiazgi z ambasadorem rosyjskim i nieprzejednaną opozycją sej-

eprasa.pl 448724bf47

mową. Większość tych targów Stanisław August przegrywał, co bynajmniej nie przynosi mu ujmy. Świadczy raczej o tym, że król nie zmarnował żadnej okazji, by spróbować naprawy takiego czy innego aspektu funkcjonowania państwa, ale też nigdy nie posunął się do zbyt dużego ryzyka. Wiedział, że nie dysponuje siłą, więc jeżeli napotykał opór, to cofał się i próbował gdzie indziej.

Ta strategia dawała efekty. Powolny postęp był widoczny na wszystkich polach: gospodarki, administracji, kultury, oświaty, przede wszystkim jednak w dziedzinie wychowania obywatelskiego. Dzięki zręcznej propagandzie króla szerzyło się przekonanie o konieczności reform i wydobycia Polski ze stuletniego zacofania. Dojrzewało nowe pokolenie, bardziej patriotyczne i lepiej wykształcone. Pozostawało tylko czekać na poprawę koniunktury międzynarodowej.

Złudna okazja

Wydawało się, że dogodna okazja przyszła w 1778 r. wraz z wybuchem kolejnej wojny austriacko-pruskiej. Kolejną szansą zdawało się zaostrzenie stosunków rosyjsko-tureckich w latach 1782–1784. W obu przypadkach próby aktywizacji politycznej Polski spaliły jednak na panewce. Król był jednak cierpliwy. Wiedział, że słabe państwo nie może ryzykować swego istnienia dla niewczesnych nadziei. Rozumiał także, że polityka jest dziedziną dynamiczną i kolejne szanse przyjść muszą.

Wreszcie w 1787 r., w obliczu kolejnej wojny z Turcją, Katarzyna zgodziła się, acz niechętnie, rozpocząć negocjacje w sprawie przymierza, a rok później zezwoliła na sejm skonfederowany. Poróżnione z Rosją Prusy wystąpiły ze swoją ofertą sojuszu. Rozpoczynała się nowa rozgrywka o los Rzeczypospolitej, do której król przystępował bogatszy o doświadczenia sprzed 20 lat.

Stanisław August wiedział, po jak cienkim lodzie stąpa. Chciał kontynuacji strategii małych kroków, utrzymania dobrych stosunków z Rosją i uzyskiwania jej akceptacji dla reform i powiększenia armii. Poprawa koniunktury międzynarodowej i pozorne osłabienie Rosji oszołomiły jednak posłów sejmowych. Na Sejmie Czteroletnim król starł się już nie ze stronnictwem archaicznej „złotej wolności", jak u progu panowania, ale z patriotycznym stronnictwem reform. Obu stronom przyświecał teraz ten sam cel – wzmocnienie państwa. Różniły się jednak metodami. Historia tych zmagań pozostaje niezastąpioną lekcją, jak robić politykę, a jak jej nie robić.

Stronnictwo patriotyczne uznało sojusz z Prusami za znakomitą okazję do uwolnienia się od rosyjskiej dominacji. Stanisław August rozumiał, że pruska oferta to pułapka, że niezależnie od taktycznych kombinacji pruskich ministrów strategicznym celem Berlina pozostaje uzyskanie kolejnych nabytków terytorialnych kosztem Polski, a oddalenie Rzeczypospolitej od Rosji przybliża chwilę nowego przymierza rosyjsko-pruskiego.

Patriotyczni posłowie i ich naśladowcy prześcigali się w ubliżaniu i uprzykrzaniu życia rosyjskiemu ambasadorowi. Stanisław August, który sam przez wiele lat musiał znosić upokorzenia ze strony Stackelberga, przestrzegał przed drażnieniem Rosji, za które w przyszłości może przyjść drogo zapłacić. Król tłumaczył, że nawet zwolennicy sojuszu z Prusami nie powinni odżegnywać się od porozumienia z Rosją, bo im lepsze będą stosunki polsko-rosyjskie, tym korzystniejsze warunki będzie musiał Polakom zaproponować Berlin. Starał się sprowokować licytację sprawy polskiej między mocarstwami. Nie uważał, że im bardziej nieprzejednani będziemy wobec potencjalnego przeciwnika, tym mocniejsza będzie nasza pozycja u potencjalnego sojusznika.

Awers złotej monety (3 dukaty) FOT. WCN.PL

Kiedy stało się jasne, że stronnictwo patriotyczne nie da się odwieść od przymierza z Prusami, Stanisław August sprzeciwiał się uchwale o integralności terytorialnej Rzeczypospolitej. Rozumiał bowiem, że jeśli sojusz z Berlinem przeciw Rosji ma mieć sens, to trzeba zapłacić za niego Gdańskiem i Toruniem. Król wiedział, że w polityce nie da się uniknąć wyborów między większym a mniejszym złem i lepiej zrezygnować z jednego miasta czy dwóch, których i tak się nie da utrzymać, niż doprowadzić do zupełnego rozbioru państwa.

Król wiedział także, że integralności państwa bronią nie uchwały, lecz armia. Kiedy uniesieni patriotycznym zapałem posłowie uchwalili zwiększenie armii do 100 tys. żołnierzy, gasił entuzjazm, przypominając, że na tę obecną na razie na papierze armię trzeba jeszcze uchwalić fundusze. Ostatecznie zdołano powołać pod broń zaledwie 60 tys. Przy tym wszystkim król starał się prowadzić swoją grę subtelnie, szanując nastroje społeczeństwa. Wiedział, że nie wystarczy mieć racji, trzeba jeszcze umieć do niej przekonać. Jego racjonalne argumenty przegrywały jednak z reguły z patriotycznym frazesem.

Klęskę 1792 r., przed którą przestrzegał, zrzucono oczywiście na niego – bo nie dołączył do armii, bo przystąpił do targowicy. Król rozumiał jednak, że manifestacyjnymi posunięciami nie da się odwrócić skutków przegranej wojny. Był rasowym politykiem i do końca chciał działać politycznie, tylko instrumentów działania nie miał już prawie żadnych. Wstręt do patetycznych gestów nie pozwolił mu zapewnić sobie jakiegoś alibi przed historią. Walkę o miejsce w pamięci zbiorowej Polaków przegrał z Rejtanem i Kościuszką.

Czy gdyby miał większą władzę, albo bardziej zdyscyplinowane społeczeństwo, zdołałby uchronić Polskę przed ostatecznym upadkiem? Na to pytanie nigdy nie odpowiemy, gdyż scenariusza historycznego nie da się rozegrać jeszcze raz, ale też nie o to w takich rozważaniach chodzi. Symboliczna rehabilitacja Stanisława Augusta, kiedy się wreszcie dokona, będzie rehabilitacją cnót politycznych, które reprezentował: cierpliwości, pokory, heroizmu codziennej pracy zamiast jednorazowych zrywów, odpowiedzialności za skutki, a przede wszystkim umiejętności dostosowania polityki do istniejących możliwości. I nie chodzi tu o to, by król zastąpił w naszym panteonie wielkich wodzów czy bohaterskich powstańców, ale by zajął wśród nich należne mu miejsce, jako reprezentant rozumu politycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Wywiad / Z prof. Zofią Zielińską, badaczką dziejów XVIII w.

rozmawia Piotr Włoczyk

Stracił państwo, uratował naród

– Nie było szans na wzmocnienie państwa i utrwalenie jego bytu politycznego. Stanisław August zdołał jednak odrodzić społeczeństwo, przekształcił Sarmatów w nowoczesny, oświecony naród – mówi prof. Zofia Zielińska

PIOTR WŁOCZYK: Czy ktokolwiek inny na tronie Rzeczypospolitej mógł uratować kraj przed upadkiem?

PROF. ZOFIA ZIELIŃSKA: Przypomnijmy, że Polska utraciła suwerenność na rzecz Rosji już w początkach XVIII w., a spektakularnym tego dowodem stała się przedostatnia wolna elekcja. W 1733 r. 12,5 tys. elektorów wybrało Stanisława Leszczyńskiego. W odpowiedzi na to do Polski wkroczył 30-tysięczny korpus rosyjskich wojsk i w ciągu dwóch lat pokonał walczący w obronie legalnego króla naród, narzucając mu Augusta III. To jest miara niesuwerenności i słabości ówczesnej Rzeczypospolitej.

I powiedzmy od razu, że po roku 1733 każdy polski elekt byłby elektem z rosyjskiej łaski. Takim stał się też Stanisław August. A jednak w skrajnie niekorzystnej sytuacji, w jakiej przyszło mu panować, dokonał bardzo wiele. Wydaje się, że wobec solidarnego czuwania Rosji i Prus nad tym, by nie dopuścić do odrodzenia Polski (przy czym decyzje należały do imperium), nie było szans na wzmocnienie państwa i utrwalenie jego bytu politycznego. Stanisław August zdołał jednak odrodzić społeczeństwo, przekształcił Sarmatów w nowoczesny, oświecony naród. Naród świadomy własnych zadań, mający szacunek dla siebie i polskiego dziedzictwa. Podstawą odrodzenia i nowego myślenia o Polsce stały się przede wszystkim dokonania na Sejmie Czteroletnim.

Które wydarzenia z okresu panowania ostatniego króla są według pani jego najlepszymi obrońcami przed czarną legendą człowieka, który cały czas był bezwolną marionetką carycy?

Przeznaczając swego byłego kochanka do tronu w Polsce, Katarzyna II zakładała, że będzie jej w pełni uległy. Wiedziała, że Stanisław August nie tylko nie należał do żadnej europejskiej dynastii, a więc nie miał wsparcia zagranicznego, lecz także w Rzeczypospolitej był relatywnie słaby. To nie on bowiem, tylko jego dwaj wujowie Czartoryscy przewodzili dużemu stronnictwu – Familii. Zawdzięczając wszystko Rosji, miał w rachubach imperatorowej realizować wszystkie jej żądania.

Niebawem po elekcji rosyjska władczyni zrozumiała, jak bardzo się pomyliła. Nie doceniła reformatorskiej determinacji króla i Czartoryskich. Gdy w 1766 r. Warszawa podjęła próbę definitywnego obalenia liberum veto, Petersburg zagroził wojną. Polska miała armię kilkunastotysięczną – słabo uzbrojoną i niewyćwiczoną – a Rosja mogła

eprasa.pl 448724bf47

Jan Matejko „Konstytucja 3 maja 1791 r."
FOT. WIKIPEDIA/ ZBIORY ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE

w każdej chwili wystawić ponad 100 tys. wojska. W tej sytuacji reformatorzy skapitulowali, veto zostało utrwalone. Dopiero wówczas król i Czartoryscy zdali sobie sprawę, że Rosja była odrodzeniu Rzeczypospolitej równie wroga jak Prusy; wcześniej patrzyli na Katarzynę – Niemkę z pochodzenia – jak na oświeconą Europejkę, która pozwoli Polsce na kontrolowane dźwignięcie się z upadku. Kryzys zakończył się I rozbiorem (1772), stanowiącym karę za reformy.

Rzeczpospolita znalazła się w skrajnie trudnej sytuacji, na horyzoncie nie było widać właściwie żadnego sojusznika.

Stanisław August nie skapitulował jednak, nie porzucił ani steru państwa, ani walki o odrodzenie Polski. Natomiast przyswoił sobie zasadę wyboru mniejszego zła. Tam, gdzie nie widział szans na sukces, ustępował Rosji, nie ryzykując narażania państwa i często uzyskując to, co było możliwe. Bardzo szybko podnosił się psychicznie po klęskach i nie gasła w nim wiara, że uda mu się Polskę zmienić i ocalić. Na sejmie rozbiorowym (1773–1775) w zamian za legalizację rozbiorów wywalczył Komisję Edukacji Narodowej. Wielką nadzieję pokładał w „oświeceniu umysłów", w wychowywaniu młodego pokolenia. Już w 1765 r. stworzył przecież Szkołę Rycerską, by kształcić kadry wyższych urzędników i oficerów. Okres między I rozbiorem a Sejmem Wielkim (1788–1792) to czas wielkiej reformy oświatowej, ale również odbudowy gospodarczej i społecznej kraju w takim zakresie, w jakim pozwalała na to Rosja. Dzięki szkolnictwu stworzono kadry do wielkiej reformy politycznej, która dokonana została na Sejmie Wielkim i zwieńczona Konstytucją 3 maja (1791). Przypomnijmy, że jej autorem był Stanisław August.

Stanisław August nie kapitulował? Abdykacja nie była całkowitą kapitulacją z jego strony?

Oczywiście była, ale doszło do niej w roku 1795, 23 lata po I rozbiorze. Przejdziemy do tej sprawy, ale najpierw dokończmy wątek osiągnięć ostatniego króla.

Historycy są chyba dosyć zgodni w twierdzeniu, że Rzeczpospolita z 1764 r., gdy Stanisław August obejmował tron, w porównaniu z Rzecząpospolitą w dobie reform Sejmu Wielkiego to niemal dwa różne państwa.

Pod kierunkiem władcy, świadomie do tego dążącego, w ciągu niemal ćwierćwiecza udało się znacząco zmienić społeczeństwo, odbudować gospodarkę i do pewnego stopnia instytucje państwowe. Obok reformy oświatowej wspomnijmy o zmianach społecznych. Stanisław August, całe życie nieprzychylnie nastawiony do magnatów, starał się redukować siłę oligarchów, czynić Polskę naprawdę rzecząpospolitą szlachecką, w której to szlachta średnia uzyskałaby dominujący wpływ na kraj. Władca na ważne stanowiska wprowadzał osoby spoza kręgu magnackiego, nad których wykształceniem sam wcześniej czuwał. Do tej zmiany społecznej na Sejmie Czteroletnim doszła druga – uczynienie z mieszczan stanu współrządzącego ze szlachtą, mającego realny wpływ na ustawodawstwo.

Dla chłopów zrobiono najmniej – sprawa wsi była węzłem gordyjskim I Rzeczypospolitej, bo poprawa sytuacji poddanych musiała oznaczać pauperyzację szlachty średniej. A to ona miała być i stawała się w koncepcji króla podmiotem polskiej demokracji. Ten dylemat – jak poprawić los chłopów, nie degradując społeczności szlacheckiej – przetrwał upadek państwowości i pozostał palący także w XIX w.

Co wybija się na pierwszy plan w sprawie reform politycznych? I w jakim stopniu ustrój wprowadzony 3 maja 1791 r. zbliżał się do monarchii brytyjskiej, która, jak wiadomo, od czasu młodzieńczych podróży Stanisława Augusta stanowiła jego ideał?

Już w 1764 r. Stanisław August i Czartoryscy ograniczyli potęgę magnatów -ministrów, tworząc komisje skarbowe i wojskowe w miejsce jednoosobowych ministerstw. Na sejmie rozbiorowym (1773–1775) Rosja narzuciła nam centralną instytucję wykonawczą – Radę Nieustającą. Dzięki ustępstwom króla w sprawie uznania zaborów Rada została przekształcona tak, że władzy monarchy nie krępowała, stała się natomiast wędzidłem dla magnatów-ministrów i pierwszym kolegialnym polskim rządem. Liberum veto udało się znieść dopiero na Sejmie Czteroletnim. Konstytucja 3 maja dawała nieporównanie silniejszą niż wcześniej władzę królowi. Polska pomajowa to monarchia konstytucyjna – kraj, w którym niemalowany król uzyskiwał silną pozycję w rządzie, nazwanym wówczas Strażą Praw. Rząd ten pozostawał odpowiedzialny przed sejmem i granice jego działania zakreślała konstytucja. Sporo nas jeszcze dzieliło od ideału oświeconych – monarchii angielskiej – ale w tym kierunku podążaliśmy.

Jak zmieniał się stosunek polskiego społeczeństwa do ostatniego króla w ciągu ostatnich dwóch stuleci? Pamiętajmy, że gdy w 1938 r. Sowieci zwrócili Polsce trumnę z prochami Stanisława Augusta, nie zdecydowano się na pochówek na Wawelu. Zamiast tego szczątki ostatniego króla Polski złożono po cichu, nocą, w kościele w Wołczynie pod Brześciem Litewskim, gdzie monarcha się urodził...

Profesor Andrzej Zahorski napisał całą książkę na temat sporu o dziedzictwo Stanisława Augusta. W 1818 r., a więc 20 lat po śmierci ostatniego władcy Rzeczypospolitej, Joachim Lelewel skreślił pierwszy zarys jego rządów. Tam jeszcze obraz monarchy był pozytywny. Od lat 30. XIX w.

eprasa.pl 448724bf47

Tadeusz Kościuszko i ks. Józef Poniatowski odbierają defiladę po bitwie pod Zieleńcami, obraz Wojciecha Kossaka FOT. WIKIPEDIA

zaczęła przeważać „czarna legenda" ostatniego króla.

Dlaczego tak się stało?

Poniekąd z króla uczyniono kozła ofiarnego. Chciano wierzyć, że jeżeli na czele narodu stałby inny władca, to Polska mogła się przed upadkiem państwowości uratować. A skoro u podstaw klęski leżała tak przypadkowa przyczyna, to łatwo da się odzyskać niepodległość. Niestety, rzeczywistość była dużo bardziej złożona.

Przyczyną drugą niesprawiedliwego osądu Stanisława Augusta była niedostępność materiałów, które pozwoliłyby realistycznie ocenić jego panowanie. Archiwalia ostatniego króla zostały rozproszone. Część pozostawała w Rosji, część zaginęła. Przełom w ocenie władcy nastąpił w latach 80. XIX w. Wówczas to historyk Walerian Kalinka opublikował trzytomowe dzieło – „Sejm Czteroletni". Widać tam było, ile Stanisław August zrobił w ciągu tych czterech lat, stanowiących zresztą plon całego panowania. Kalinka sam okazał się poniekąd niegotowy na tak pozytywny obraz monarchy, w publicystycznej warstwie książki, gdy odchodził od źródeł na rzecz snucia własnych rozważań, sam mu nieraz zaprzeczał. Jednak przełom został dokonany.

Jak to wyglądało w późniejszych latach?

Rewolucja nastąpiła po pierwszej wojnie światowej, gdy dostępna się stała duża partia archiwum Stanisława Augusta. Część wróciła do Polski w wyniku rewindykacji po traktacie ryskim, inną zakupiono od prywatnych właścicieli, ale uporządkowanie tych zbiorów trwało długo. Po drugiej wojnie trafiły też do rąk badaczy archiwalia Potockich, czołowego rodu opozycyjnego, kluczowe zwłaszcza dla zrozumienia roli króla na Sejmie Czteroletnim. Dzięki tym aktom prof. Emanuel Rostworowski stworzył zupełnie nowy obraz monarchy w opublikowanym w 1966 r. „Ostatnim królu Rzeczypospolitej". Z kolei w 2009 r. ukazała się niezwykle esencjonalna biografia Stanisława Augusta pióra prof. Jerzego Michalskiego, podsumowująca współczesną wiedzę o władcy czasów tragicznych.

Mam wrażenie, że teza o Stanisławie Auguście jako królu przez całe życie skrajnie uległym Katarzynie II wciąż jednak dominuje w naszym społeczeństwie.

Ludzie powtarzają, że monarcha płaszczył się przed rosyjską imperatorową całe życie, bo ją kochał i był przez nią opłacany. To nie tylko zasadnicze uproszczenie, lecz także fałsz. Miłość, jak wiemy, skończyła się przed uzyskaniem tronu. Wkładając koronę, król miał natomiast nadzieję, że dawna znajomość ułatwi mu porozumienie z imperatorową. Tutaj się boleśnie rozczarował.

Jego przeciwnicy przywołują listy do Katarzyny, w których nietrudno dostrzec daleko posunięte podporządkowanie się Katarzynie...

Owszem, są takie listy, zwłaszcza z roku 1762, gdy Katarzyna została imperatorową. Stanisław łudził się, że caryca wezwie go do Petersburga i poślubi. Definitywny dowód na to, że przestał się dla niej liczyć, uzyskał w maju 1764 r., czyli przed elekcją (odbyła się 7 września 1764 r.). Natomiast uległy ton w listach polskiego króla do rosyjskiej imperatorowej wynikał z sytuacji naszego państwa. Nie byłoby roztropne, gdyby – zwłaszcza po doświadczeniu rozbiorowym – król formą listów ryzykował niepotrzebne narażanie Rzeczypospolitej Rosji.

Korespondencja Stanisława Augusta z Katarzyną II – w całości wydana – pokazuje, że przy stwarzającym pozory uległości tonie monarcha walczył w owych listach o zdobycie tego, co było w warunkach dysproporcji sił między Rzecząpospolitą a Imperium Rosyjskim możliwe. Notabene warto porównać, jak płaszczył się przed Katarzyną II i pochlebiał jej władca państwa o wiele od Polski silniejszego – Fryderyk Wielki.

Przystąpienie króla do targowicy to bodaj najbardziej kontrowersyjny – obok abdykacji – rozdział jego rządów. Jak to oceniać?

Powinniśmy to oceniać tak samo jak wszystkie jego ustępstwa, gdy kapitulował z części spraw po to, by uchronić to, co było możliwe. W 1792 r., w obliczu przegrywanej wojny z Rosją, polscy przywódcy zwrócili się do Katarzyny II z prośbą o rozejm. Imperatorowa jako warunek postawiła przystąpienie króla do targowicy. A ustnie jej dyplomata w Warszawie uprzedził, że jeśli nie zostanie to uczynione natychmiast, to dojdzie do kolejnego rozbioru. Stanisław August po naradzie ze swoimi najbliższymi współpracownikami, którzy stosunkiem głosów 8:5 opowiedzieli się za akcesem, przystąpił do konfederacji. Liczył, że Polska nie tylko uniknie dzięki temu rozbioru, lecz także że jemu samemu uda się przejąć ster targowicy z rąk jej twórców. To okazało się nierealne. A mimo kolosalnego upokorzenia, jakiego doznał władca, przystępując do zdradzieckiej konfederacji, Polska i tak została rozebrana.

eprasa.pl 448724bf47

Pewnie wielu dzisiejszych patriotów wolałoby, żeby ostatni król Rzeczypospolitej jednak tego nie zrobił...

Tylko że on odpowiadał za państwo. Trzeba je było ratować za wysoką cenę, tym bardziej że w obliczu rosyjskiej inwazji w 1792 r. nasz sojusznik – Prusy – odmówiły Rzeczypospolitej pomocy.

Z tego, co pani mówi, wynikałoby, że Stanisław August był klasycznym politycznym realistą.

Tak. I w tamtych, niezmiernie trudnych warunkach naprawdę dużo zdołał osiągnąć. Niestety, Polska była za słaba, by móc skutecznie opierać się Rosji i Prusom. Tutaj trzeba poruszyć jeszcze jeden wątek, zanim wrócimy do uchylonego wcześniej pytania o abdykację.

Akces do targowicy i upokarzanie króla przez jej przywódców spowodowały psychiczne załamanie ostatniego króla. Stało się to wczesną jesienią 1792 r. Z tego załamania Stanisław August nigdy już się nie podniósł. Jego listy do Katarzyny II z lat 1792–1796 sprawiają nader przykre wrażenie – pisze człowiek zastraszony, który boi się najpierw tego, że dokona się ostateczny rozbiór, a następnie pozostania bez środków do życia. Gdy po III podziale Katarzyna II zażądała od Stanisława Augusta abdykacji, w której w dodatku miał potępić insurekcję kościuszkowską jako przyczynę ostatecznego upadku polskiej państwowości, król opierał się kilka dni, ale ostatecznie podpisał podsuniętą mu przez swego nadzorcę w areszcie domowym w Grodnie, Nikołaja Repnina, wersję aktu abdykacyjnego. Uległ szantażowi, że w przeciwnym razie jego kolosalne długi – niemal 40 mln złp – nie zostaną przez zaborców spłacone.

Alegoria rozbiorów Rzeczypospolitej

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Przeciwnicy ostatniego króla twierdzili, że długi były oczywiście wynikiem jego niczym niepohamowanej miłości do zbytku.

Wiemy, że długi te wynikły nie z rozrzutności monarchy, lecz z zastępowania pożyczkami podejmowanymi na konto władcy niedoborów skarbu Rzeczypospolitej. Abdykacja była jedynym krokiem Stanisława Augusta, w którym wymieniał on wartość polityczną – koronę symbolizującą polską państwowość – na czynnik niepolityczny, obietnicę spłaty długów. Dlatego można ją uznać za błąd polityczny.

Smutny i upokarzający koniec panowania ostatniego króla sprawia, że mimo wieloletniej walki o utrwalenie bytu państwowego Rzeczypospolitej Stanisław August nie nadaje się na narodowego bohatera. Winni mu jednak jesteśmy ocenę sprawiedliwą, tj. taką, w której zachowywalibyśmy w pamięci zarówno kilkudziesięcioletnią walką o odrodzenie kraju (1764–1792), jak i upokarzające ostatnie lata człowieka, który uważał, że wszystko, o co w życiu walczył, przegrał. W tej ocenie na szczęście się pomylił.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Zofia Zielińska

jest historykiem z UW, znawczynią XVIII-wiecznych dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, autorką m.in. książki „Ostatnie lata Pierwszej Rzeczypospolitej" oraz „Studia z dziejów stosunków polsko-rosyjskich w XVIII wieku".

REKLAMA

eprasa.pl 448724bf47

XVIII w. / Szkoła Kadetów, Sala Rycerska, Komisja Edukacji Narodowej, Teatr Narodowy...

Pałac w Łazienkach zawdzięcza swój obecny kształt Stanisławowi Augustowi FOT. MISTER NO/WIKIPEDIA

Stanisław August Odnowiciel

Tomasz Stańczyk

Ostatni król, oskarżany bezpodstawnie o przyczynienie się do upadku Rzeczypospolitej, zrobił ogromnie wiele, by Polacy przetrwali bez państwa

Stanisław Cat-Mackiewicz, początkowo krytyk Stanisława, a po latach refleksji jego obrońca, pisał: „Z grubsza teza naszej historiografii wygląda, jak następuje: naród w czasach rozbiorów był bohaterski, kryształowy, cnotliwy, tylko król był obrzydliwy, tchórzliwy i niemoralny". Taka ocena Stanisława Augusta, niestety, dominuje także dziś. A naród szlachecki był nie tylko nieidealny, lecz także głęboko zdemoralizowany, nie czuł odpowiedzialności za los państwa, był obojętny.

Stanisław August obejmował tron w kraju, w którym od wielu już lat kłaniano się obcym potęgom, wysługiwano Szwedom i Rosjanom, brano od nich pieniądze. Władza centralna była anemiczna, reformy torpedowano, także na rozkaz sąsiednich państw, wybory króla odbywały się w atmosferze korupcji politycznej, elekcje po śmierci Jana III i Augusta II były rozdwojone, kraj przeżył wojny domowe. A poziom umysłowy szlachty pozostawiał bardzo wiele do życzenia.

To, co za panowania Stanisława Augusta brano i nadal się bierze za wysługiwanie się przez niego Rosji, płaszczenie się przed Katarzyną II, było w istocie grą na czas, na przetrzymanie złej koniunktury i zyskanie możliwości do prób wzmacniania państwa. Grając, król oszukiwał i zwodził rosyjskich ambasadorów, ale też płacił ogromną cenę, zmuszony sytuacją do upokarzania się niekiedy przed nimi, deptania swojej ludzkiej i królewskiej godności.

Król próbował przeforsować reformy, co udawało się bardzo połowicznie, wobec wewnętrznej opozycji i kurateli Petersburga. Nie rezygnując z planów naprawy państwa – zwieńczeniem była Konstytucja 3 maja – dążył do wzmocnienia siły narodu, by w przyszłości wzmocnił państwo.

Był to wielowymiarowy i – co najważniejsze – realizowany projekt polityczny. Ów polityczny projekt był tak doniosły, że Stanisław August zasługuje na przydomek Odnowiciel. Ostatni król wychował pierwsze pokolenie Polaków – nowoczesnych obywateli.

Myśli podstolego

Gdy Ignacy Krasicki, uczestnik słynnych obiadów czwartkowych u króla (nie były to jednak rozkosze kulinarne), przesłał królowi rękopis „Pana podstolego", Stanisław August, po przeczytaniu, bardzo podziękował. „Właśnie ona taka jest jak potrzeba" – podkreślał król z nadzieją, że książka będzie szeroko czytana. Tytułowy podstoli to szlachcic

eprasa.pl 448724bf47

zatroskany losem ojczyzny, mający jasny pogląd na to, jacy powinni być jej obywatele i jakich zasad powinni się trzymać. Podstoli przejęty jest fatalnym stanem wewnętrznym i moralnym kraju. Zauważając, że wielkie państwa – a takim była Rzeczpospolita – upadały z powodu złego rządu i wspominając powiedzenie: „Polska nierządem stoi", wzdychał: „Daj Boże, żeby nas to kiedy do zguby nie doprowadziło". Urwał w pół zdania, mówiąc: „Miłość ojczyzny hasłem była ojców naszych. Gdyby wiedzieli...". Łzy stanęły mu w oczach.

Podstoli był człowiekiem oczytanym, a w swojej zasobnej bibliotece miał nie tylko broszurę „Głos wolny wolność ubezpieczający" przypisywaną Stanisławowi Leszczyńskiemu i zawierającą program reform, lecz także „Skrupuł bez skrupułu" Jabłonowskiego, o której to książce powiedział, że jest to „dobra krytyka błędów ojczystych". Podstoli, zatrwożony stopniem obywatelskiego i politycznego zdemoralizowania, przyznawał, że „była w dawnych czasach nieprawość, ale ten, który z występku korzystał, występkiem się nie chwalił". Podstoli wieszczył, że gdy obywatele nie myślą o przyszłości państwa, jego upadek jest bliski. I apelował: „Ci, którym szczęśliwe przeznaczenie pozwoliło się urodzić w wolnym kraju, bardziej jeszcze od innych do miłości ojczyzny, dobra publicznego zagrzewani być mają".

Podstoli zwracał też uwagę na dyskryminację mieszczaństwa, niemającego wsparcia ze strony rządu, na upadek rzemiosła, upokarzające chłopów poddaństwo. Dumny z rycerskiej przeszłości przodków zauważał jednak, że to „nauki i kunszta uszczęśliwieniem są kraju".

Stanisław August chciał wychować obywateli Rzeczypospolitej na takich właśnie panów podstolich.

Szkoła patriotów

Już w drugim roku panowania Stanisław August doprowadził do powstania Szkoły Rycerskiej – Akademii Szlacheckiego Korpusu Kadetów JKM i Rzeczypospolitej. Hymn kadetów, autorstwa Ignacego Krasickiego, rozpoczynał się od słów:

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!

Mundur kadeta, ucznia Szkoły Rycerskiej FOT. WIKIPEDIA

Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe.

Hymn mówił o idei wolności: „Kto ciebie godny, pokruszył jarzma albo padł swobodny".

Szkoła Rycerska wbrew nazwie nie była typową uczelnią wojskową, lecz ogólnokształcącą. Kadeci mogli wybrać specjalizację wojskową albo prawniczą, przygotowującą do objęcia stanowisk urzędniczych. Jednych i drugich miał ożywiać ten sam patriotyczny, obywatelski duch, kształtowany w szkole.

„Katechizm rycerski" ułożony przez komendanta szkoły, Adama Kazimierza Czartoryskiego, odpowiadał na pytanie, kim ma być kadet: „Powinien mieć miłość, bojaźń Boga i przywiązanie religii przed oczami; powinien Ojczyznę swoją kochać i jej dobro nade wszystko i sposobić się do tego, aby się mógł poświęcić na jej usługi; powinien być cnotliwy, pełen poszanowania dla zwierzchnich, dobroczynności i afektu dla równych, względu dla niższych".

Katechizm podkreślał, że chełpienie się szlachectwem, a gardzenie tymi, którzy szlachtą nie są, jest zwykłą podłością.

To właśnie ze Szkoły Rycerskiej, założonej przez króla, który nie miał rycerskiego ducha, ale wiedział, jak ważny jest on dla Rzeczypospolitej, wyszli generałowie powstania 1794 r.: Tadeusz Kościuszko i Jakub Jasiński, jeden z dowódców Legionów Polskich gen. Karol Kniaziewicz i generał powstania listopadowego Józef Sowiński. Kniaziewicz po latach pisał do Czartoryskiego, że w szkole nauczył się, jak być Polakiem i żołnierzem.

W 1765 r., w którym otwarto Szkołę Rycerską, z inspiracji Stanisława Augusta zaczęło ukazywać się czasopismo „Monitor". Publikujący w nim autorzy oddawali hołd chwalebnej przeszłości rycerskiej, ale uważali, że patriotyzm to nie tylko szabla w ręku. „Jeśli umrzeć za ojczyznę rzecz słodka, cóż pożądańszego, jak żyć dla niej". Ludzie z kręgu Stanisława Augusta zdawali się mówić: nie pytaj, co ojczyzna może zrobić dla ciebie, pytaj, co ty możesz zrobić dla ojczyzny.

Panteon chwały

Ostatnie zwycięstwo odniosła Rzeczpospolita pod Wiedniem, do historii przeszła jeszcze mało dziś znana bitwa pod Hodowem w 1694 r., później nie było się czym szczycić.

Stanisław August doskonale wiedział, jak ważna jest inspirująca pamięć o sławie i chwale hetmanów, rycerstwa i szlachty. Dowodzi tego jego idea Sali Rycerskiej w Zamku Królewskim.

Był to panteon chwały oręża polskiego, panteon wodzów, ale też ludzi nauki i kultury. Prawda, że przez komnaty zamkowe nie przewijały się, jak dzisiaj, tysiące zwiedzających, więc oddziaływanie programu ideowego Sali Rycerskiej nie miało szerokiego zasięgu. Bywali tam jednak członkowie elity społeczeństwa, a rzeźby i portrety miały wpływać na ich wyobraźnię i ambicję, pokazywać cenione przez króla wzory osobowe.

Król, doceniając wielkich hetmanów z minionych epok, takich jak Jan Karol Chodkiewicz, Jan Tarnowski, Stanisław Rewera Potocki, umieścił, zgodnie z przekonaniem o wadze kultury i nauki dla narodu, również wizerunki uczonych i twórców: Mikołaja Kopernika, Jana Heweliusza, Marcina Kromera, Adama Naruszewicza.

Wielkie obrazy ukazywały najważniejsze, zdaniem Stanisława Augusta, momenty dziejowe i ludzi z nimi związanych, zawarcie unii polsko-litewskiej, wznowienie Akademii Krakowskiej przez Władysława Jagiełłę, hołd pruski, Jana Sobieskiego pod Wiedniem, traktat chocimski, Kazimierza Wielkiego słuchającego próśb chłopów. Król zdawał się mówić: widzicie, do czego byliśmy zdolni, musimy i dziś starać się być tacy.

Marek Kwiatkowski pisał w książce o mecenacie Stanisława Augusta, że Sala Rycerska to plastyczny wyraz myśli zawartych w „Historii narodu polskiego"

eprasa.pl 448724bf47

Sala Rycerska na Zamku Królewskim w Warszawie

FOT. ZENON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

Adama Naruszewicza, pisanej niemal pod dyktando króla. Być może więc Stanisław August jest autorem następujących słów Naruszewicza o Kazimierzu Wielkim, przejrzystej aluzji do jego własnego panowania i sytuacji kraju: „Szemrał nań naród, lecz go nie wspierał [...] potrzeba była po tak okropnym przez półtora wieku wszystkich części osłabienia pomiarkować się pierwiej w domu, a wewnętrzne wszystkich chorób źródło zahamować".

Kwiatkowski stwierdzał, że widziano w tych słowach odniesienie do programu politycznego Stanisława Augusta: kodyfikacja prawa, ulżenie doli chłopów, rozwój cywilizacyjny kraju, mecenat nad nauką i kulturą. Oczywiście, państwo nie stałoby się przez to mniej zależne od Rosji, ale o ileż bardziej byłoby wzmocnione.

Stanisław August chciał być drugim Kazimierzem Wielkim, ale pomnik postawił Janowi III.

Przyczynił się bardzo do utrwalenia kultu zwycięzcy spod Wiednia. Stanisław August zdawał się mówić, że nie potrafi być wojownikiem, a zresztą nie ma co marzyć o wielkich zwycięstwach w stylu Sobieskiego, trzeba mieć zaś Jana III jako wzór obrońcy ojczyzny. Na przyszłość. Gdy odsłaniano pomnik w Łazienkach, powstał złośliwy wierszyk:

Sto tysięcy kosztuje, ja bym dwakroć łożył,
Żeby Staś skamieniał, a Jan III ożył.

Jednak nawet Sobieski nie pokonałby potężnej Rosji.

Edukacja obywatelska

Stanisław August kazał wybić na cześć Stanisława Konarskiego, reformatora szkół pijarskich, medal „Sapere auso" – temu, który odważył się być mądry. A to znaczy, że najwyraźniej mądrość, wiedza, wykształcenie nie były wówczas w cenie. Zmienił to właśnie ostatni król Rzeczypospolitej. Komisja Edukacji Narodowej, powołana na wniosek króla w 1773 r., była pierwszym europejskim ministerstwem edukacji narodowej, a na jej czele stanął brat króla, niezwykle zasłużony na tym stanowisku prymas Michał Poniatowski. Sam zaś król, współtwórca idei KEN i jej gorący zwolennik, pisał w jednym z listów: „Najbardziej ufam temu żniwu, które po mojej śmierci inny zbierać będzie, z mego jednak zasiewu, gdy poprzez poprawioną teraz dzieci edukację znajdzie kilkadziesiąt tysięcy obywateli oświeconych, od przesądów oddalonych".

A zmiany były naprawdę rewolucyjne – spotkały się zresztą z wielkimi oporami szlacheckiego społeczeństwa: łacina przestała być językiem wykładowym, pojawili się świeccy nauczyciele, rozpisywano konkursy na nowatorskie podręczniki, zadbano o kształcenie dzieci wiejskich, zrobiono pierwsze kroki w celu objęcia dziewcząt nauczaniem, należne miejsce zajęły nauki przyrodnicze oraz wychowanie fizyczne, z nauki historii usunięto podania i mity. Komisja prowadziła politykę pamięci historycznej. W stulecie bitwy pod Wiedniem Michał Poniatowski zarządził ogólnopolskie uroczyste obchody w szkołach, świętowano też pierwszą rocznicę Konstytucji 3 maja. Szkoły miały nie tylko dawać uczniom wiedzę, lecz także wychowywać ich na wykształconych, odpowiedzialnych za kraj obywateli.

Prymas Michał Poniatowski, prezes Komisji Edukacji Narodowej

FOT. WIKIPEDIA

Komisja Edukacji Narodowej – jak stwierdza Cat-Mackiewicz – była ukochanym dzieckiem Stanisława Augusta. Innym był założony w 1765 r. Teatr Narodowy. Miał być teatrem obywatelskim, wychowującym. W czasie Sejmu Wielkiego na scenie pojawił się „Powrót posła" Juliana Ursyna Niemcewicza – wychowanka Szkoły Rycerskiej. Była to aktualna komedia polityczna. Starosta, chlubiący się, swoją drogą, że nie czyta książek, ubolewał: „Zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy / Liberum veto, tej to wolności źrenicy", na co Podkomorzy odpowiadał, że zrywanie sejmów zgubiło kraj i ściągnęło obce panowanie. Dodawał: „Gnijąc w zbytkach, lenistwie i biesiad zwyczaju / Myśleliśmy o sobie, a nigdy o kraju".

Szkoła Kadetów, Sala Rycerska, Komisja Edukacji Narodowej, Teatr Narodowy w ogromnej mierze uformowały myślenie Polaków o obowiązkach obywatelskich. Patriotyzm, przekonanie o wartości, którą jest dobro wspólne – Rzeczpospolita – formowały ludzi wykształconych, wrażliwych na historię własnego narodu. Pierwsze pokolenie wychowane przez Stanisława Augusta wzięło udział w powstaniu kościuszkowskim, tworzyło Legiony Dąbrowskiego. A przykład, który dali powstańcy Kościuszki i legioniści Dąbrowskiego, formował następne pokolenia, walczące o niepodległość. Piłsudski, który nie lubił Stanisława Augusta, był w istocie jego „późnym wnukiem".

Żaden król nie był w stanie uratować w XVIII w. Rzeczypospolitej, także Stanisław August. Nie mogąc jednak zapobiec katastrofie, ogromnie przyczynił się do odrodzenia narodu. A to znaczyło – do jego przetrwania w czasach zaborów. Nie rozumiała tego elita rządząca II Rzecząpospolitą po przewrocie majowym. Dla niej bohaterem był Kościuszko. Ten wychowanek Stanisława Augusta spoczywa w kryptach wawelskich. Stanisławowi Augustowi odmówiono tam miejsca...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 448724bf47

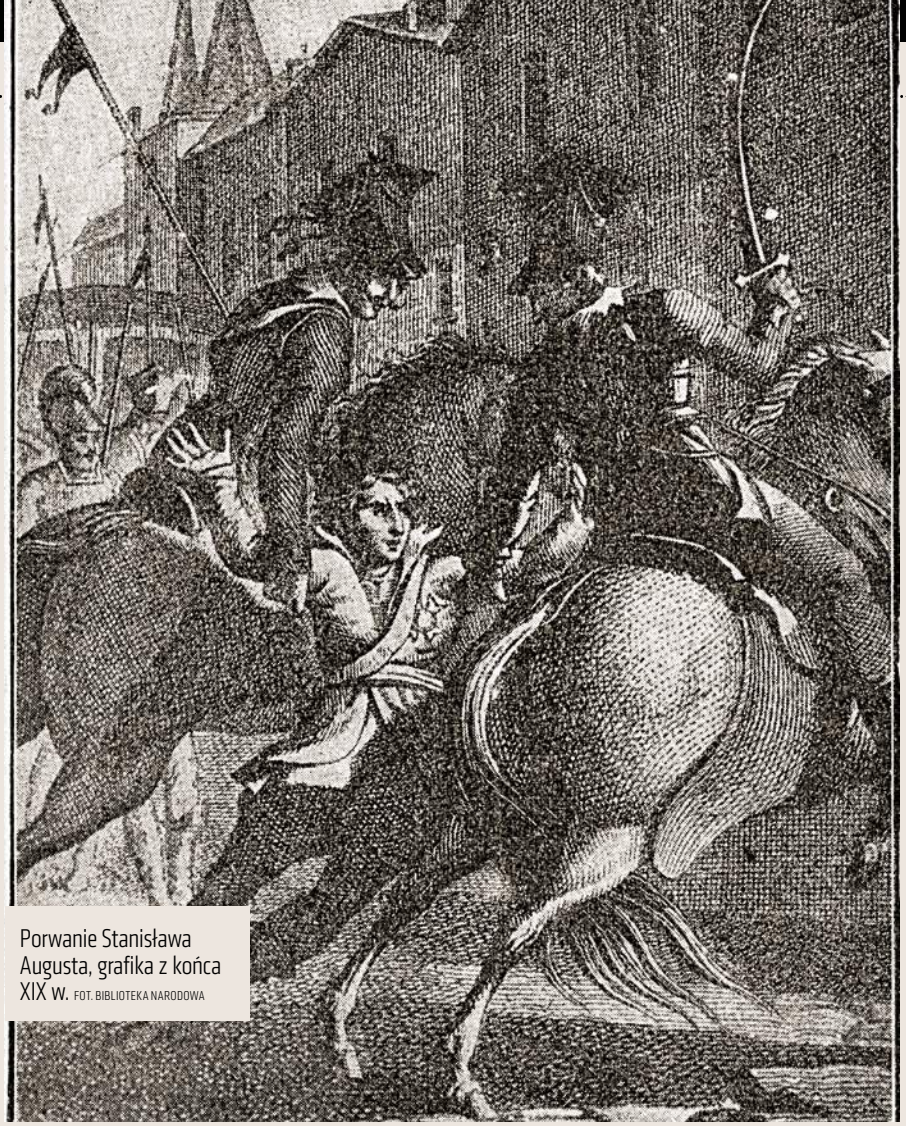

Porwanie Stanisława Augusta, grafika z końca XIX w. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

3 XI 1771 r. / Poniatowski w rękach porywaczy

Porwanie króla

Tymoteusz Pawłowski

Padło kilka strzałów, królewscy dworzanie rozbiegli się po ulicach, podziurawiony kulami powóz pozostał na ulicy pusty – król zniknął...

W 1764 r. na króla Polski został wybrany młody magnat – Stanisław Antoni Poniatowski. Chociaż robił wiele, aby przypodobać się poddanym – m.in. kazał nazywać się Stanisławem Augustem, nawiązując do popularności poprzedniego króla – szybko okazał się dużym, bardzo dużym rozczarowaniem.

Młodość króla, brak doświadczenia oraz naiwność wykorzystali ci, którzy osadzili go na polskim tronie – Rosjanie. 24 lutego 1768 r. podpisano „traktat wieczystej przyjaźni" pomiędzy oboma państwami, dający Rosji prawo do ustalania porządku prawnego w Rzeczypospolitej. W ten sposób Stanisław August był pierwszym – i jedynym – polskim królem, który zrzekł się suwerenności na rzecz obcego mocarstwa.

Szybko skorzystano z zapisów „traktatu o wieczystej przyjaźni" – już 23 marca król wezwał wojska carskie, aby wkroczyły do Rzeczypospolitej i spacyfikowały istniejącą opozycję. Ta przybierała coraz bardziej zorganizowane formy – w kolejnych województwach powstawały konfederacje, czyli samorządy mające zastąpić władzę królewską. Kolejne cztery lata polskiej historii biegły pod znakiem „konfederacji barskiej", zawiązanej w twierdzy Bar. Może nie najważniejszej, ale najbardziej znanej.

Skala oporu Polaków zaskoczyła Rosję, tym bardziej że ów opór znalazł – mniej lub bardziej szczere – poparcie międzynarodowe. Turcja i Chanat Krymski rozpoczęły wojnę z Rosją, Francuzi przysłali pomoc konfederatom (chociażby w postaci pieniędzy i instruktorów wojskowych), subtelniejszej pomocy udzielały Prusy. Walki – podczas których na najsprawniejszego dowódcę konfederatów wyrósł Kazimierz Pułaski – trwały z różną intensywnością i jesienią 1771 r. sytuacja wciąż nie była rozstrzygnięta.

Dziura w futrze

W niedzielę 3 listopada król postanowił odwiedzić i zapytać o zdrowie wiekowego kanclerza – czyli premiera – Michała Czartoryskiego. Na wizyty takie Stanisław August jeździł powozem w towarzystwie kilku sług i dworzan oraz eskorty wojskowej, z której tym razem

eprasa.pl 448724bf47

zrezygnował, bo do przejechania miał dosłownie dwa skrzyżowania. W drodze powrotnej do Zamku Królewskiego – na rogu Miodowej i Koźlej, nieopodal kolumny Zygmunta – królewska kolumna została zaatakowana przez nieznanych sprawców. Padło kilka strzałów, królewscy dworzanie rozbiegli się po ulicach, podziurawiony kulami powóz pozostał na ulicy pusty – król zniknął.

Na Zamku Królewskim panowało przekonanie, że konfederaci od wyeliminowania króla rozpoczęli szturm na Warszawę. W tym przekonaniu utrzymała ich atmosfera panująca na ulicach: mieszczanie nie zamierzali pomagać w poszukiwaniu królewskiego ciała, większość z gapiów lżyła i szydziła z dworaków. Marszałek wielki koronny – czyli minister spraw wewnętrznych – Stanisław Lubomirski zaplombował kancelarię królewską, co jest zwyczajnym działaniem w chwili śmierci władcy. Wojska rosyjskie postawiono w stan gotowości, ale były one zbyt słabe i ograniczyły się do obrony swoich kwater.

Atak jednak nie nastąpił. Jeszcze przed świtem wyjaśniło się całe zamieszanie – do zamku dotarł bowiem parobek z listem od króla, w którym monarcha życzył sobie przysłania eskorty do jednego z podwarszawskich młynów. Gdy Stanisław August powrócił do Warszawy, zrelacjonował wydarzenia ostatniej nocy.

Tuż po opuszczeniu pałacu kanclerza królewski powóz został otoczony przez kilkudziesięciu zbrojnych. Nie było eskorty wojskowej, a dworzanie nie kwapili się ryzykować w obronie króla – tylko dwaj wystrzelili z pistoletów, po czym błyskawicznie uciekli. Porywacze również strzelali – ich ofiarą stał się królewski hajduk, Jerzy Butzau. Jedna z wystrzelonych kul przedziurawiła nawet królewskie futro!

Stanisława Augusta otoczyli porywacze, w zamieszaniu raniąc go szablą w głowę – na szczęście niegroźnie. Większość zamachowców zniknęła w zaułkach Warszawy, a z monarchą pozostało tylko 10 ludzi, którzy ruszyli na północ. Podczas przechodzenia przez wały miejskie królewski koń złamał nogę, a Stanisław August utopił futro i jeden ze swoich butów. Dalsza ucieczka odbywała się pieszo i coraz mniej sprawnie. Kolejni spiskowcy odłączali się od grupy – czy to dostając rozkazy od przywódcy, czy to

Stanisław August
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

dezerterując – ostatecznie przy królu pozostał tylko ich przywódca, Jan Kuźma.

Stanisław August rozpoczął rozmowę ze swoim porywaczem. Stała się rzecz wyjątkowa: monarcha przekonał go, aby porzucił swoje niecne plany i przysiągł wierność królowi. W najlepszej komitywie obaj zawrócili do miasta i znaleźli schronienie w jednym z młynów na podwarszawskim Marymoncie.

Happy end

Wieści o porwaniu króla – i jego bezpiecznym powrocie – błyskawicznie rozniosły się po całej Polsce. I chociaż sytuacja międzynarodowa jeszcze przez kilka lat była niewyjaśniona, to konfederacja barska była w Polsce skończona. Król jest pomazańcem Bożym – zamach na króla jest największą zbrodnią, jaką człowiek może sobie wyobrazić. Szczęśliwy powrót Stanisława Augusta – pomimo ranionej głowy i przestrzelonego futra, odzyskanego z błotnistej fosy – najlepiej świadczy o opiece Opatrzności. Od konfederatów odsunęło się polskie społeczeństwo i zdystansowali się zagraniczni sojusznicy.

W czerwcu 1772 r. rozpoczął się proces porywaczy. Materiałem dowodowym były królewska relacja oraz korespondencyjne zeznania Jana Kuźmy oraz Stanisława Strawińskiego. Na śmierć zostali zaocznie skazani prowodyrzy zamachu oraz dwaj porywacze, którzy czynnie podnieśli rękę na monarchę. Ich kaźni przyglądało się ponoć 20 tys. widzów, a po ich egzekucji „ręce obydwie po śmierci ucięte i odłożone na bok, dla zawieszenia na palach przy gościńcach publicznych, kadłub zaś sam poćwiartowany i na stos, przez milicję otoczony, wraz z głową wrzucony i podpalony być ma".

Kazimierz Pułaski – ogłoszony prowodyrem porwania – również został skazany na śmierć i musiał ratować się ucieczką na koniec świata, do Ameryki, gdzie zginął. W ten sposób król pozbył się najzdolniejszego dowódcy wojskowego konfederacji. Monarcha uzyskał też – dzięki nieudanemu porwaniu – wiele innych korzyści. Przede wszystkim uratował swój tron, choć kosztem utraty ziem Rzeczypospolitej. Dlatego niemal od razu rozpoczęły się plotki o tym, że cały zamach był królewską prowokacją. Dwieście lat później wątpliwości te spisał Jerzy Łojek.

Całą aferę znamy z relacji króla oraz „świadków koronnych", z których najważniejszy – Jan Kuźma – pobierał do końca życia wysoką pensję od króla i jego spadkobierców. Został skazany na banicję, ale mieszkanie w Italii na koszt króla można uznać za wspaniałe zwieńczenie kariery wołyńskiego chłopa. Stanisław Strawiński – którego zeznania powiązały zamachowców z Kazimierzem Pułaskim – bywał z kolei królewskim gościem jeszcze przed zamachem i dostawał wówczas pomoc finansową.

Rana na głowie monarchy – rzekomo odniesiona w noc porwania – nie była świeża, otrzymał ją wcześniej, najprawdopodobniej podczas nieudanych romansów z żoną pewnego hajduka. Gdy zdradzany mąż dowiedział się, kogo obił w ciemnościach sypialni, musiał żyć ze świadomością narażenia się królowi. Żył krótko – hajdukiem tym był Jerzy Butzau, bohatersko poległy w obronie króla. Uwagę zwraca również rezygnacja z eskorty wojskowej oraz wyroki losu: zamachowcy mieli szczęście, znajdując się na stanowiskach podczas krótkiej królewskiej podróży, a król miał szczęście, że wszyscy zamachowcy opuścili Jana Kuźmę.

Teoria o prowokacji królewskiej prezentuje się ładnie, ale jedynie z odległej perspektywy. W porwanie zaangażowanych było bowiem wielu uczestników i nie można było zagwarantować, że nie zamieni się ono w przypadkową egzekucję.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Seks i polityka / Co się naprawdę zdarzyło w Petersburgu

Amory z przyszłą carycą

Sławomir Koper

Stanisław Poniatowski zawdzięczał tron Katarzynie II. Ich słynny romans nie był wyłącznie fascynacją erotyczną

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Panująca od 1741 r. córka Piotra I, cesarzowa Elżbieta, wyznaczyła na następcę tronu swojego siostrzeńca, Karola Piotra Ulryka von Holstein-Gottorp. Był to wyjątkowo odrażający osobnik, mało inteligentny, zainteresowany wyłącznie wojskiem, który wolny czas spędzał na zabawie żołnierzykami. Był jednak jedynym żyjącym wnukiem Piotra I, a to rekompensowało jego braki. Nawet to, że fascynowali go pruska armia i Fryderyk II.

Elżbieta sprowadziła siostrzeńca do Rosji. Po przejściu na prawosławie stał się on wielkim księciem Piotrem Fiodorowiczem. Następca tronu powinien jednak zapewnić ciągłość dynastii, wobec czego cesarzowa znalazła mu żonę. Wybór jej padł na córkę drobnego dynasty niemieckiego, Zofię von Anhalt-Zerbst.

Ojciec narzeczonej służył w armii pruskiej i był komendantem Szczecina. Niskie pochodzenie Zofii dawało gwarancję, że nie będzie prowadziła własnej polityki na rosyjskim dworze. Poza tym dziewczyna miała odpowiedni wiek (o rok młodsza od Piotra), była inteligentna i dobrze wykształcona.

Początkowo wszystko przebiegło zgodnie z wolą Elżbiety. 15-letnia Zofia przeszła w Petersburgu na prawosławie i już jako Katarzyna Aleksiejewna poślubiła Piotra. Pilnie obserwowała nowe otoczenie, miała bowiem duże ambicje i nie zamierzała z nich zrezygnować.

Piotr nie był jednak zainteresowany żoną i przez siedem lat (!) małżeństwo nie zostało skonsumowane. Wreszcie starej cesarzowej stało się obojętne, kto będzie ojcem dziecka, potrzebny był następca tronu. Za jej zgodą podsunięto Katarzynie Sergiusza Sałtykowa. Młody arystokrata bez problemów uwiódł wielką księżnę, która była nim zafascynowana. „Miał 26 lat – przyznawała Katarzyna. – Pod każdym względem, zarówno z urodzenia, jak i pod wieloma innymi, był dystyngowanym kawalerem. Umiał ukrywać swe wady, z których największą była skłonność do intryg i brak zasad. Tego jednak nie dostrzegałam".

Najważniejsze jednak, że Sałtykow został ojcem dziecka Katarzyny. Chłopcu nadano imię Paweł, Piotr uznał go za własnego, a Elżbieta szalała ze szczęścia. Wszyscy byli zadowoleni, może poza Sałtykowem, którego wysłano na placówkę

eprasa.pl 448724bf47

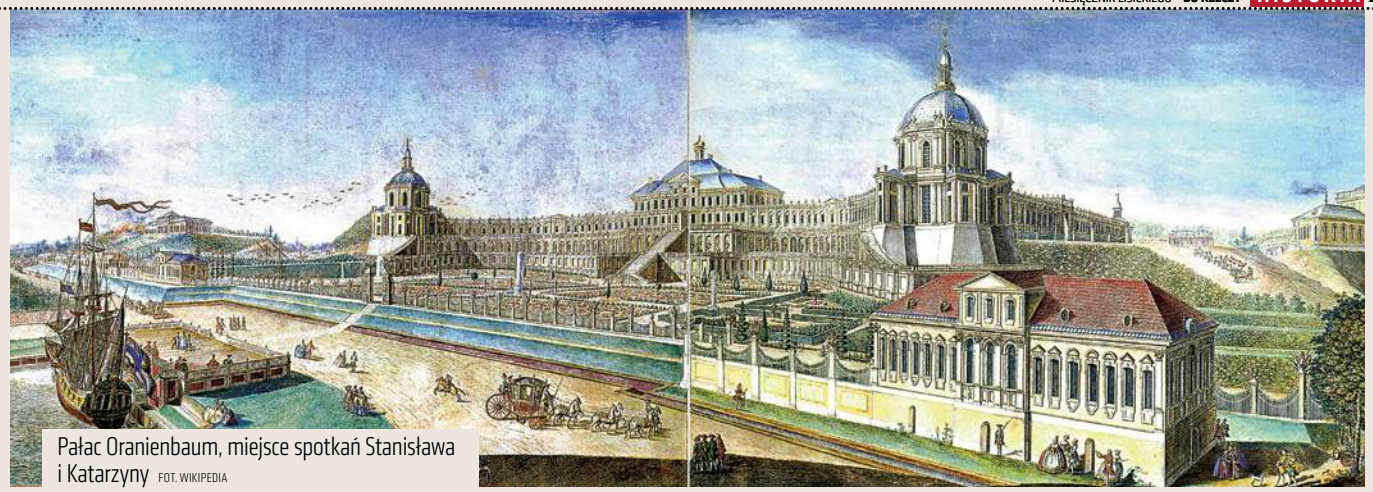

Pałac Oranienbaum, miejsce spotkań Stanisława i Katarzyny FOT. WIKIPEDIA

do Hamburga. Po latach Katarzyna przeniosła go do Paryża, gdzie dalej robił to, co najlepiej potrafił, czyli uwodził kobiety.

Pojawia się Staś

W tym czasie w Petersburgu pojawił się Stanisław Poniatowski. Młody i przystojny arystokrata pełnił funkcję sekretarza brytyjskiego ambasadora, nie miał jednak żadnego doświadczenia erotycznego, co w tych czasach było rzadkością. Po latach przyznawał, że w wieku 23 lat „zachował siebie całego dla tej, która później rozporządziła jego losem".

Było to tym bardziej dziwne, gdyż była to epoka libertynizmu, a sprawy miłości w eleganckim towarzystwie zredukowano wyłącznie do kontaktu fizycznego („zetknięcia dwóch naskórków"). Wierność wobec partnerów uchodziła za coś godnego politowania, a mężczyźni bez oporów uznawali pozamałżeńskie dzieci swoich żon. Nie mieli zresztą powodów, by postępować inaczej, ich potomkowie spłodzeni poza sakramentalnymi związkami także nosili nazwiska oficjalnych mężów ich kochanek. Nic zatem dziwnego, że Talleyrand zwykł mawiać po latach, że „ten, kto nie żył w czasach ancien regime'u, nigdy nie zaznał słodyczy życia".

Tymczasem Poniatowski zadowalał się wielbieniem Katarzyny na odległość, ignorując wysyłane przez nią sygnały. Wreszcie interweniował jeden z zauszników Katarzyny, Lew Naryszkin. Sprowokował sytuację, z której Poniatowski nie mógł się wycofać i został zaprowadzony do jej prywatnego apartamentu. Drzwi były uchylone, wielka księżna już na niego czekała. „Nie mogę odmówić sobie – wspominał przyszły król po latach – przyjemności opisania ubioru, w jakim ją znalazłem onego dnia. Miała sukienkę z atłasu zdobioną jedynie w lekkie koronki i wstążki różowego koloru".

Stało się to, co musiało się stać, i Poniatowski przeżył swoją inicjację seksualną…

Początkowo wyglądało to na obopólną fascynację, a być może także na uczucie. „Miała wówczas lat 25 – opisywał kochankę Poniatowski – przy włosach czarnych płeć miała olśniewającej białości, rumieńce żywe, oczy duże, niebieskie, wypukłe i pełne wyrazu, rzęsy czarne i bardzo długie, nos cienki, usta, rzekłbyś wołające o pocałunek, ręce i ramiona najprzedniejszych kształtów, kibić wysmukłą, wzrost raczej słuszny niż mały, chód leciutki, a przy tym nadzwyczaj dostojny, dźwięk głosu miły".

Tak pisać mógł tylko mężczyzna, który nawet wiele lat później pamiętał swoje zauroczenie. I tak chyba było w rzeczywistości.

Przy okazji romans z Katarzyną stał się dla Poniatowskiego dobrą lekcją dyskrecji i miłosnej logistyki. Uczył się, jak nie popełniać błędów, które mogłyby ujawnić sytuację. Gdy na skutek intryg dworskich miał zostać odesłany do kraju, pojawił się na dworze, by oficjalnie się pożegnać. Przebywał tam w towarzystwie szwedzkiego hr. Horna, a Katarzyna – jak przystało na dobrą panią domu – oprowadzała gości po pałacu. Doszło wówczas do niespodziewanej sytuacji, mały piesek Katarzyny wybiegł z jej prywatnego apartamentu i zaczął zajadle szczekać na Szweda. Po chwili jednak zaczął się łasić do Poniatowskiego.

„Mój przyjacielu – zwrócił się Horn do Polaka – nie ma nic niebezpieczniejszego niż mały bonończyk, kobietom, które kochałem, zawsze ofiarowywałem małego bonończyka, by mnie uwiadamiał, czy przypadkiem ktoś nie jest tam w większych niż ja łaskach. Jest to zasada pewna i wypróbowana. Widział pan, że pies omal mnie nie ugryzł, bo mnie nie zna, gdy tymczasem ujrzawszy pana, nie wiedział, co począć z radości, ponieważ oczywiste jest, że widzi pana nie po raz pierwszy".

Romans po raz drugi

Poniatowski planował, że powróci po kilku tygodniach, nie było to jednak takie łatwe. Wreszcie na życzenie Katarzyny wysłano do Warszawy list, żądając od ministra Henryka Brühla przyjazdu Poniatowskiego nad Newę. Twierdzono bowiem, że jego powrót „w obecnej delikatnej i krytycznej sytuacji" był „niezbędny" dla „zacieśnienia przyjaźni między dwoma dworami".

Tymczasem minęła już jesień 1756 r., a Stanisław dalej pozostawał w Polsce. Okazało się, że winę za to ponosiła jego matka, która kategorycznie protestowała przeciwko jego wyjazdowi do Rosji. „Nalegałem, by zgodziła się na mój powrót – wspominał Poniatowski. – Powiedziała mi ze łzami w oczach, że ta sprawa spowoduje, że straci moją miłość, która jest całym szczęściem jej życia. Że trudno odmówić pewnych rzeczy, lecz w tym przypadku jest zdecydowana nie wyrazić zgody. Nie posiadałem się z rozpaczy. Rzuciłem się jej do stóp, błagając, by zmieniła zdanie. Rzekła, znów we łzach: »Tego się właśnie spodziewałam«. Oddaliła się, uścisnąwszy moją dłoń, pozostawiając mnie w najstraszliwszej rozterce, jakiej przyszło mi doświadczyć w całym mym życiu".

eprasa.pl 448724bf47

FOT. MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

FOT. MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

Ostatecznie w grudniu Poniatowski przyjechał ponownie nad Newę i ponownie trafił do łóżka Katarzyny. Romans miał jeszcze trwać półtora roku.

Owocem tego związku stała się córka, Anna Piotrowna, która jednak zmarła po kilku miesiącach na ospę. Natomiast wielki książę Piotr dziwił się, mówiąc, że „nie wie, skąd żona bierze te ciąże"…

Piotr bowiem zmienił się z upływem lat. Zaczął romansować z damami dworu, aż wreszcie jego stałą faworytą stała się Elżbieta Woroncowa. I chociaż nadal bawił się żołnierzykami, to jednak wprowadził tam znaczące innowacje. Kiedy inscenizował zmianę warty, był zawsze ubrany w galowy mundur wojskowy i w buty z ostrogami. Służba również zakładała podobne stroje, a wielki książę cieszył się jak dziecko, gdy dzięki skórzanym paskom imitował odgłosy salw z muszkietów.

Poniatowski dalej odwiedzał nocą Katarzynę, wreszcie gdy pewnego ranka opuszczał kochankę, został zaatakowany przez trzech ludzi ze szpadami. Obezwładniono go i doprowadzono do wielkiego księcia. Piotr zapytał go wprost, czy sypia z jego żoną, a gdy Polak zaprzeczył, zagroził mu, że jeżeli się nie przyzna, to wpadnie w duże kłopoty. Poniatowski jednak trwał w swoim uporze, wobec czego odesłano go na kwaterę, gdzie miał czekać na decyzję wielkiego księcia. Wszyscy spodziewali się, że będzie musiał natychmiast opuścić Rosję, gdyż Piotr uznał jego romans z żoną za zniewagę. W tej sytuacji Katarzyna przełamała dumę i zwróciła się o pomoc do Woroncowej, która doszła do wniosku, że jeżeli uda się jej ułagodzić kochanka, to jej pozycja na dworze wzrośnie.

Niebawem, podczas balu, na którym zjawił się także Poniatowski, Woroncowa, tańcząc z nim, poleciła mu przyjść o północy do pobliskiej willi. „A tam bardzo przyjaźnie i serdecznie – wspominał przyszły król – powitał mnie wielce rozradowany wielki książę. Czyż nie okazał się pan wielkim głupcem, nie będąc ze mną szczerym od początku? – pytał".

Poniatowski w zamian komplementował żołnierzy pełniących wartę, na co Piotr jeszcze bardziej się rozpromienił. Uznał jednak, że kogoś brakuje, i poszedł po żonę, którą podobno wyciągnął z łóżka. Katarzyna miała mieć na sobie tylko nocną koszulę, szlafrok i pantofle.

„Potem – kontynuował Poniatowski – siedzieliśmy w pokoju wokół niewielkiej fontanny, śmiejąc się, gawędząc i dokazując, jakbyśmy byli wolni od wszelkich trosk. Rozstaliśmy się dopiero o czwartej rano. Choć to wszystko może się wydać szalone, przysięgam, że to prawda. Nazajutrz wszyscy zwracali się do mnie o wiele przyjaźniej".

Od tej pory często jadali kolacje we czworo, a następnie Piotr odchodził z kochanką, życząc żonie dobrej zabawy z Poniatowskim. Irytowało to Katarzynę, księżna mogła bowiem wymykać się do Polaka w przebraniu, ale nie znosiła zrównania z Woroncową, którą uważała za ladacznicę. Natomiast dla Piotra były to chwile triumfu nad żoną, podobnie zresztą jak dla jego partnerki.

Niewiele jednak brakowało, by z powodu romansu Poniatowskiego z Katarzyną losy Europy i świata potoczyły się zupełnie inaczej. Pewnej nocy wybrali się razem saniami, Stanisław powoził zbyt brawurowo, co zakończyło się wypadkiem. Sanie zawadziły o jakiś płot, wielka księżna wypadła z pojazdu i „rozumem w węgieł domu uderzywszy, jak nieżywa w śniegu leżała"…

Koniec romansu

Sytuacja stawała się jednak kłopotliwa, władcy czy następcy tronu mogli mieć oficjalne metresy, jednak w przypadku ich małżonek należało zachowywać więcej dyskrecji. Wreszcie stara cesarzowa Elżbieta zażądała, by Poniatowski opuścił Rosję, co było ciężkim przeżyciem dla obojga kochanków.

Podobno podczas pożegnania Katarzyna płakała, jednak zdawała sobie sprawę, że tego wymagała racja stanu. Zresztą niebawem zmarła Elżbieta, potem doszło do obalenia i zamordowania Piotra. A miejsce Poniatowskiego w jej łożu zajął jeden z zamachowców, Grzegorz Orłow.

Nie zmienia to jednak faktu, że dawni kochankowie przez pewien czas prowadzili miłosną korespondencję wyrażając nadzieję na spotkanie. Katarzyna nie informowała Poniatowskiego o Orłowie, chociaż od pewnego momentu zaczęła sugerować, że przyjazd dawnego kochanka do Rosji jest niewskazany. „Błagam Cię, abyś się wstrzymał z powrotem. […] Otrzymałam Twój list, nie sposób prowadzić regularnej korespondencji, muszę strzec się na każdym kroku i nie mam czasu na słodkie liściki, którymi mogłabym sobie zaszkodzić. […] Muszę przestrzegać tysiąca konwenansów i ciąży na mnie odpowiedzialność państwowa. […] Żegnaj, życie przynosi różne niespodzianki".

Katarzyna faktycznie przygotowywała „niespodziankę" dla byłego kochanka, zdecydowała się bowiem zrobić go królem Polski po śmierci Augusta III. Dla niego miał to być rodzaj rekompensaty, a dla niej genialne posunięcie polityczne. Caryca postępowała już jak polityk, a nie zakochana kobieta, chciała mieć na polskim tronie człowieka nie tylko od siebie zależnego, lecz także odczuwającego do niej sentyment. Poniatowski miał jednak własne zdanie na temat jej planów.

„Pozwól mi być przy Tobie – prosił w jednym z listów – na takim stanowisku, na jakim sobie życzysz, tylko nie czyń mnie królem. Wezwij mnie do siebie. Lepiej będę Ci służyć jako zwykły człowiek". Poniatowski miał jeszcze nadzieje, ale niebawem przekonał się, że Katarzyna już nie była tą osobą, którą pokochał pierwszą miłością. Stała się cynicznym graczem politycznym, dla którego był pionkiem na europejskiej szachownicy. Królowa zaś, a właściwie cesarzowa, mogła być tylko jedna. Zresztą pionków nikt nigdy nie żałował, poświęcało się je wtedy, gdy wymagała tego potrzeba.

Prowadziła z kochankiem przez pewien czas jeszcze miłosną korespondencję, chwilami wspominała go ciepło nawet po latach.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty pochodzą z: R.K. Massie „Katarzyna Wielka. Portret kobiety", S. Mackiewicz („Cat") „Stanisław August".

eprasa.pl 448724bf47

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 448724bf47

Kościół w Wołczynie (Białoruś), miejsce chrztu i potajemnego pochówku Stanisława Augusta

FOT. DOMENA PUBLICZNA

1938 r. / Brak szacunku dla monarchii

Pogrzeb po kryjomu

eprasa.pl 448724bf47

Piotr Zychowicz

W 1938 r. władze sanacyjne pogrzebały potajemnie szczątki ostatniego króla Polski w prowincjonalnym kościele w Wołczynie. Zdaniem konserwatystów – był to skandal

To jedna z najbardziej ponurych kart w dziejach obozu rządzącego Polską po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. Trudno nie myśleć o niej z uczuciem wstydu i zażenowania. Cała afera zaczęła się jednak od… Józefa Stalina i sowieckiego politbiura. Otóż w drugiej połowie lat 30. w swoje apogeum weszła barbarzyńska kampania dechrystianizacji i tępienia religii w Związku Sowieckim.

W jej ramach bolszewiccy degeneraci dokonywali aktów wandalizmu na horrendalną skalę. Wysadzali w powietrze, burzyli i palili świątynie zbudowane na terenie Imperium Rosyjskiego, zanim pogrążyło się ono w krwawym chaosie i nędzy rewolucji. Los ten spotkał cerkwie, kościoły, meczety, synagogi, zbory i wszelkie inne budynki, w których modlili się niegdyś poddani rosyjskich cesarzy.

Losu tego nie uniknął katolicki kościół św. Katarzyny w Petersburgu, przemianowanym obecnie na Leningrad. Teraz, w 1938 r., miał on zostać wyburzony pod pretekstem przebudowy tej części miasta. Problem polegał jednak na tym, że w kościele tym złożone były szczątki ostatniego króla Rzeczypospolitej Obojga Narodów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Monarcha umarł bowiem 11 lutego 1798 r. w Petersburgu i tam też został pogrzebany. Reżim bolszewicki zwrócił się zatem do rządu w Warszawie, żeby odebrał szczątki swojego ostatniego króla. W przeciwnym razie zostaną zniszczone.

Wydawałoby się, że polskie władze z entuzjazmem przyjmą tę propozycję. A powrót króla stanie się okazją do wielkiej demonstracji patriotycznych uczuć narodu polskiego. Szczątki Stanisława Augusta Poniatowskiego w asyście szwadronów kawalerii i kompanii honorowej Wojska Polskiego zostaną przewiezione na lawecie na Wawel i tam pogrzebane u boku szczątków innych polskich królów. Będą tłumy, przemówienia, audycje radiowe. Kraków – cały udekorowany biało-czerwonymi sztandarami.

Gangsterski pochówek

Niestety, nic takiego się nie stało. W obozie sanacyjnym dominowała bowiem krytyczna ocena polityki Stanisława Augusta Poniatowskiego. Owa krytyczna ocena skłoniła rządzących do czynu nie tylko małostkowego, lecz także horrendalnego. Otóż prezydent Ignacy Mościcki i premier Felicjan Sławoj-Składkowski… odmówili królowi uroczystego pochówku na Wawelu. Mało tego, postanowili go pochować jak opryszka. Po kryjomu, nocą, w małym prowincjonalnym kościele św. Trójcy w Wołczynie w pobliżu Brześcia. Świątynię tę ufundował niegdyś ojciec ostatniego króla i młody Poniatowski został w niej ochrzczony.

Cała procedura odbyła się 14 lipca 1938 r. Posrebrzana, ważąca 600 kg trumna króla – która trzy dni wcześniej przybyła z Leningradu w zaplombowanym sowieckim wagonie – została przetransportowana nocą do Wołczyna ze stemplem… „bagaż zwykły". Zamiast kilku szwadronów kawalerii z rozwiniętymi proporcami towarzyszyło jej kilku policjantów z pałkami gumowymi.

Policja wyrwała ze snu miejscowego proboszcza i kazała mu otwierać kościół. Trumnę wpakowano do – oddzielonej kratą – niszy kościelnej, na którą założono kłódki. A urny z sercem i wnętrznościami króla umieszczono w krypcie. O procedurze nie poinformowano opinii publicznej, a proboszcz wołczyński dostał od władz nakaz trzymania ust na kłódkę i zakaz odprawienia mszy za królewską duszę! Miejmy nadzieję, że do zakazu tego się nie zastosował.

Bez wątpienia rację miał prof. Tomasz Nałęcz, gdy pisał, że procedura ta przypominała bardziej pozbycie się ciała ofiary przez grupę gangsterów niż pochówek monarchy wielkiego europejskiego państwa. Co tu dużo mówić, było to prawdziwe upokorzenie godności narodu polskiego. Tym głębsze, że ów „pogrzeb", który władze sanacyjne zafundowały Stanisławowi Augustowi, w jaskrawy sposób kontrastował z pogrzebem, który w 1789 r. urządzili mu Rosjanie.

„Car Paweł I Piotrowicz – pisał Jerzy S. Majewski – szczerze nienawidzący

Jan Czesław Moniuszko „Stanisław August w Petersburgu" FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 448724bf47

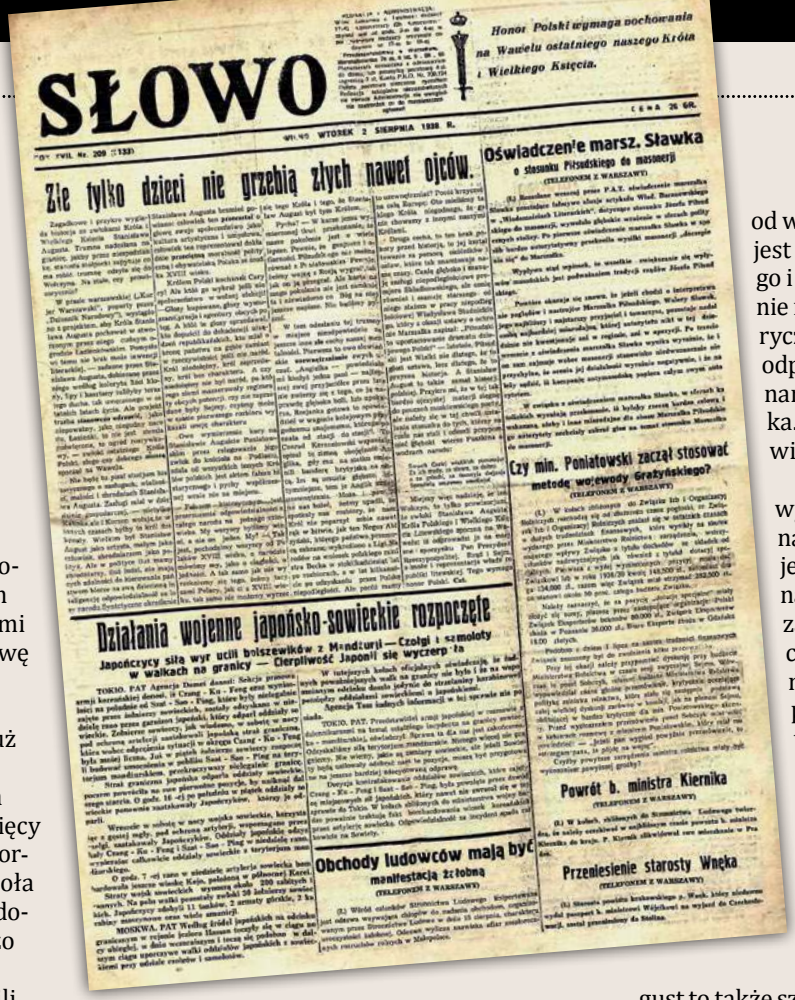

SŁOWO

Honor Polski wymaga pochowania na Wawelu ostatniego naszego Króla i Wielkiego Księcia.

CENA 20 GR.

WTOREK 2 SIERPNIA 1938 R.

Złe tylko dzieci nie grzebią złych nawet ojców.

Oświadczenie marsz. Sławka o stosunku Piłsudskiego do masonerji

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

Czy min. Poniatowski zaczął stosować metodę wojewody Grażyńskiego?

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

Działania wojenne japońsko-sowieckie rozpoczęte

Japończycy siłą wyrzucili bolszewików z Mandżurji — Czołgi i szmoloty w walkach na granicy — Cierpliwość Japonji się wyczerpała

Obchody ludowców mają być manifestacją żałobną

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

Powrót b. ministra Kiernika

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

Przeniesienie starosty Wnęka

(TELEFONEM Z WARSZAWY)

swojej matki Katarzyny Wielkiej, wyprawił pozbawionemu przez nią tronu polskiemu monarsze wspaniały pogrzeb. Sam przy tym pilnował wielu szczegółów uroczystości. Zabalsamowane ciało ubrano w mundur polskiej gwardii koronnej przepasane błękitną wstęgą z Orderem Orła Białego. Okryto je purpurowym płaszczem podbitym gronostajem z haftowanymi orłami. Car założył na głowę zmarłego króla koronę ze złota.

W dniu pogrzebu wzdłuż trasy orszaku z Pałacu Marmurowego do kościoła św. Katarzyny stało 18 tysięcy żołnierzy, a car prowadził orszak konno. Wnętrze kościoła udekorował i katafalk zbudował wielki artysta Vincenzo Brenna".

A więc Rosjanie potrafili zachować się rycersko wobec pokonanego, upokorzonego przez nich króla. A jego właśni rodacy – nie. Mimo że od śmierci tragicznego monarchy upłynęło już przecież 140 lat. Doprawdy, smutną historię przyszło mi dziś opisywać na łamach „Historii Do Rzeczy"!

Wróćmy jednak do roku 1938. Z czasem wołczyński „pochówek" oczywiście wyszedł na jaw i w efekcie doszło do wielkiego skandalu. Prasa opozycyjna grzmiała z oburzenia. Wielu publicystów wyrażało swoje zdumienie z powodu podobnego niegodnego potraktowania szczątków królewskich. Ich zdaniem monarcha powinien był spocząć na Wawelu lub w swoich ukochanych Łazienkach Królewskich w Warszawie.

Honor Polski

Głośno protestowali oczywiście monarchiści i konserwatyści, na czele z redaktorem naczelnym wileńskiego „Słowa" Stanisławem Catem-Mackiewiczem. 2 sierpnia 1938 r. opublikował on na łamach swojego dziennika artykuł: „Złe tylko dzieci nie grzebią złych nawet ojców".

Generał Felicjan Sławoj-Składkowski, premier w latach 1936–1939

FOT. WIKIPEDIA

„Zagadkowo i przykro wygląda historia ze zwłokami Króla i Wielkiego Księcia Stanisława Augusta – pisał. – Zwłoki ostatniego Króla Polski, złego czy dobrego, muszą spocząć na Wawelu. Owe wymierzenie kary na Stanisławie Auguście Poniatowskim poprzez relegowanie jego zwłok do kościoła na Podlasiu, z dala od wszystkich innych Królów, jest aktem fałszu historycznego i pychy współczesnej wcale nie na miejscu. Fałszem historycznym jest przerzucenie odpowiedzialności z całego narodu na jednego człowieka. My wszyscy byliśmy winni, a nie on jeden.

Pycha? W karze jemu wymierzonej tkwi przekonanie, że nasze pokolenie jest o wiele lepsze. Ale karta naszego pokolenia nie jest zamknięta i nie wiadomo, co Bóg na niej jeszcze napisze. Nie bądźmy pyszni. W tym odesłaniu tej trumny w miejsce nieodpowiednie są jeszcze inne złe cechy naszej mentalności. Brak pokory przed historią, to jej kształtowanie za pomocą okólników i ustaw, które tak znamionuje nasze czasy. A Stanisław August to także szmat historii polskiej.

Miejmy więc nadzieję, że ten Wołczyn to tylko prowizorium, że zwłoki Stanisława Augusta, Króla Polskiego i Wielkiego Księcia Litewskiego spoczną na Wawelu, iż odprowadzi je na miejsce spoczynku Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Rząd i Sejm, a może i reprezentacja władz republiki litewskiej. Tego wymaga honor Polski".

Stanisław Cat-Mackiewicz głównego winowajcę skandalicznego potraktowania szczątków Stanisława Augusta Poniatowskiego widział w premierze Felicjanie Sławoju-Składkowskim.

„Za czasów jego premierostwa przywieziono do Polski zwłoki króla i wielkiego księcia Stanisława Augusta – pisał konserwatywny publicysta. – Składkowski oświadczył, że nie może tego króla pochować na Wawelu, bo to był zły król, i w nocy po kryjomu kazał go zamurować w zakrystii w Wołczynie, byłym rodzinnym majątku Poniatowskich na Podlasiu. Pisałem mu wtedy dość wyraźnie: zobaczymy jeszcze, na jaki pogrzeb pan zasłużysz".

Były to słowa prorocze. Ocena historii jest miażdżąca. Cóż to zresztą za porównanie! Z jednej strony tragiczna postać króla, który próbował powstrzymać Rzeczpospolitą przed klęską. Z drugiej

eprasa.pl 448724bf47

groteskowa postać premiera-figuranta, członka obozu politycznego, który Rzeczpospolitą w straszliwą klęskę władował.

Dzisiaj postać Stanisława Augusta Poniatowskiego wzbudza olbrzymie zainteresowanie, wielkie historyczne debaty i spory. A jeżeli ktoś wspomina o Sławoju, to tylko w kontekście drewnianych toalet, które kazał stawiać przy wiejskich chałupach. Wieść niesie, że gdy premier Składkowski w 1939 r. znajdował się już na drodze zaleszczykowskiej, jeszcze osobiście wypisywał mandaty chłopom, którzy nie zastosowali się do jego sanitarnych zarządzeń.

Prawdziwy pogrzeb

Wróćmy jednak do zwłok ostatniego króla Polski. W 1939 r. Wołczyn znalazł się pod okupacją bolszewicką. A po wojnie został ostatecznie oderwany od Polski i włączony do Związku Sowieckiego. To właśnie najprawdopodobniej wówczas bolszewicy sprofanowali i ograbili szczątki królewskie. Władze PRL oczywiście się nimi nie interesowały, a kościół św. Trójcy – zamknięty na cztery spusty – z czasem popadał w ruinę. Wraz z tym, co zostało z króla i jego trumny.

Sytuacja się zmieniła, gdy komuna zaczęła się chylić ku upadkowi. Szczegóły dalszych losów szczątków króla opisał – cytowany już – znakomity varsavianista Jerzy S. Majewski w artykule „Tajemnica królewskiego grobu". Otóż w latach 80. ruiny kościoła zaczęli penetrować miejscowi miłośnicy kultury. Znaleźli oni w nich „strzęp królewskiego płaszcza, kawałek wstęgi orderowej, skórzany obcas, kowalski gwóźdź, haftowanym srebrem polski Orzeł z wydartym złotym haftem z wizerunkiem herbu Ciołek". Wszystko to zostało przez władze sowieckiej republiki białoruskiej przekazane polskiej komisji, która przybyła z Warszawy w roku 1988.

Wkrótce jednak w kościele rozpoczęto prace archeologiczne i znaleziono również elementy ciała, pył kostny, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Minister kultury niepodległej już Białorusi zapakował te szczątki króla do… teczki i zawiózł je do Warszawy!

„Ponowny pogrzeb króla miał miejsce w warszawskiej katedrze św. Jana wieczorem 14 lutego 1995 r. – pisał Jerzy S. Majewski. – Po dwustu latach, przynajmniej w znaczeniu symbolicznym król wreszcie wracał do Warszawy. Zanim doszło do uroczystości, urna z zebranym prochem kostnym wystawiona została na widok publiczny w Wielkiej Sali Zamku Królewskiego. Do kościoła przeniósł ją biskup Marian Duś, a orszakowi z Zamku do katedry towarzyszyło bicie dzwonów kościelnych, werble i pochodnie. W uroczystościach w katedrze uczestniczył ówczesny prezydent Lech Wałęsa, mszę zaś odprawił prymas Józef Glemp. Po jej zakończeniu urnę złożono w grobowcu, do którego już wcześniej włożony został pojemnik z miedzianych płyt, w którym znalazły się wszystkie przywiezione z Białorusi elementy królewskiego pochówku".

Wreszcie król został potraktowany po królewsku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA **wydajenamsie.pl**

Wydaje nam się

eprasa.pl 448724bf47

1942/1943 / Film „Wróg u bram" w reżyserii Jeana J. Annauda

Jakub Ostromęcki

Ofiarą Zajcewa padali najczęściej nie oficerowie, ale żołnierze niosący na plecach wielkie termosy z zupą lub wodą. Takich było najłatwiej trafić

JUDE LAW JAKO WASILIJ ZAJCEW. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Snajperzy w Stalingradzie

Jeden pocisk może zmienić bieg historii" – takim sloganem reklamowano film „Wróg u Bram". Jean-Jacques Annaud opowiada w nim dzieje bitwy o Stalingrad z perspektywy dwóch snajperów: mjr. Erwina Königa i szer. Wasilija Zajcewa, którzy pośród ruin miasta stają do pojedynku na śmierć i życie. Pomysł ten oparty jest na książce Williama Craiga o tym samym tytule co film. Amerykański pisarz posługiwał się z kolei relacjami uczestników walk. Wydawałoby się zatem, że film będzie wiernie nawiązywał do historii. Niestety, mimo zapewnień twórców jego główny wątek jest zmyślony.

Filmowy Zajcew zostaje wysłany do Stalingradu. Już w pierwszym starciu z Niemcami daje się poznać jako znakomity strzelec. Świadkiem tego jest komisarz polityczny Daniłow. Szybko rekomenduje on Zajcewa samemu Chruszczowowi i rosnącą sławę niegdyś anonimowego żołnierza wykorzystuje w propagandzie frontowej. Niemców z rąk bohatera wkrótce ginie tak wielu, że na Zajcewa zaczyna szykować się mjr König, szef Berlińskiej Szkoły Snajperów. Sowiecki strzelec oczywiście wygra to starcie. Zajcew i Daniłow rywalizują jednocześnie przez cały film o względy Tani Czernowej, służącej raz to w piechocie, raz w propagandzie.

Wasilij Zajcew, wówczas podporucznik, a nie szeregowy, to jeden ze słynniejszych sowieckich snajperów mający na koncie 149 Niemców. Pochodził co prawda z Uralu, nie był jednak niepiśmiennym mużykiem, ale skończył technikum, i zanim trafił do Stalingradu, służył w marynarce wojennej.

Pojedynek Zajcewa z Königiem jest fikcją. Antony Beevor, autor jednej ze słynniejszych monografii bitwy o Stalingrad, stwierdził w wywiadzie dla „The Guardian": „Major König nigdy nie istniał. Był wynalazkiem sowieckich speców od propagandy. Cała ta historia wywodzi się najprawdopodobniej z serii podchodów pomiędzy Zajcewem a anonimowym snajperem niemieckim. Cała otoczka na czele z historią miłosną są wymysłem Craiga. Podobnie jak Berlińska Szkoła Snajperów. Gdyby taki pojedynek rzeczywiście miał miejsce, sowiecka propaganda nie zmarnowałaby okazji, by go wykorzystać". Wcześniej w swojej monografii Beevor dodawał: „Nie ma o niej absolutnie żadnej wzmianki w jakimkolwiek raporcie przekazanym Szczerbakowowi [głównemu politrukowi Armii Czerwonej – przyp. J.O.], chociaż o niemal każdym aspekcie »snajperstwa« donoszono mu z upodobaniem".

Ofiarą Zajcewa padali najczęściej nie oficerowie, ale żołnierze niosący na plecach wielkie termosy z zupą lub wodą. Takich było najłatwiej trafić. Prawdziwi

eprasa.pl 448724bf47

snajperzy wymyślali wyrafinowane sposoby maskowania, włącznie z ukrywaniem się w pękniętych rurach czy przewróconych beczkach. Zajcew nie był tu wyjątkiem. Filmowy pomysł z hełmem wysuwanym nad parapet za pomocą linki, aby sprowokować Niemca do jakiegoś głupiego ruchu, jak na doświadczonego snajpera jest jednak zbyt oklepany.
W Stalingradzie sowieccy snajperzy stosowali inne metody. Kopali fałszywe okopy, ustawiając w nich w nocy strachy na wróble ubrane w sowieckie mundury, tudzież montowali tyczki z białymi szmatami, którymi sterowali za pomocą systemu linek, co miało sugerować chęć poddania się i sprowokować Niemców do wysunięcia się z kryjówki.

Annaud mocno zmitologizował też postać snajperki Tani Czernowej, wierząc we wszystko, co owa Rosjanka opowiedziała w latach 60. Craigowi. Beevor i tutaj sprowadza widzów na ziemię: „Ta kobieta była fantastką. Wówczas w Stalingradzie nie było kobiet-snajperów. Jednostki takie stworzono w 1943 roku. Mogła być co najwyżej zwykłym żołnierzem".

Taktyka

Walki w mieście rozgrywają się tu w myśl dość ordynarnego schematu pasującego bardziej do poprzedniej wojny. Sowieci atakują przez otwarty plac miejski, a Niemcy czekają na nich w okopie. Żołnierz przy żołnierzu. Nikt nie wykorzystuje otworów okiennych, dziur w ścianach czy stert gruzu.

Takie uderzenia na pozycje przeciwnika skutkujące potwornymi stratami były w armii sowieckiej nagminne, ale w Stalingradzie Armia Czerwona dość szybko nauczyła się bardziej skutecznej, choć równie kosztownej taktyki. Nie uświadczymy jej w filmie. Przede wszystkim zamiast biegać setkami metrów po odsłoniętych ulicach, Sowieci usadawiali się jak najbliżej niemieckich pozycji, czasem w odległości kilkunastu metrów. W takiej sytuacji Niemcy, chcąc wykorzystać swój największy atut, czyli perfekcyjne zgranie piechoty, artylerii i lotnictwa, ryzykowali ostrzał swoich własnych pozycji.

„Kula głupia, saperka zuch" – ta parafraza powiedzonka Suworowa z wojen napoleońskich dobrze opisuje upodobanie Sowietów do ataków z użyciem broni białej, często w nocy. Straty były duże, ale skrajnie wyczerpywały Niemców. Sowieci potrafili też finezyjnie organizować obronę. Wykorzystywali każdą kupę gruzu, aby poukrywać działa przeciwpancerne i czołgi. Zamiast z okien strzelali z bezpieczniejszych dziur wybitych w ścianach. Obronę niektórych domów celowo osłabiali po to, aby skanalizować natarcie Niemców na wybranych ulicach. Tam jednak czekały już zmyślnie rozmieszczone miny. Moździerze zaś łupały pomiędzy czołgi a idącą za nimi piechotę, aby rozdzielić te dwie formacje. Landserzy przeklinali teraz Luftwaffe za zbombardowanie miasta, zwłaszcza fabryk. Każda gigantyczna sterta żelastwa, zniszczona suwnica, przewrócony silos stały się śmiertelną pułapką. W filmie w tej postapokaliptycznej scenerii zmagają się snajperzy, ale w rzeczywistości musieli się w niej również odnaleźć zwykli piechurzy.

Film sugeruje, że Nikita Chruszczow jest najważniejszą postacią w dowództwie fontu stalingradzkiego, choć naprawdę byli to generałowie Andriej Jeriomienko i Wasilij Czujkow. Sam Chruszczow nie organizował swojej kwatery na zachodnim brzegu Wołgi, lecz nadzorował front z bezpieczniejszego, wschodniego. W zrujnowanym mieście pozostawał natomiast Czujkow.

Dzieci, hiwisi i cywile

Jedną z kluczowych postaci filmu jest Sasza – młody chłopak, który za kawałek boczku i tabliczkę czekolady wykonuje dla Niemców prace gospodarskie. Służy też Königowi jako przewodnik. Młodzik jest jednak podwójnym agentem. Przekazuje Zajcewowi informacje, gdzie danego dnia będzie zasadzał się König. Niemiec zdaje sobie z tego sprawę, pragnie jednak posłużyć się dzieckiem w starciu z przeciwnikiem.

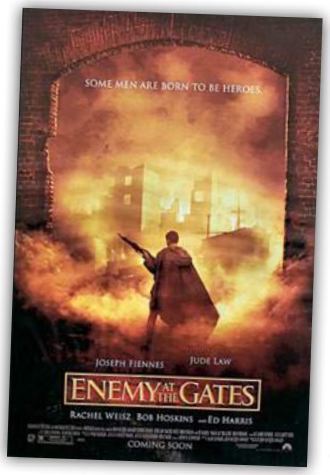

Gdy pomiędzy snajperami dojdzie do ostatecznego pojedynku, Sasza stanie oczywiście po stronie Zajcewa. Zimny i wyrachowany König powiesi potem dziecko na stryczku wśród ruin, co ma dodatkowo zdezorientować Rosjanina. Reżyser mówi w ten sposób wyraźnie: Stalin co prawda nie był fajny, ale prawdziwymi ludobójcami byli Niemcy. Jest to teza fałszywa nie tylko w kontekście podobieństw między zbrodniami obu systemów w czasie całej wojny, lecz także z perspektywy Stalingradu. Takich Saszów były wówczas setki. Mogli oczywiście zginąć z ręki Niemców – np. za „kradzież" jedzenia z magazynów czy w roli żywej tarczy – ale najgorsze, że strzelali do nich również „swoi" i to nie przez pomyłkę.

Beevor pisze: „Tak więc za obiecaną skórkę od chleba rosyjscy chłopcy i dziewczyny brali manierki do Wołgi i napełniali je. Kiedy strona rosyjska uświadomiła sobie, co się dzieje, żołnierze Armii Czerwonej zaczęli strzelać do dzieci spełniających owe polecenia. […] Stalin wydał natychmiast rozkaz, aby żołnierze Armii Czerwonej zabijali wszystkich cywili słuchających rozkazów Niemców, nawet jeśli czynili to pod przymusem". Autor przytacza meldunek 37. Gwardyjskiej Dywizji Piechoty: „Wróg zmuszał cywili do znoszenia z pola walki zabitych niemieckich żołnierzy i oficerów. Nasi żołnierze otwierali ogień niezależnie od tego, kto usiłował zbierać faszystowskie trupy". Niestety, do zachodniego widza takie fakty trafiają bardzo rzadko.

Sasza jest w filmie jedynym Rosjaninem służącym u Niemców. A mimo to i tak w miarę możliwości, narażając życie, stara się dochować wierności swoim. Widz ma zatem wrażenie, że Niemcy i ich sojusznicy na południowo-rosyjskim stepie byli całkowicie osamotnieni. To nieprawda. Istniała bowiem dość specyficzna kategoria Rosjan, których w Wehrmachcie nazywano hiwisami, a w Armii Czerwonej „byłymi Rosjanami". Ludzie ci, bądź to mając dość komunistycznych zbrodni ostatnich 20 lat, bądź to z głodu przechodzili na stronę Niemców. Liczby te szły w tysiące – w niektórych dywizjach stanowili czwartą część składu

eprasa.pl 448724bf47

osobowego, a w całej 6. Armii było ich ponad 50 tys. W filmie trudno uświadczyć krasnoarmiejca, który uciekałby do Niemców. A w Stalingradzie zdarzały się wszak sytuacje w kontekście brutalności frontu wschodniego zupełnie niepojęte, gdy niemieckie czołgi otwierały ogień do Sowietów, aby ochronić uciekających dezerterów przed ogniem ich kolegów.

Gdy Chruszczow przybywa do Stalingradu, na nadbrzeżu Wołgi kłębi się tłum cywili chcących opuścić miasto i dostać się na wschodni brzeg. Władza mówi jednak twardo: „Nie!". 22 września 1941 r. – wtedy ta scena się rozgrywa – zakaz ten już jednak nie obowiązywał, co nie znaczy, że łatwo było przedostać się przez wielką rzekę. Dlaczego niemal do końca sierpnia Stalin kazał cywilom tkwić w bombardowanym mieście, gdzie ginęli tysiącami? Otóż ich ewakuacja mogłaby „wzbudzić panikarstwo i nastroje defetystyczne", a poza tym milicje powołane z robotników miałyby walczyć lepiej, „wiedząc, iż obok są ich sąsiedzi i rodziny".

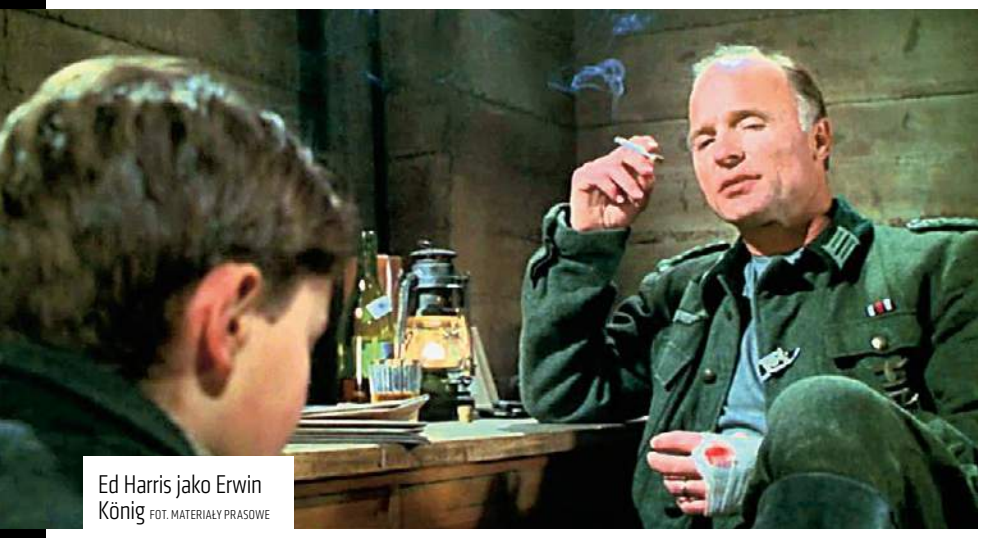

Ed Harris jako Erwin König FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ani kroku w tył

Annaud jest zbyt poważnym twórcą, aby pozwolić sobie na lukrowanie Sowietów. Nie ma co się zatem dziwić, gdy nieopierzeni rekruci ruszają na wroga bez broni – mają ją podnieść dopiero po śmierci swojego towarzysza, ewentualnie zdobyć na wrogu. A jeśli, co raczej pewne, nie sprostają żelaznej niemieckiej obronie i pomyślą o odwrocie, wówczas dosięgnie ich seria z ckm wystrzelona przez NKWD-zistów realizujących rozkaz „Ani kroku w tył!".

W Stalingradzie, w tak dosłownej formie jak w filmie, „oddziały zaporowe" działały na tyłach brygad specjalnych złożonych z robotników. Jest to jednak tylko rąbek owej koncepcji „wzmacniania morale". Do sowieckich kompanii karnych w czasie tej kampanii trafiali żołnierze, którym udało się wydostać z niemieckiego okrążenia czy niewoli, a powinni przecież tkwić na pozycjach i nie poddawać się. Gorzko można było zapłacić za parę słów szczerości w liście do rodziny – np. za samo stwierdzenie, że niemieccy piloci myśliwców przewyższają sowieckich. Cywile byli wysyłani do łagrów pod zarzutem „opuszczenia miejsca pracy", choć w tym czasie w rzeczywistości uciekali przed bombardowaniem. W monografii Beevora znajdujemy jeszcze jeden sowiecki absurd: „Przeciwko 16. Dywizji Pancernej wysłano trzy bataliony kadetów, lecz nie dano im ani broni, ani racji żywnościowych. Ich dowódca, poddawszy się po tej masakrze do niewoli, powiedział tym, którzy go ujęli, że kiedy zaprotestował przeciw »temu bezsensownemu zadaniu«, dowódca armii, niewątpliwie pijany, wydarł się na niego, żeby robił, co mu każą".

Brakowało również mundurów i butów. „Grzebiąc ciała, niczego nie marnowano. W nocy wysyłano nawet ludzi na przedpole, aby rozbierali poległych do bielizny. Wielu szokował widok zabitych towarzyszy leżących półnago na polu. Wraz z nadejściem surowej zimy szczególnie cenne stały się śnieżne kombinezony maskujące. Ranny starał się zdjąć swój biały kombinezon, zanim splamiła go krew. Powszechnie znane są przypadki , kiedy żołnierze, zbyt poważnie ranni, […] przepraszali rozbierających ich kolegów za ewentualne plamy krwi".

W filmie na jakiejś nieznanej stacji kolejowej pociąg wiozący mjr. Königa mija się akurat z transportem niemieckich rannych jadącym do Rzeszy. Po ich stanie widać jednak, że ktoś się nimi opiekuje. Aż się prosi, aby kamera przeskoczyła wówczas nad Wołgę. Sowieccy ranni, jeśli w ogóle załapali się na transport na wschodni brzeg, byli pozostawiani tam na łaskę losu. Leżeli potem tak całymi godzinami w błocie, cierpiąc katusze. Skarpa rzeczna zaczęła wówczas wyglądać jak plan filmowy horroru, z tym że działo się to naprawdę. Tłum zakrwawionych ludzi, niektórzy bez nóg i rąk, czołgał się niezgrabnie po rzecznej skarpie, krzycząc z bólu i licząc na to, że usłyszy ich jakiś patrol. Dla sowieckiego dowództwa liczyło się przede wszystkim dostarczenie uzupełnień na front. Opieka nad rannymi była sprawą drugorzędną.

Horror walk, gigantyczne straty, samobójcze rozkazy dowództwa powodowały, że żołnierze topili strach w alkoholu. Z wódką, nawet z bimbrem, był jednak problem. Wielu żołnierzy piło więc trujące płyny spuszczane z samochodów bądź czołgów, filtrując je przez maski gazowe. Beevor przytacza przykład 248. Dywizji Piechoty, której żołnierze uczcili rocznicę rewolucji antidotum stosowanym po ataku bronią chemiczną. Zamiast kilku kropel pili jednak całymi menażkami. Dwudziestu ośmiu żołnierzy zmarło, wielu trafiło do szpitali. Być może reżyser unikał takich scen, bojąc się zarzutu taniego grania na stereotypach, ale w tym akurat przypadku znajdują one niestety potwierdzenie.

***

Annaud miał prosić Beevora o to, aby nie był oficjalnie zbyt surowy dla filmu, gdyż wytwórnia… promowała go jako „prawdziwą historię". Na niezadowolenie autora reżyser miał na to odpowiedzieć: „Antony, ale gdzie naprawdę kończy się historia, a zaczyna mit?". Z pewnością ten film stoi bardziej po stronie mitu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl 448724bf47

1918–1920 / Straty w obronie granic i niepodległości

Zaraza i wojna

Żołnierze byli jedną z grup najbardziej narażonych na zakażenie się hiszpanką

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Maciej Rosalak

Hiszpanka, tyfus i inne choroby zabierały Polaków jak kule i granaty

Wśród strat, które poniosła Polska w okresie pierwszej wojny światowej i paru lat po niej, najbardziej bolesne były straty ludzkie. W armiach zaborczych zginęło ok. 400 tys. Polaków, ponad 100 tys. w obronie granic i niepodległości, 300–400 tys. ludności cywilnej zmarło na skutek złych warunków bytowych i chorób. Niemal 1 mln ludzi – w ogromnej większości młodych mężczyzn – tyle kosztowały naród polski dramatyczne wydarzenia lat 1914–1921.

Dodajmy, że w tym czasie ok. 3 mln osób wysiedlono z ich domów, niszcząc cały ich dobytek. Blisko 90 proc. terytorium Polski obejmowały działania wojenne. Fronty przetaczały się ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, pozostawiając za sobą zniszczone uprawy i spalone wsie, ludzi pozbawionych dobytku i środków do życia. W całym społeczeństwieszerzyły się choroby, w tym śmiertelnie niebezpieczne zarazy, takie jak tyfus i grypa zwana hiszpanką, atakująca głównie młodych ludzi.

Wedle pierwszego spisu powszechnego, przeprowadzonego we wrześniu 1921 r., ludność odrodzonej Polski liczyła 25 694 tys. mieszkańców (z tego blisko 70 proc. narodowości polskiej). W ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy przybyło jednak blisko pół miliona repatriantów z Rosji, niemal pół miliona mieszkańców Litwy Środkowej i 1 mln 125 tys. ludzi zamieszkujących obszary Górnego Śląska i Śląska Cieszyńskiego, które przyłączono do państwa polskiego i z których utworzono województwo śląskie. Tak więc można przyjąć, że II Rzeczpospolita Polska liczyła w 1922 r. ok. 28 mln obywateli.

Gdyby nie pierwsza wojna światowa, epidemie i konieczność walk w obronie niepodległości i granic II RP liczyłaby wówczas 29 mln, a może nawet 30 mln obywateli, biorąc pod uwagę potencjał reprodukcyjny owego 1 mln, który oznaczał niepowetowaną wyrwę w naszej strukturze demograficznej.

Cierpieliśmy my i sąsiedzi, o czym świadczy wstęp do pionierskiej pracy badaczy z Torunia [„Tuchola. Obóz jeńców i internowanych 1914–1923", oprac. Zbigniew Karpus i Waldemar Rezmer; Część II: „Choroby zakaźne i walka z nimi (1920–1922)" – we współpracy z Krzysztofem Klawonem, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Toruń 1998]:

„Z epidemiami wśród oddziałów wojskowych i ludności cywilnej nie potrafiły się uporać nawet tak bogate i dobrze zorganizowane państwa jak np. Niemcy czy Austro-Węgry. Problem ten dał o sobie znać ze szczególną ostrością w Rosji i Rumunii. Tylko z wielkim trudem służbom sanitarno-medycznym tych państw udawało się okresowo powstrzymywać rozprzestrzenianie się niezwykle groźnych chorób. Z chwilą wybuchu rewolucji w Rosji w 1917 r. i rozpalenia się na ogromnych terenach ognisk wojny domowej sytuacja stała się dramatyczna. Uczestnicy tych walk (bolszewicy, formacje białogwardyjskie, oddziały ukraińskie, kozackie i inne) nie miały ani sił, ani środków do skutecznego zwalczania epidemii. Na choroby zakaźne zapa-

eprasa.pl 448724bf47

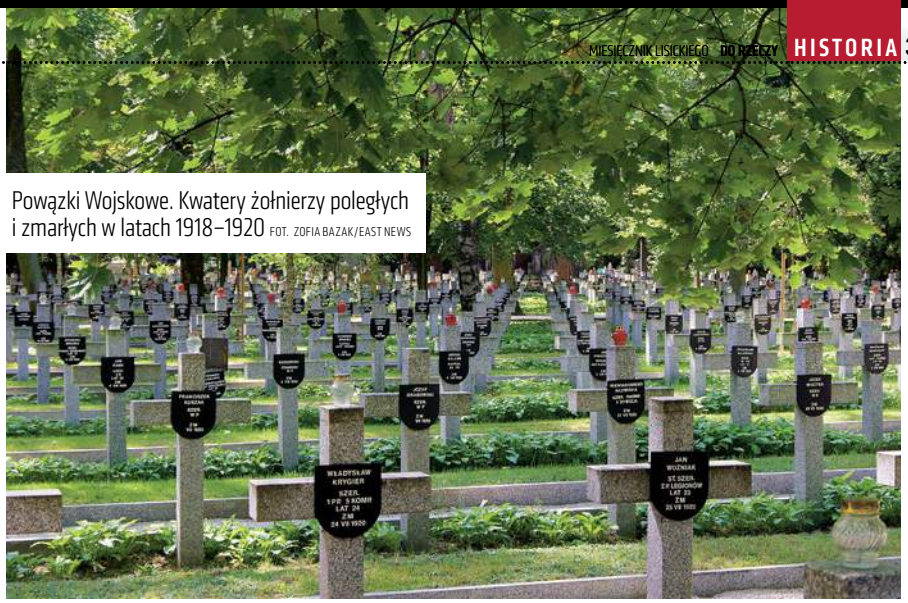

Powązki Wojskowe. Kwatery żołnierzy poległych i zmarłych w latach 1918–1920 FOT. ZOFIA BAZAK/EAST NEWS

dały setki tysięcy żołnierzy i cywilów; w niektórych armiach okresowo większość żołnierzy nie była zdolna do boju ze względu na stan zdrowia. Przykładem mogą być chociażby oddziały wchodzące w skład armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, wśród których jesienią 1919 r. wybuchła epidemia tyfusu plamistego. W efekcie nie były one w stanie stawić skutecznego oporu nacierającym oddziałom bolszewickim i denikinowskim. Podobna sytuacja wystąpiła w tym samym okresie w szeregach Ukraińskiej Halickiej Armii. Większość żołnierzy leżała w szpitalach i lazaretach polowych oraz pośpiesznie tworzonych punktach kwarantannowych".

W bolszewickich siłach zbrojnych było jeszcze gorzej. Tutaj autorzy powołują się na opracowanie sowieckie („Radzieckie Siły Zbrojne 1918–1968", Moskwa 1968), z którego wynika, że „w okresie od września 1918 r. do grudnia 1920 r. powołano do Armii Czerwonej 4871 tys. oficerów, podoficerów i szeregowców. Spośród nich zmarło w wyniku najrozmaitszych chorób aż 1392 tys. osób, gdy tymczasem na polach bitew padło 780 tys. W armii bolszewickiej epidemie chorób zakaźnych zbierały obfite żniwo, gdyż brakowało nie tylko żywności, lecz także odpowiedniej odzieży, obuwia, personelu medycznego, sprzętu sanitarnego i medykamentów".

Choroby zakaźne przenosiły się najpierw z oddziałami niemieckimi i austro-węgierskimi, które po ofensywie 1915 r. przemieszczały się z zachodu na nasze dawne Kresy Wschodnie, a jesienią 1918 r. wracały do domu. Potem nasilenie tyfusu i czerwonki (biegunki) oraz kolejnego nawrotu hiszpanki nadchodziło właśnie wraz z białogwardyjskimi oddziałami gen. Antona Denikina, Ukraińską Halicką Armią, Armią Czynną URL oraz Armią Czerwoną. W ich najazdach należy upatrywać głównych źródeł tych chorób u nas podczas walk o niepodległość i granice.

Kowalscy i Giedrojciowie

Kilkanaście lat po ustaniu działań bojowych Wojskowe Biuro Historyczne opracowało (Warszawa, 1934) „Listę strat Wojska Polskiego. Poległych i zmarłych w wojnach 1918–1920". Mimo ogólnej wiedzy o wysokości strat oraz koniecznych uzupełnień, wynikającej z bieżących meldunków i raportów wojskowych, mimo zaangażowania kadr naukowych i dostępu do archiwów instytucji państwowych nie udało się sporządzić pełnej, imiennej listy ofiar. Opracowanie nie obejmuje nawet połowy poległych i zmarłych.

Znajdujemy w nim tylko 47 055 pozycji, z których każda zawiera: numer porządkowy, nazwisko, imię i stopień wojskowy żołnierza, nazwę jednostki wojskowej, w której szeregach walczył, przyczynę zgonu (zmarł z choroby, z ran, w wypadku lub poległ), datę i miejsce śmierci… „Lista…" obejmuje straty od listopada 1918 do końca 1920 r. i dotyczy wyłącznie sił zbrojnych walczących w kraju. Nie obejmuje więc np. strat 5. Dywizji Syberyjskiej, 4. Dywizji Strzelców Polskich na Kubaniu czy formacji gen. Hallera podczas walk we Francji.

Przeglądałem strona po stronie tę dokumentację ludzkich tragedii i żołnierskiej chwały, a wrażenie było dość niespodziewane: otóż orężna walka bynajmniej nie dominowała wśród okoliczności zgonów. Aby to ująć w liczbach, zgodnie z regułami statystyki i demografii wyłoniłem dość reprezentatywną grupę Kowalskich. Od numeru 18 293 do 18 464 wymienianych jest 171 żołnierzy Wojska Polskiego o tym nazwisku.

Największą liczbę stanowią szeregowcy, do których zaliczyłem oczywiście również strzelców, ułanów, kanonierów i marynarzy. Było ich aż 153. Liczba poległych i liczba zmarłych są niemal równe, ale ponieważ mniej więcej trzecią część drugiej grupy stanowią zmarli z ran, trzeba uznać, że również – tak jak poległych – przyczyną ich śmierci była walka z bronią w ręku.

Z kolei kilku ze zmarłych zakończyło życie w wypadkach – paru z nich utonęło – a inni umarli w niewoli rosyjskiej; bez wyjątku jesienią 1920 r. (jeńców mordowanych natychmiast po ujęciu „Liczba strat…" nie uwzględnia).

Podoficerów – głównie kaprali i sierżantów – zauważyłem 10. Wszyscy polegli, poza kpr. Władysławem Kowalskim, który zmarł w rosyjskiej niewoli, „w Ekaterynburgu".

Jedynym podchorążym był Tadeusz Kowalski, który poległ 2 sierpnia 1920 r. w Brześciu nad Bugiem.

Wśród siedmiu oficerów znalazłem jednego porucznika – z 201. Pułku Szwoleżerów Stanisława Kowalskiego. Poległ on pod Łobodą 24 maja 1920 r. Pozostali byli podporucznikami, a więc zapewne młodymi ludźmi, którzy dopiero co otrzymali szlify. I tak:

– ppor. Kazimierz Kowalski z 9. Pułku Ułanów zginął 23 stycznia 1919 r. pod Przemyślem;

– ppor. Kazimierz Kowalski z 3. Pułku Strzelców Lwowskich zmarł z ran w szpitalu między 10 a 20 lutego 1919 r.;

– ppor. Mieczysław Marjan Kowalski ze 155. Pułku Piechoty poległ 4 lipca 1920 r. w Starych Kurtach;

– ppor. Stanisław Kowalski z 201. Pułku Szwoleżerów poległ pod Dobrem 12 sierpnia 1920 r.;

– podporucznicy Kowalscy – obydwaj o imieniu Wiktor, ale jeden z 55. Pułku Piechoty, a drugi z 18. Pułku Piechoty – zmarli wskutek choroby 6 lipca 1920 r. w Cholewicach. Jednoczesny zgon w tym samym miejscu dowodzi, że była to prawdopodobnie choroba zakaźna. Nie dowiemy się już jaka.

Widzimy w tych krótkich nekrologach dramatyczne walki o Lwów i Galicję Wschodnią zimą 1919 r. oraz

eprasa.pl 448724bf47

Szpital Wojskowy
Wykaz żołnierzy chorych na choroby zakaźne z dnia 9 kwietnia 1920 r.

L. p.	Oddział	Szarża	Imię i nazwisko	Data przyjęcia	Nazwa choroby	Z jakiego oddziału i miejscowości oddany do szpitala	Miejsce pochodzenia
1	2. pp. III Rezerw. sapper.	szeregowiec	Jan Woelach	8/IV	Zapalenie płuc	2. pp. III Rezerw. sapper. Pietrków	Kamionka pow. Piotrków
2	2. pp. III Rezerw. sapper.	"	Jan Milewski	"	"	"	Gorki pow. Gostynin
3	2. pp. II Rezerw. sapper.	"	Herz Wróblewski	2/IV	bez powrotu	2. pp. II Rezerw. sapper. w Pietrkowie	~~Pabrow~~ Kurów pow. Opoczno
4	2. pp. III Rezerw. sapper.	"	Nawrymiec Szachmanek	"	"	2. pp. III Rezerw. sapper. Pietrków	Lublin

Dowódca Szpitala

Wykaz chorych zakaźnie jednego ze szpitali wojskowych na początku kwietnia 1920 r. FOT. APPT

na Ukrainie wiosną i latem 1920 r. z bolszewikami. Ginęli zwykle prości żołnierze i ich bezpośredni przełożeni, czy to podoficerowie, czy najniżsi stopniem oficerowie. Tak to na wojnie jest.

Spójrzmy jednak jeszcze na maleńką, elitarną grupę – a mianowicie Giedrojciów. Oto zestawienie z „Liczby strat…" (podaję zgodnie z pisownią oryginału i podziałem na rubryki: numer na liście; imię i nazwisko; stopień i jednostka, przyczyna i data śmierci):

9609. Giedrojć Gustaw, ppor. 1. dyw. piech., zm. r. (zmarł z ran) 23. VII.1919, Wilno;

9610. Giedrojć Konstanty, kpt. 1 p. inż., zm. r. 4.VIII.1919. szp. pol. (szpital polowy) 13;

9611. Giedrojć Wacław, sierż. wileń. p. strz. zm. (utonął) 27.IV.1920. Lepel (miasto na Witebszczyźnie);

9612. Giedrojć Wiktor, strz. wileń. p. strz. pl. (poległ) 3.II.1920. Lepel.

Dwaj oficerowie (kapitan i podporucznik) zmarli z powodu ran – niemal pewne, że odniesionych podczas zwycięskich walk toczonych wówczas na Wileńszczyźnie. Jeden podoficer (sierżant) utonął pod Lepelem, ale nie znamy okoliczności jego śmierci. Czy akurat udało mu się zażyć kąpieli w jednym z pobliskich jezior, czy – co bardziej prawdopodobne, bo przecież trwała wtedy nasza ofensywa na kresach północno-wschodnich – podczas przeprawy przez rzekę Uliankę wezbraną po wiosennych roztopach?

Poległ też szeregowiec Giedrojć. Trzeba tu zauważyć, że w listopadzie 1919 r. dwa bataliony 85. Pułku Strzelców Wileńskich w krwawych walkach zdobyły Lepel, ale na przebiegającym w pobliżu froncie podczas pierwszych miesięcy 1920 r. dochodziło nadal do zaciętych starć. Przedstawiciele wielkiego rodu Rzeczypospolitej walczyli więc i ginęli za swoją wielką ojczyznę na północno-wschodnich kresach, które stanowiły zarazem ich mniejszą, bliższą ojczyznę.

Hiszpanka po polsku

Epidemia hiszpanki, która na Zachodzie wygasła nagle (w USA jesienią 1918 r., w Europie Zachodniej latem 1919 r.), w Polsce występowała jeszcze w roku następnym. Nie zachowały się jednak dokładne dane o zgonach i zachorowaniach na ziemiach polskich. Ze szczątkowych przekazów wynika, że hiszpanka dotarła do Polski w lipcu 1918 r. – głównie wskutek wspomnianych wyżej transportów wojskowych, co potwierdza, iż szerzyła się głównie wzdłuż szlaku Lwów–Kraków– Katowice. Szczyt zakażeń odnotowano na przełomie września i października 1918 r., ale nie ustępowała do końca walk na terenach nimi objętych. Pod koniec przyczyniła się do licznych zgonów jeńców sowieckich, wziętych do niewoli podczas wojny polsko-bolszewickiej. Po zarazie pozostały jej nazwy „wołynka", „ukrainka" i „choroba bolszewicka".

Rafał Kuzak (wielkahistoria.pl/author/rafalkuzak), badacz ojczystych dziejów pierwszej połowy XX w., przytacza dramatyczną relację z tygodnika ludowców „Piast" z 13 października 1918 r. Oto fragmenty: „Całe połaci kraju [Galicji] ogarnęła nieznana dotąd epidemia – hiszpanka. Jak po miastach choroba ta nie jest tak straszną z powodu bliskości sąsiedztwa lekarzy, tak po wsiach czyni ona ogromne spustoszenia. […] W powiecie grybowskim i sądeckim są parafie (np. Krużlowa), w których jest po kilka pogrzebów dziennie zmarłych ludzi na hiszpankę. […] Całe gminy leżą w ogromnej gorączce, wielu chorym bucha krew z ust i nosa, wielu zrywa się w gorączce z łóżka i majaczy przez kilka dni, a kto się zaziębi, ten idzie na tamten świat. […] w niektórych domach nie miał kto bydła popaść lub strawy chorym ugotować, nie miał kto po trumnę zmarłemu jechać".

Wedle krakowskiego „Czasu" z końca października 1918 r. na grypę i zapalenie płuc w pierwszym tygodniu epidemii zmarły trzy osoby, w drugim 49, w trzecim 55, w czwartym 98, w piątym 87, w kolejnym 83, a w ostatnim 64. Tak więc od września do końca października na grypę i zapalenie płuc łącznie zmarło w Krakowie 439 ludzi. Miasto liczyło wtedy ok. 180 tys. mieszkańców, a więc straciło w ciągu sześciu tygodni ćwierć procentu populacji. Dziennik donosił ponadto, że w liczącym ok. 200 tys. mieszkańców Lwowie, który był w tym czasie jeszcze stolicą Galicji, śmiertelność również spadała i od 20 do 26 października na hiszpankę oraz zapalenie płuc zmarło tam 46 osób, a tydzień wcześniej zgonów było 87.

Z kolei w Poznaniu, gdzie mieszkało 156 tys. ludzi, według doniesień prasowych od początku epidemii do połowy października 1918 r. hiszpanka zabiła ok. 300 osób.

Ciekawy artykuł o śladach hiszpanki w Warszawie zamieścił zapalony varsavianista Rafał Jabłoński („Życie Warszawy" 2009), który ślady po hiszpance znajdował w starych gazetach i na epitafiach grobów. Kiedy na nagrobkach Cmentarza Powązkowskiego – pisał – widać młody wiek i datę z końca 1918 r., niemal pewne, że spoczywa tu ofiara hiszpanki. W 1918 r. nekrologi pełne były „krótkich i ciężkich cierpień" – synonimów śmierci spowodowanej pogrypowymi powikłaniami.

W gazetach warszawskich tylko raz znalazł nazwę hiszpanki, a mianowicie w nekrologu Leopolda Perlmuttera, literata. „Padł ofiarą grypy hiszpańskiej, przeżywszy lat 30" („Kurier Poranny"). Zmarł w Wiedniu i dlatego rzecz nie podlegała cenzurze prewencyjnej. Oto dalsze przykłady. Małżeństwo Gło-

eprasa.pl 448724bf47

Nekrologium.

† Dr Tadeusz Sierpniewski b. podpor
gionów, umarł we Lwowie na influenzę
przeżywszy lat 27.

ś. † p.

Janusz Ciborowski

b. słuchacz 3 kursu szkoły głównej Rolniczej w Warszawie, ułan 3 szwadronu IV pułku. Opatrzony św. Sakramentami, po krótkich lecz ciężkich cierpieniach zmarł dnia 14-go stycznia 1919 roku, przeżywszy lat 22.

Eksportacja do rogatki Bielskiej odbędzie się 16 b. m. t. j w Czwartek o godz. 10 rano ze szpitala Św. Trójcy zkąd zwłoki przewiezione będą do Warszawy dla złożenia w grobie rodzinnym na cmentarzu Powązkowskim. O dniu pogrzebu nastąpią oddzielne zawiadomienia w dziennikach Warszawskich. Na smutne te obrzędy zapraszają Krewnych, Kolegów, przyjaciół i znajomych, pozostali w głębokim żalu

Matka, Siostry, Szwagrowie i Rodzina.

ś. † p.

ROMAN SOKÓŁ

Plutonowy Żandarmerji Wojskowej

po krótkich lecz ciężkich cierpieniach zmarł dnia 8-go stycznia 1920-go roku, przeżywszy lat 22.

Eksportacja zwłok ze Szpitala chorób zakaźn. (za Warszawskimi Rogatkami) na cmentarz Rzymsko-Katolicki odbędzie się w sobotę dnia 10 stycznia, o godzinie 3-ej po południu. Na smutny ten obrzęd zapraszają Znajomych i Przyjaciół

Koledzy.

gowskich; on – 37 lat, ona – 28. Zostały osierocone dzieci... Albo: 20-letnia Róża Cohn, która zmarła „po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach". „Kurier Warszawski" z kolei doniósł o śmierci 26-letniej hrabiny z Potockich Tyszkiewiczowej. W „Kurierze Polskim" Jabłoński znalazł nekrolog 19-letniego Józefa Sliwerskiego, a po miesiącu jego dwóch sióstr – 18-letniej Leokadii i 24-letniej Stefanii. Lekarz, 33-letni dr Ludwik Karlsbad, zszedł „po krótkich i ciężkich cierpieniach […] padł ofiarą swego zawodu" („Kurier Warszawski"). W grudniu – porównując z końcem lata – wystąpiło potrojenie liczby nekrologów.

„Ciągłe pogrzeby... W końcu zbuntowali się... karawaniarze ręczni, którzy na początku grudnia 1918 roku – pisał »Kurier Polski« – ogłosili strajk. Sekcja wynajmu wózków zażądała podwyżek do 22 marek na dwóch ludzi". Natomiast podczas lokalnego zjazdu lekarzy poświęconego chorobom czasu wojny stwierdzono, że „walka z nimi powinna należeć do samorządów. Należy też robić kontrolę domową osób z otoczenia chorych, a nie kosztowną izolację". Komisja zdrowia publicznego przy Radzie Regencyjnej na początku listopada ostrzegała przed grypą: „trzeba unikać zgromadzeń", „środka na wyleczenie nie ma [...] środków ochronnych przeciwko influency nie znamy i też ich pewnie szybko nie poznamy".

Zdaniem R. Kuzaka i przywoływanego przezeń Łukasza Mieszkowskiego warszawski Wydział Statystyczny Magistratu od lipca 1918 do lutego 1920 r. zanotował 1189 zgonów spowodowanych grypą. W czasie pierwszej fali epidemii hiszpanki od października 1918 do lutego 1919 r. miało umrzeć 490 osób. Kolejny atak choroby zabił w osiem tygodni 487 osób. Z tego 158 zmarło w pierwszym tygodniu stycznia 1920 r. Do zgonów spowodowanych hiszpanką należy jeszcze dodać część tych, które zapisywano na karb zapalenia płuc, i można przyjąć, że łącznie w latach 1918–1920 z powodu hiszpanki w liczącej wtedy ponad 820 tys. mieszkańców Warszawie zmarło ok. 2 tys. osób (ćwierć procentu całej populacji w przeciągu kilkunastu miesięcy).

Dramat jeńców

Jeńców, wziętych do niewoli podczas wojny 1920 r., osadzano w obozach, które podczas pierwszej wojny urządzali Prusacy i Austriacy. Jak mówił prof. Zbigniew Karpus (mój wywiad z nim zamieszczony został w „Historii Do Rzeczy" z sierpnia 2013 r.), nie da się dokładnie ustalić ani liczby jeńców bolszewickich, ani liczby tych, którzy w obozach umarli. Po ostatniej wojnie z dokumentacji zostały resztki.

„Po zawarciu rozejmu w październiku i zakończeniu w obozach werbunku do oddziałów walczących z bolszewikami pozostało około 80 tys. jeńców. Zmarło od 16 do 18 ty. jeńców […] (2 tys. w Tucholi, 8 tys. w Strzałkowie). Jest to tylko szacunek [...]. Umierali przede wszystkim skutkiem […] epidemii cholery, grypy i tyfusu, które rozprzestrzeniały się zresztą na potęgę w samej Armii Czerwonej, oraz czerwonki wywoływanej warunkami sanitarnymi".

Znany jest protokół z 11 grudnia 1920 r. po inspekcji obozu jeńców w Tucholi przeprowadzonej przez komisję wojskową. Ujawnił fatalne warunki w nim panujące – brak ubrań i butów, koców, zimno spowodowane jesienno-zimowym brakiem ogrzewania, spoczywanie często na gołej ziemi, ścisk. „Są kompletnie zawszeni. Trupy leżą między żywymi. Chorują głównie na tyfus. W szpitalu (obliczonym na 500 pacjentów) leżą na pryczach, do których lekarze i siostry nie mają właściwego dostępu i zarażają się. Od 1 do 30 listopada 1920 zmarło 296 jeńców…". Najwięcej jeńców chorowało i umarło jesienią i zimą przełomów lat 1919/1920 i 1920/1921.

Znacznej poprawy sytuacji dokonano już na początku nowego roku. Pamiętajmy jednak, że do polskiej niewoli dostawali się wtedy ludzie wyjątkowo zaniedbani, z których wielu było ciężko chorych. Lekarzy, sanitariuszy i pielęgniarek wśród nich nie było. Fale jeńców bolszewickich zalały obozy, które wcześniej – gdy zajmowali je jeńcy z Ukraińskiej Halickiej Armii, z własną służbą medyczno-sanitarną – zupełnie dobrze jeszcze funkcjonowały.

Oto sprawozdanie dowódcy szpitala obozu w Tucholi dla dowództwa pomorskiego okręgu wojskowego o zakażonych epidemiami (od 15 maja 1920 do 18 lipca 1921 r.):

Wszystkie rodzaje tyfusu (plamisty, powrotny, rzekomy i dur brzuszny) – 2837
Krwawa biegunka (dyzenteria) – 1212
Cholera (i podejrzenia) – 220
Hiszpanka (grypa) – 720
Gruźlica – 297
Malaria (zimnica) – 186
Szkarlatyna – 10
Ospa – 1.

Trzy pierwsze pozycje (tyfus, dyzenteria, cholera) mają związek również z brakiem podstawowej higieny zarażonych. Natomiast decydującym czynnikiem tego, że aż czwartą część zakażonych stanowili chorzy na hiszpankę, jest istnienie ognisk infekcji przywleczonej z zewnątrz.

Choroby zakaźne nie omijały także polskiej służby sanitarnej. Na przykład w grudniu 1920 r. na tyfus chorowało 23 osób z personelu, a w połowie marca – 31. Zachorowali m.in.: lekarz Maksymilian Prais, podchorąży sanitarny Kwiatkowski, aptekarz Walenta, kapelan ks. Gabryś oraz siedem sióstr-pielęgniarek. Zmarł z nich tylko podchorąży; reszta wydobrzała po długiej chorobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Patrol belgijskich komandosów w Stanleyville

FOT.BELGIANPARATROOPHISTORY.E-MONSITE.COM

1964 r. / Desant sił specjalnych w Kongu

Operacja „Czerwony Smok”

Arkadiusz Karbowiak

Śmierć w straszliwych mękach – oto los gotowany białym zakładnikom przez czarnych rebeliantów komunistycznych w Kongu. Na ratunek przybyli belgijscy komandosi

Rok 1960 nie bez powodu nazywany jest Rokiem Afryki. Wtedy to na dotychczas podzielonym pomiędzy mocarstwa kolonialne kontynencie zaczęły pojawiać się licznie nowe twory państwowe. Wśród nich była Demokratyczna Republika Konga, czyli dawne Kongo belgijskie. Ogłoszenie niepodległości doprowadziło do destabilizacji wewnętrznej, bo trudno sobie było wyobrazić mniej przygotowany do samodzielnego bytu organizm polityczny. Władze belgijskie w końcu lat 50. przemyśliwały o rozpoczęciu procesu przekazywania władzy w ręce czarnej większości, ale miał to być proces ewolucyjny, rozłożony na lata. Tymczasem w kolonii coraz donośniej zaczęły rozbrzmiewać wezwania do dekolonizacji.

Wysuwały je dwa ugrupowania: Stowarzyszenie Plemienia Bakongo (ABAKO) Josepha Kasavubu oraz Kongijski Ruch Narodowy (MNC) Patrica Lumumby. Owe żądania trafiły do przekonania wielu Kongijczykom, którzy poparcie dla tej idei wyrażali podczas demonstracji ulicznych, tłumionych bezwzględnie przez policję. Zamieszki skłoniły króla Belgii Baudouina do zwołania „okrągłego stołu” w sprawie Konga. W trakcie rozmów politycy afrykańscy domagali się przyznania Kongu pełnej niepodległości. Wsłuchując się w te głosy, parlament belgijski uchwalił ustawę zasadniczą, na mocy której Kongo otrzymało konstytu-

eprasa.pl 448724bf47

Belgijscy komandosi

FOT. BELGIANPARATROOPHISTORY.E-MONSITE.COM

RYS. JACEK GRAMBURG

cję. Wkrótce przeprowadzone w kolonii wybory parlamentarne przyniosły zwycięstwo MNC.

30 czerwca 1960 r. król Baudouin proklamował w Léopoldville niepodległość Konga. Premierem kraju został Patrice Lumumba. Brak kadr zdolnych do przejmowania władzy od kolonizatorów był problemem numer jeden tworzącego się państwa. Jednakże Kongijczycy, znajdujący się pod wpływem lewicowo-nacjonalistycznej retoryki nowych władz, zaczęli domagać się, aby dotychczasowi kolonizatorzy opuścili Kongo. Z tego powodu, oraz na skutek podniesienia płac pracownikom rządowej administracji z pominięciem wojska, doszło do buntu żołnierzy kongijskich, nad którymi nie byli w stanie zapanować belgijscy oficerowie. Bunt doprowadził do załamania porządku publicznego, co spowodowało masową ucieczkę z Konga białych mieszkańców byłej kolonii.

Dramat Lumumby

Patrice Lumumba, dążąc do ustabilizowania sytuacji wewnętrznej w kraju, rozpoczął starania na arenie międzynarodowej mające na celu znalezienie sojuszników mogących dopomóc w ustabilizowaniu wewnętrznej sytuacji. Daleko idącą wolą współpracy wykazał się ZSRS. Sowieci uczestniczyli w zimnowojennej rywalizacji z USA i byli zainteresowani nawiązywaniem kontaktów z nowo utworzonymi państwami afrykańskimi, aby nie dopuścić do powstania tam rządów o orientacji prozachodniej. Pomoc sowiecka pozwoliła uśmierzyć Lumumbie bunt plemienia Baluba oraz podjąć walkę przeciwko dążącej do secesji, bogatej w złoża naturalne w postaci miedzi i złota prowincji Katanga, która – chroniona przez oddziały belgijskie oraz najemników – 11 lipca 1960 r. ogłosiła niepodległość. Premierem Katangi został czarnoskóry polityk Moise Czombe.

Nawiązanie przez Lumumbę relacji z ZSRS wywołało reakcję ze strony CIA. Waszyngton obawiał się, że Kongo znajdzie się w sowieckiej strefie wpływów, i postanowił obalić Lumumbę, zastępując go bardziej prozachodnim przywódcą. Chcąc zadośćuczynić oczekiwaniom Zachodu, prezydent Joseph Kasavubu 4 września 1960 r. zdymisjonował Lumumbę. Ten zaś, choć przywrócony na swoje stanowisko przez parlament, nie zdołał powtórnie objąć funkcji, ponieważ na przeszkodzie stanął przeprowadzony 14 września 1960 r. wojskowy zamach stanu zorganizowany przez byłego starszego sierżanta armii kolonialnej, awansowanego do stopnia gen. Josepha Mobutu. Wspólnie z Kasavubu wydał on decyzję o aresztowaniu byłego premiera. W związku z obecnością oddziałów ONZ, które pojawiły się w stolicy Konga, do tego co prawda nie doszło, ale lider MNC znalazł się de facto w areszcie domowym. W listopadzie, chcąc utworzyć konkurencyjny ośrodek władzy, uciekł on z Léopoldville.

Jego wolność nie trwała długo – już 1 grudnia 1960 r. został ujęty przez wojska rządowe. Dwa dni później Lumumbę wraz z dwoma najbliższymi współpracownikami – byłym ministrem ds. młodzieży i ministrem sportu Maurice'em Mpolo oraz wiceprzewodniczącym Senatu Josephem Okito – przetransportowano do koszar wojskowych w Thysville. W obawie przed możliwym uwolnieniem Lumumby i współpracowników przez zbuntowanych żołnierzy (w czasie, kiedy w obozie przebywał Lumumba, doszło tam do buntu żołnierzy domagających się wyższych poborów) prezydent Kasavubu, najprawdopodobniej na prośbę belgijskiego ministra ds. kolonii Harolda D'Aspremonta-Lyndena, nakazał przewiezienie więźniów do Élisabethville – stolicy zbuntowanej prowincji Katanga. Tym samym Lumumba i jego dwaj politycy współpracownicy trafili w ręce głównego swojego wroga Czombego i podporządkowanej mu katangijskiej żandarmerii.

Jeszcze w czasie lotu samolotem wszyscy trzej zostali pobici przez eskortujących ich żołnierzy. To zachowanie spotkało się z protestem ze strony zasiadającego za sterami maszyny pilota, który uznał, że zachowanie żołnierzy stanowi niebezpieczeństwo dla kontynuowania podróży. Z lotniska więźniów

eprasa.pl 448724bf47

Ofiara masakry w Stanleyville
FOT. BELGIANPARATROOPHISTORY.E-MONSITE.COM

przewieziono do należącej do bogatego Belga willi Brouwe. Tam odwiedzili go ministrowie rządu Katangi oraz sam prezydent Moise Czombe. To on podjął decyzję o zabiciu więźniów. Wywieziono ich do buszu, gdzie rozstrzelał ich pluton egzekucyjny pod dowództwem Belga kpt. Juliena Gata. Ciała pocięto na części i rozpuszczono w kwasie. 21 lutego 1961 r. Rada Bezpieczeństwa ONZ podjęła decyzję o wysłaniu do Katangi sił ONZ, które stłumiły katangijską rebelię. Prezydent Czombe zmuszony został do ucieczki.

Czerwona rebelia

Nie uspokoiło to sytuacji w Kongu. Kiedy tylko w 1964 r. błękitne hełmy wycofały się z tego kraju, zwolennicy nieżyjącego Lumumby wywołali rebelię. Na jej czele stanął popierany przez komunistyczne Chiny Christophe Gbenye. Prezydent Kasavubu próbował przeciw zajmującym coraz to większe połacie kraju rebeliantom skierować jednostki wojskowe, ale armia kongijska znajdowała się w stanie totalnego rozkładu. Nie mogąc liczyć na kongijskie wojsko, mianowany premierem Moise Czombe postanowił sięgnąć więc po białych najemników. W RPA rozpoczęto masową ich rekrutację. Kiedy ją zakończono, siły najemników oraz wierne rządowi oddziały armii kongijskiej zaczęły odbijać zajęte przez powstańców obszary Konga.

Jednym z zajętych przez powstańców miast było Stanleyville. Buntownicy wkroczyli do niego 5 sierpnia 1964 r. Miasta nikt nie bronił, bo żołnierze miejscowego garnizonu uciekli. Simbowie (plemię, z którego wywodzili się powstańcy) od początku zainicjowali rządy krwawego terroru. Europejczycy znajdujący się w mieście stali się ich zakładnikami. Pierwszymi ofiarami Simbów byli miejscowi czarni Afrykanie. Mordowano ich pod pomnikiem Lumumby. Zabójstw dokonywano z niezwykłym okrucieństwem, wyrywając ofiarom wnętrzności. W taki makabryczny sposób został zamordowany burmistrz Stanleyville Sylvere Bondekwe, któremu wycięto wątrobę.

Podobne wydarzenia zaszły na prowincji. W mieście Paulis zabito 4 tys. Kongijczyków, co stanowiło jedną ósmą tamtejszej społeczności. Makabryczne katusze przeszedł burmistrz prowincji. Mordercy obcięli mu język, uszy, ręce, stopy, a na koniec wbito go przez odbytnicę na drewniany bambusowy pal, na którym po 15 min skonał. Misjonarzowi amerykańskiemu Josephowi Tuckerowi po przywiązaniu do krzesła wydłubano oczy rozbitą butelką, a następnie zatłuczono na śmierć, bijąc go pałkami i kolbami karabinów. W innym mieście – Kindu – ofiarą powstańców padło 800 osób, z których część została żywcem spalona. Podobny los miał spotkać Europejczyków. Jedna z gazet rebelianckich „E-Martyr" zapowiadała: „Wytniemy serca Amerykanów i Belgów. Nosić je będziemy jak fetysze. Włożymy na siebie zdarte skóry Amerykanów i Belgów".

Troska o życie europejskich zakładników spowodowała, że rządy państw zachodnich – głównie Belgii i USA (to w większości obywatele tych krajów znajdowali się w rękach powstańców) – zaczęły zastanawiać się nad możliwością przeprowadzenia operacji ratunkowej. Początkowo planowano wykorzystanie do realizacji zadania amerykańską 82. Dywizję Powietrznodesantową. Ostatecznie zwyciężyła koncepcja użycia niewielkiego związku taktycznego, w postaci belgijskiego regimentu Para-Commando. Jednostką dowodził płk Charles Laurent.

Belgowie nie posiadali floty powietrznej zdolnej do przetransportowania spadochroniarzy aż do Afryki, dlatego za transport powietrzny odpowiedzialność wzięli na siebie Amerykanie. Do operacji wyznaczono, stacjonującą we francuskim Évreux, 322. Airlift Division. Z jej składu wybrano 14 maszyn typu Lockheed C-130 Hercules. Kierownictwo powietrzne misji powierzono płk. Burgessowi Gradwellowi. Ze względu na odległość samoloty po załadowaniu na swój pokład belgijskich komandosów musiały w celu zatankowania wylądować w udostępnionej przez Wielką Brytanię bazie RAF na Wyspie Wniebowstąpienia. Po kilkudniowym pobycie spadochroniarze wyruszyli stamtąd w dalszą podróż do miasta Kamina.

Odznaka belgijskich komandosów FOT. ARCHIWUM

Desant w Stanleyville

Z tego miejsca o godz. 22.30 wystartowali 23 listopada 1964 r. w kierunku Stanleyville. Planowanej operacji nadano kryptonim Dragon Rouge (Czerwony Smok). Wsparcie powietrzne atakującym zapewniały, wynajęte przez amerykańską Centralną Agencję Wywiadowczą, samoloty typu T-6 Texan, T-28 Trojan i B-26 K Invader, pilotowane przez kubańskich antycastrowskich emigrantów. Atak sił desantowych rozpoczął się 24 listopada o godz. 6. Wtedy to wylądowało pierwszych 300 spadochroniarzy i w ciągu krótkiego czasu opanowało wyznaczone strefy w celu umożliwienia desantu kolejnego rzutu spadochroniarzy.

Po lądowaniu istotne zadanie do wykonania przypadło 11. Kompanii dowodzonej przez kpt. Emiela Perlincka. Jego podkomendni mieli zająć wieżę kontroli lotów i budynek terminalu lotniczego. Zadanie to wykonała grupa szturmowa st. sierż. Maxa de Haesa. Belgowie podczas ataku ranili kilku obrońców, a dwóch wzięli do niewoli. Od jeńców uzyskano informację o miejscu pobytu europejskich zakładników. Okazało się, że są oni przetrzymywani w hotelu Victoria położonym w dzielnicy europejskiej. W międzyczasie Belgowie otrzymali informację telefoniczną, że biali zakładnicy mają zostać straceni.

W obliczu grożącej masakry płk Laurent nakazał swoim ludziom szybki

eprasa.pl 448724bf47

marsz w kierunku miejsca pobytu zakładników. Ci zaś na rozkaz rebeliantów zostali wypędzeni z hotelu i ustawieni na ulicy w kolumnę marszową. Kiedy do strażników dotarła informacja o lądowaniu spadochroniarzy, otworzyli oni ogień do zakładników, zabijając amerykańskiego pochodzenia dr. Paula Carlsona oraz jego rodaczkę misjonarkę Phyliss Rine. Zginęło 18 osób, a 40 odniosło rany. Pięć minut później do mordowanych dotarli spadochroniarze. Pomimo natychmiastowego udzielenia pomocy rannym niektórzy z nich zmarli. Ojciec van den Goten, kapelan z 1. Batalionu Paras, udzielił umierającym ostatniego namaszczenia.

Około 260 zakładników, którzy przeżyli, Belgowie przetransportowali na lotnisko. W czasie gdy spadochroniarze ewakuowali zakładników, do akcji w Stanleyville wkroczyły oddziały L'Armée Nationale Congolaise (ANC) wraz z 300-osobowym 5. Comanndo, złożonym głównie z ochotników afrykanerskich oraz rodezyjskich, a dowodzonym przez Irlandczyka z pochodzenia, weterana kampanii birmańskiej z czasu drugiej wojny – mjr. Michaela Hoare'a. Z uwagi na fakt odkrywania ofiar okrutnych mordów dokonanych na zakładnikach przez powstańców najemnicy nie patyczkowali się specjalnie ze swymi przeciwnikami. Jeńców brano bardzo rzadko, a jeśli już, to często likwidowano albo przekazywano w ręce żołnierzy kongijskich. Ci zaś nie mieli dla nich żadnej litości. Mike Hoare w swej książce o 5. Commando wspominał: „W Hotel des Chutes żołnierze ANC mieli swoje pięć minut. Każdy urzędnik, który pracował dla rebeliantów, zrzucany był ze schodów i z miejsca zabijany".

Okrucieństwo żołnierzy ANC wobec podejrzanych o udział w rebelii zirytowało nawet płk. Laurenta, który nakazał wycofanie z lotniska sił armii kongijskiej. 26 listopada 1964 r. Simbowie podjęli próbę odbicia Stanleyville. I choć częściowo się ona im udała, to ostatecznie zostali z miasta wyparci. Belgijscy spadochroniarze ewakuowali do Kaminy 800 wyczerpanych psychicznie zakładników.

Walki z rebeliantami trwały także na prowincji. W Isangi biali kondotierzy Hoare'a uratowali przed niechybną śmiercią kongijskie rzymskokatolickie zakonnice (zabito tam sześciu europejskich zakładników). W mieście Wamba najemnikom udało się uratować ponad setkę księży i zakonnic, ale dla 26 zakładników pomoc przybyła za późno. Wygląd tych, którzy przeżyli, zaszokował nawet przywykłych do brutalności najemników. Rodezyjczyk z pochodzenia sierżant (awansowany potem na porucznika) Joe Wepener wspominał: „Niektórzy rebelianci w każdą noc bili i gwałcili… Kiedy sprowadziłem siostry do Paulis, wszystkie klękły przed naszą kwaterą, by podziękować Bogu za uwolnienie. Paru moich żołnierzy zaczęło płakać".

Wspomniane miasto Paulis stało się kolejnym celem akcji spadochroniarzy. Operacji nadano kryptonim Dragon Noir (Czarny Smok). Desant rozpoczął się o godz. 6.02. Nad miastem rozpościerała się gęsta mgła. Stanowiła ona pewną ochronę dla belgijskich komandosów ostrzeliwanych z ziemi przez rebeliantów. Cała akcja potoczyła się szybko i sprawnie, dzięki czemu w ciągu niecałych dwóch godzin 200 zakładników znalazło się pod opieką Belgów.

W sumie z zajętych przez powstańców terenów wywieziono 1,8 tys. białych i 400 czarnych uchodźców. Simbowie zamordowali natomiast ok. 8 tys. Kongijczyków i 200 Europejczyków. Straty poniesione w czasie obu operacji przez komandosów były niewielkie i wyniosły trzech zabitych i 12 rannych. 27 listopada 1964 r. siły antypowstańcze wycofały się ze Stanleyville. Operacja „Dragon Rouge" dobiegła końca. Amerykanie i Belgowie uczestniczący w akcji opuścili Afrykę i poprzez Wyspy Kanaryjskie dotarli na belgijskie lotnisko Melsbroek. Tam powitał ich tłum dziennikarzy i fotoreporterów oraz członków rodzin. Wyrazom podziękowania za udaną misję nie było końca. Z jej uczestnikami spotkał się król Belgii Baudouin, który wręczył płk. Laurentowi i Gadwellowi odznaczenia w postaci orderów Leopolda II. Operacje „Dragon Rouge" i „Dragon Noir" nie doprowadziły do zakończenia walk z rebeliantami w Kongu. Toczyli je jeszcze wiele miesięcy, aż do wygaśnięcia powstania, żołnierze ANC oraz „Dzikie Gęsi" (nazwa potoczna najemników) z 5. Commando.

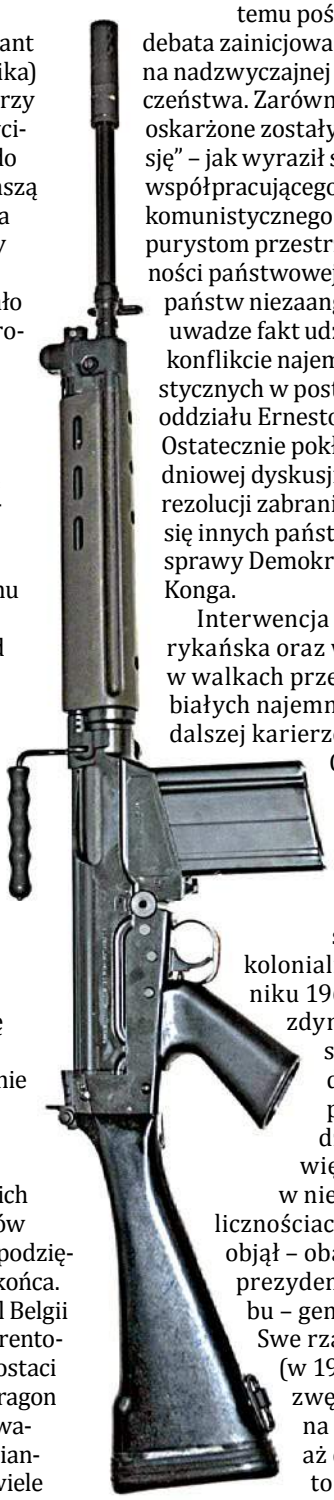

Belgijski karabin automatyczny FN FAL

FOT. WIKIPEDIA

W sferze politycznej obie humanitarne operacje doczekały się negatywnych ocen na forum ONZ. Zagadnieniu temu poświęcona została debata zainicjowana 9 grudnia 1964 r. na nadzwyczajnej sesji Rady Bezpieczeństwa. Zarówno USA, jak i Belgia oskarżone zostały o „czystą agresję" – jak wyraził się przedstawiciel współpracującego z krajami bloku komunistycznego Egiptu. Co ciekawe, purystom przestrzegania suwerenności państwowej Konga z kręgu tzw. państw niezaangażowanych uszedł uwadze fakt udziału w kongijskim konflikcie najemników komunistycznych w postaci 100-osobowego oddziału Ernesto Che Guevary. Ostatecznie pokłosiem kilkunastodniowej dyskusji było uchwalenie rezolucji zabraniającej mieszania się innych państw w wewnętrzne sprawy Demokratycznej Republiki Konga.

Interwencja belgijsko-amerykańska oraz wykorzystanie w walkach przeciwko rebeliantom białych najemników, zaważyło na dalszej karierze premiera Moise Czombego. Przywódcy państw afrykańskich postrzegali go jako marionetkę w rękach „imperialistycznych reżimów kolonialnych". W październiku 1965 r. Czombe został zdymisjonowany i udał się na emigrację do Hiszpanii, skąd porwano go i osadzono w algierskim więzieniu, gdzie zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Władzę w Kongu objął – obalając w 1965 r. prezydenta Josepha Kasavubu – gen. Joseph Mobutu. Swe rządy w Zairze (w 1971 r. zmienił nazwę państwa z Konga na Zair) dzierżył aż do 1997 r., kiedy to został obalony (zmarł parę miesięcy po tym wydarzeniu).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

XX w. / Życie i czyny kapelana legionowego ks. Józefa Panasia

Rzucone Virtuti Militari

Marek Gałęzowski

Ordery te, które dotąd zdobiły mi piersi, otrzymane z rąk Piłsudskiego, nosiłem z dumą i chlubą. Dziś palą mi piersi, zrywam je – powiedział po zamachu majowym kapelan Legionów ks. Józef Panaś

Dwa dni po zakończeniu walk w Warszawie w maju 1926 r. między żołnierzami marszałka Józefa Piłsudskiego a wojskami rządowymi, w warszawskim kościele garnizonowym przy ul. Długiej (obecnie jest to katedra polowa Wojska Polskiego) odprawiono mszę za poległych, w której uczestniczyli przedstawiciele obu stron konfliktu. Po nabożeństwie doszło do incydentu. Oto jeden z dawnych kapelanów legionowych, ks. Józef Panaś, w emocjonalnej wypowiedzi potępił marszałka Piłsudskiego i jego oficerów. Zdarzenie w kościele przy Długiej, który w biografii duchownego miał szczególną wagę, rozeszło się głośnym echem, a po wielu latach zostało sugestywnie przedstawione w filmie „Zamach stanu" Ryszarda Filipskiego przez Józefa Nowaka, znanego chociażby z głównej roli w „Hydrozagadce" Andrzeja Kondratiuka.

Kapelan II Brygady

Józef Panaś pochodził z rodziny chłopskiej osiadłej w powiecie krośnieńskim. Po ukończeniu seminarium duchownego w Przemyślu w 1911 r., w wieku 24 lat, otrzymał święcenia kapłańskie. Początkowo był wikarym w Dublanach, następnie nauczał religii w Dobromilu, gdzie należał do organizatorów Drużyny Bartoszowej. Wiosną i latem 1914 r. prowadził pracę duszpasterską i oświatową wśród polskich robotników sezonowych w Saksonii. Tam zastał go wybuch pierwszej wojny światowej.

Zamierzał wrócić do kraju, ale nieszczęśliwie został zaczepiony przez właściciela szynku, który miał do niego pretensję o propagowanie abstynencji wśród robotników. Szynkarz zaczął głośno wzywać do zatrzymania – jak twierdził – rosyjskiego szpiega. Natychmiast też zebrał się tłum gapiów, wśród których, jak wspominał rzekomy szpieg, „powstały różne bardzo nieprzychylne propozycje". Z opresji wyratowała go policja, zamykając na trzy dni w areszcie. Tam zaprzyjaźniony pastor dostarczył Panasiowi gazetę, w której ten przeczytał, że w zaborze austriackim i rosyjskim powstaje wojsko polskie, by walczyć o niepodległość Polski.

Natychmiast po zwolnieniu wyruszył do kraju, w drodze dowiadując się, jak wspominał, „ku wielkiej radości [...] o wmarszu Piłsudskiego do Królestwa, o konsolidacji społeczeństwa w NKN

eprasa.pl 448724bf47

Józef Nowak jako ks. Józef Panaś w filmie „Zamach stanu" Ryszarda Filipskiego
FOT. FILMOTEKA NARODOWA

i o tworzeniu z dawnych organizacji wojskowych sokolich, drużynowych i strzeleckich Legionów Polskich". W Dobromile dołączył do swojej drużyny i wraz z nią wstąpił do Legionu Wschodniego, a po jego rychłej likwidacji – do 3. Pułku Piechoty Legionów. Z nim jako jego kapelan (w stopniu porucznika) związał swoje losy.

W czasie kampanii karpackiej służył w bitwach pod Nadwórną i Mołotkowem, a 2 listopada 1914 r. w Zielonej odprawił nabożeństwo za poległych żołnierzy, jedno z wielu, które czekały go w przyszłości. Na froncie obchodził też pierwsze wojenne Boże Narodzenie. Wspominał później, że „w czasie świąt dostaliśmy bardzo serdeczny i pochlebny dla nas telegram z życzeniami od pułkownika Piłsudskiego, do którego zwracaliśmy się również często z całą sympatią. Wkrótce po świętach, staropolskim zwyczajem kolendy [pisownia oryginalna – przyp. red.], wybrałem się po Bożym Narodzeniu na wędrówkę, aby odwiedzić wszystkich Legionistów rozrzuconych w górach, w chatach i pałacach. Była to niezwykle miła wędrówka, zwłaszcza że znaczną jej część odbywałem przy pomocy nartów. Legioniści śpiewali kolendy z wielkim zapałem".

Później prowadził również kolędę w szpitalach, odwiedzając rannych legionistów i niosąc im otuchę duszpasterską. Te obowiązki przerwały wieści o bojach na Bukowinie. Aby być przy pułku, „natychmiast [...] siadłem na konia i ujechałem w jednym dniu bez spoczynku 80 km zaśnieżonej drogi górskiej" – pisał. W maju 1915 r. pułk Panasia wszedł w skład II Brygady Legionów Polskich. Uczestniczyła ona w dalszych walkach z Rosjanami na Bukowinie, podczas których m.in. 12 czerwca 1915 r. dywizjon ułanów rtm. Zbigniewa Dunina-Wąsowicza dokonał słynnej szarży pod Rokitną. Świadkiem tego boju był ks. Panaś, który trzy dni później odprawił mszę za poległych ułanów.

Wkrótce duchowny opuścił brygadę, wezwany do Komendy Legionów w Królestwie Polskim. Pierwsze wrażenia z dawnego zaboru rosyjskiego, obecnie okupowanego przez Niemców i Austriaków, nastroiły ks. Panasia niechętnie do przymusowych sojuszników. Było to spowodowane – jak odnotował w pamiętniku – nazwami stacji kolejowych, pisanymi „w jakimś kameruńskim narzeczu". Tschenstochau, pod którą ukryto polską Częstochowę, tak go oburzyła, że postanowił zrezygnować z jej zwiedzenia dopóty, „dopóki nie zniknie ten wstrętny szyld rozpierającej się pruskiej buty".

Latem 1915 r. Panaś został mianowany kapitanem i szefem referatu spraw duszpasterskich Komendy Legionów Polskich. Jedną z jego zasług było wprowadzenie obowiązku ewidencji poległych i zmarłych legionistów, sporządzanej przez kapelanów. Uczestniczył w kampanii legionowej na Wołyniu, podczas której – niezależnie od sprawowanej funkcji – udało mu się ponownie otworzyć kościoły katolickie, zamienione przez władze rosyjskie w cerkwie w czasie powstania styczniowego, m.in. w sierpniu 1915 r. w Drelowie na Podlasiu, a później w Hulewiczach nad Stochodem.

W tym czasie napisał regulamin służbowy dla kapelanów legionowych oraz „X przykazań legionisty", opublikowane w Krakowie w 1916 r. w formie kartki pocztowej. Dochód ze sprzedaży kartki przeznaczono na fundusz wdów i sierot po poległych żołnierzach Legionów. Po przybyciu Komendy Legionów z frontu do Warszawy, na początku 1917 r., do dyspozycji ks. Panasia przekazano klasztor popauliński przy ul. Długiej, zamieniony przez władze rosyjskie w cerkiew. Po remoncie, przeprowadzonym jego osobistym staraniem, otworzył tam kościół garnizonowy, który okaże się tak ważny w jego życiu.

Ksiądz Józef Panaś podczas służby w Legionach FOT. WIKIPEDIA

Więzień c.k.

Podobnie jak większość żołnierzy II Brygady ks. Panaś opowiadał się za złożeniem przysięgi na dochowanie sojuszu z państwami centralnymi. Już wkrótce miał przyznać rację legionistom, którzy jej odmówili, stwierdzając w czerwcu 1918 r. na swoim procesie w Marmarosz-Sziget: „Pokój brzeski przywiódł nas do rozpaczy. Moja wśród ciężkich i długich trudów powstała ideologia, uświęcona krwią polskich żołnierzy, została w brutalny sposób zdruzgotana [...]. Podczas obiadu jeden z oficerów 3. pp, który wracając z urlopu przybył po drodze

eprasa.pl 448724bf47

Scena z walk w Warszawie w maju 1926 r. na ul. Marszałkowskiej FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ksiądz Józef Panaś przy ołtarzu polowym na Wołyniu (1915–1916) FOT. NAC

do nas, rzekł mi: »Czy przypomina sobie ksiądz swoje kazania, w których głosiłeś, że powinniśmy mieć zaufanie do obietnic i zobowiązań cesarza i rządu austriackiego? Ksiądz był fałszywym prorokiem«. Na te słowa nie mogłem nic odpowiedzieć".

Jak jednak znalazł się przed austriackim sądem? Po traktacie brzeskim, w którym Austriacy oddali Chełmszczyznę Ukrainie, był jednym ze współtwórców planu przebicia się Polskiego Korpusu Posiłkowego, którego trzon stanowiła dawna II Brygada, na rosyjską stronę frontu. 14 lutego 1918 r. w cerkwi w Mamajowcach, w obecności niemal całej dawnej Żelaznej Brygady, odprawił nabożeństwo żałobne za duszę mjr. Włodzimierza Mężyńskiego, który zmarł w Krakowie, jak przypuszczano, na wieść o traktacie brzeskim. Po mszy wygłosił przemówienie i – jak pisał – „zrozumieli wszyscy, że to przysięga na wojnę z Austrją i Prusami, a gdy zerwałem z katafalku i podeptałem pruskie i austrjackie ordery, w tejże chwili znikły one z piersi wszystkich c. i k. oficerów, przydzielonych do służby w legionach [pisowni oryginalna – przyp. red.]". Nocą z 15 na 16 lutego 1918 r. ks. Panaś ruszył w ślad za płk. Józefem Hallerem w kierunku Rarańczy, prowadząc kolumnę taborów i służb tyłowych Polskiego Korpusu Posiłkowego; dostała się ona jednak do niewoli.

Władze austriackie oskarżyły schwytanych oficerów o zdradę stanu i zamierzały ich surowo ukarać. Na liście oskarżonych ks. Panaś, jako jeden z głównych organizatorów buntu, znalazł się na miejscu trzecim: za kpt. Romanem Góreckim i rtm. Norbertem Okołowiczem, a przed mjr. Włodzimierzem Ostoją-Zagórskim. W czasie pobytu w więzieniu, mimo szykan austriackich, starał się nieść posługę duchową innym oczekującym na proces żołnierzom i oficerom. Jeszcze jednego z pierwszych dni, aby dodać otuchy innym więźniom, zaczął śpiewać „Rotę", natychmiast podjętą przez żołnierzy przebywających w pozostałych celach. Z kolei 19 marca odprawił na podwórzu więziennym nabożeństwo, po którym żołnierze wznieśli okrzyki na cześć dwóch obchodzących tego dnia imieniny Józefów: Hallera i Piłsudskiego.

Groźby upadającej monarchii wobec polskich oficerów nie zostały spełnione i po kilku miesiącach znaleźli się oni na wolności. Panaś chciał początkowo udać się do Francji, by wstąpić do armii swojego byłego dowódcy Józefa Hallera. Jednak na prośbę abp. Józefa Bilczewskiego, który przekonał go, że będzie potrzebny wojsku polskiemu w kraju, zrezygnował z tego projektu i udał się do Przemyśla, gdzie miejscowym garnizonem dowodził gen. Stanisław Puchalski, były komendant Legionów Polskich. Ksiądz Panaś ostrzegł Puchalskiego o możliwości zamachu ukraińskiego i zaproponował utworzenie w garnizonie oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej. Austriacki generał polskiego pochodzenia zdobył się jedynie na krytykę postępowania żołnierzy II Brygady w lutym tego roku, a przestrogę Panasia zlekceważył. Tydzień później Ukraińcy opanowali Przemyśl, a Puchalski, całkowicie zaskoczony, został aresztowany wraz ze swoim sztabem.

To ks. Panaś na czele oddziałku złożonego z zaledwie ośmiu ludzi obsadził mosty na Sanie, uniemożliwiając Ukraińcom przedostanie się na lewy brzeg rzeki. Natychmiast też wraz z kilkoma innymi oficerami przystąpił do organizacji obrony tej części Przemyśla i odmówił wykonania rozkazu Puchalskiego jej poddania. Po oswobodzeniu Przemyśla wziął udział w odsieczy Lwowa, po czym został mianowany dziekanem Armii „Wschód", a później jako podpułkownik służył jako dziekan DOK X Przemyśl. Za zasługi w walce o niepodległość i granice Rzeczypospolitej został odznaczony m.in. Krzyżem Virtuti Militari – jako jeden z trzech kapłanów legionowych.

„Zgrzeszyłem ciężko..."

Na dalsze losy ks. Panasia wpłynęło wspomniane wydarzenie z maja 1926 r. w warszawskim kościele garnizonowym. Powiedział wówczas m.in.: „Ja, były kapelan wojsk legjonowych Piłsudskiego, oświadczam wobec Boga, trumien pomordowanych mych braci i wszystkich obecnych, co następuje: Zgrzeszyłem ciężko, gdyż niemal bałwochwalczo czciłem i wierzyłem w prawość i uczciwość żołnierską Piłsudskiego, lecz Pan Bóg sprawiedliwy mnie za to

eprasa.pl 448724bf47

ukarał, gdyż dzisiaj muszę patrzeć na największą ze zbrodni w świecie, którą popełnił Piłsudski. Ordery te, które dotąd zdobiły mi piersi, mianowicie: Krzyż Virtuti Militari V kl., otrzymany za obronę Przemyśla; Oficerski Krzyż Polonia Restituta, otrzymany za zorganizowanie rewolucji II Brygady przeciw Austrji, bitwy pod Rarańczą i obronę honoru żołnierza polskiego w procesie w Marmarosz-Sziget; czterokrotny Krzyż Walecznych za zasługi w Legjonach Polskich i wojnie polsko-bolszewickiej – otrzymane z rąk Piłsudskiego, nosiłem z dumą i chlubą. Dziś po tej zbrodni, którą on popełnił, palą mi piersi, zrywam je, gdyż te same ordery znajdują się na piersiach gen. [Gustawa] Dreszera, zwycięzcy w bratobójczej walce, rzucam mu pod nogi, ponieważ zostały zhańbione [pisownia oryginalna – przyp. red.]". Jak odnotowała ówczesna prasa, po tych słowach zerwał z piersi ordery i rzucił je gen. Dreszerowi. Oznaczenia podniósł następnie obecny przy tym wydarzeniu gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz i położył na balustradzie przed ołtarzem.

Rzucając ordery austriackie po traktacie brzeskim, ks. Panaś uosabiał niewątpliwie myśli innych żołnierzy Żelaznej Brygady. Taki sam gest wykonany w niepodległym państwie wydaje się jednak nieprzemyślany, gdyż wina za ofiary walk spoczywała tyleż na piłsudczykach, co na wojskach rządowych. To przecież gen. Tadeusz Rozwadowski wydał rozkaz, w którym wzywał, aby nie cofać się przed najdalej idącymi środkami w celu stłumienia akcji piłsudczyków. Niewątpliwie też marszałek Piłsudski starał się po dokonanym przewrocie załagodzić spór w armii, wydając wojsku odpowiedni rozkaz. Słowa ks. Panasia, niezależnie od motywów, musiały zostać przez piłsudczyków odebrane jako obraźliwe, zwłaszcza rzucenie na ziemię najwyższego polskiego odznaczenia wojskowego, które na swoich piersiach nosili przecież także oficerowie walczący w maju 1926 r. po przeciwnej stronie.

W sierpniu tego roku marszałek Piłsudski wystąpił do Kapituły Orderu Virtuti Militari (której był przewodniczącym) z wnioskiem o odebranie ks. Panasiowi odznaczenia, m.in. pisząc: „Fakt rzucenia dla pustego i teatralnego efektu słów orderu na ziemię świadczy o tym, że ks. Panaś stosunek swój do odznaczenia chce mieć taki, jakby Order Virtuti Militari był świecidełkiem czy dodatkiem do jego słów i określeń, nie zaś najwyższym odznaczeniem wojennym". W tym samym miesiącu ks. ppłk Panaś został zwolniony ze stanowiska dziekana DOK i przekazany do dyspozycji kurii biskupiej. Rok później przeniesiono go w stan spoczynku jako inwalidę z 50-procentową utratą zdrowia. Duchownego ukarano później jeszcze i w ten sposób, że odrzucono wniosek o odznaczenie go Krzyżem Niepodległości. W uzasadnieniu wysoko oceniono jego zasługi niepodległościowe, ale zdecydowano, by ze względu na wspomnianą demonstrację żadnego odznaczenia nie nadawać.

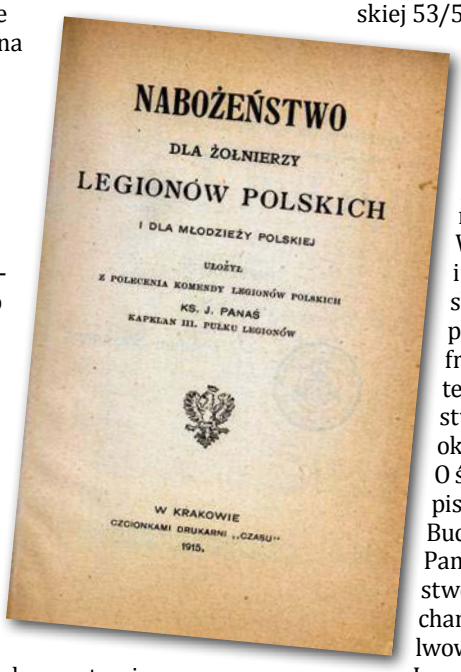
NABOŻEŃSTWO
DLA ŻOŁNIERZY
LEGIONÓW POLSKICH
I DLA MŁODZIEŻY POLSKIEJ
UŁOŻYŁ
Z POLECENIA KOMENDY LEGIONÓW POLSKICH
KS. J. PANAŚ
KAPELAN III. PUŁKU LEGIONÓW
W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU"
1915.

Śmierć z rąk Sowietów

Po zwolnieniu z wojska ks. Panaś bezskutecznie starał się o objęcie probostwa jakiejkolwiek parafii. Zaangażował się w działalność opozycyjną, z czasem stając się członkiem władz Stronnictwa Ludowego. Po wybuchu drugiej wojny światowej otrzymał polecenie Prezydium SL przewiezienia depozytu bankowego stronnictwa z Poznania za granicę. Przyjechał do Lwowa, gdzie jednak dalszą podróż uznał za niemożliwą i ukrył powierzony mu fundusz w podziemiach kościoła oo. Dominikanów. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną zaangażował się działalność podziemną, przyjmując pseudonim Oracz. Reprezentował SL w Komitecie Politycznym Komendy Obszaru Lwów ZWZ (według przyjętej terminologii noszącej nazwę ZWZ-1). W komitecie pełnił funkcję kierownika działu finansowego, brał również udział w naradach Komendy ZWZ-1. Starał się uzyskiwać fundusze na działalność organizacyjną. Został aresztowany na początku kwietnia 1940 r. Przesłuchiwano go w budynku Miejskich Zakładów Energetycznych przy ul. Pełczyńskiej 53/55, gdzie mieściła się główna siedziba obwodowego NKWD.

Okoliczności śmierci ks. ppłk. Józefa Panasia do dziś nie udało się ustalić. Według Sławomiły i Ryszarda Jakubowskich prowadzony na przesłuchanie i konfrontację z konfidentem popełnił samobójstwo, wyskakując przez okno toalety więziennej. O śmierci duchownego pisał również Roman Buczek, według którego Panaś popełnił samobójstwo po nocnym przesłuchaniu. Badacz dziejów lwowskiej konspiracji Jerzy Węgierski nie wyklucza jednak, że samobójstwo zostało upozorowane, ks. Panaś zamordowany podczas przesłuchania, a zwłoki wyrzucone przez okno. Wiadomo jedynie, że ks. Panaś wkrótce potem został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.

Po układzie Sikorski-Majski władze polskie wszczęły poszukiwania duchownego, podobnie jak wielu innych obywateli polskich zaginionych po 17 września 1939 r. na terenie ZSRS. Jego nazwisko znalazło się na liście osób do odszukania i zwolnienia w pierwszej kolejności, którą wręczono 20 września 1941 r. zastępcy komisarza ludowego spraw zagranicznych ZSRS Andriejowi Wyszyńskiemu. W sierpniu 1941 r. biskup polowy WP Józef Gawlina, który nie wiedział o śmierci ks. Józefa Panasia, wyznaczył go na stanowisko naczelnego dziekana Armii Polskiej na Wschodzie, z równoczesnym mianowaniem na stopień pułkownika. Wkrótce jednak stało się oczywiste, że duchownego nie uda się odszukać.

Władze polskie na uchodźstwie pośmiertnie odznaczyły go po raz drugi Krzyżem Virtuti Militari.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 448724bf47

1989–1990

Polska Republika

Mikołaj Iwanow

W momencie upadku ZSRS pojawił się pomysł polskiej autonomii na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego

Na fali Gorbaczowowskiej pieriestrojki o autonomię i niepodległość upomnieli się również Polacy, mieszkający na terenach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, które z Królestwem Polskim przez prawie 400 lat tworzyło Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Dzisiaj obszar WKL należy do trzech niepodległych państw: Litwy, Białorusi i Ukrainy. Polacy na tych terenach przetrwali mimo wieloletnich prześladowań, konfliktów i domowych wojen. Dzisiejsi Polacy-kresowiacy to ludność rdzenna, mieszkająca u siebie, z goryczą czasem mówiąca o sobie: „To nie my przekroczyliśmy granice państwa polskiego, lecz granice przesunięto, a my od zawsze jesteśmy u siebie".

Przed upadkiem ZSRS prezes Związku Polaków Białorusi Tadeusz Gawin mówił mi: „Nie jesteśmy narodem, lecz grupą społeczną. Przez ten ustrój zostaliśmy prawie całkowicie pozbawieni własnej inteligencji". Rzeczywiście, Polacy Związku Sowieckiego nieśli piętno „pierwszego ukaranego narodu". Jego elity niszczono zawzięcie i konsekwentnie w imię ideologii komunistycznej. Bezprecedensowe represje objęły swym zasięgiem całość zbiorowości polskiej w ZSRS. Z całą odpowiedzialnością nazywam

eprasa.pl 448724bf47

Polacy na Litwie i Białorusi a upadek ZSRS

Sowiecka?

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Demonstracja Polaków w Wilnie w obronie polskiego szkolnictwa, 2012 r. FOT. FORUM

to ludobójstwem, jedną z największych tragedii polskich w XX w., porównywalną z tragedią katyńską, tragedią Powstania Warszawskiego i tragicznym losem Polaków Galicji, Wołynia i Podola w czasie drugiej wojny światowej.

Była to zbrodnia bez precedensu. W latach 1935–1938 w ramach tzw. operacji polskiej i innych działań represyjnych zamordowano w Związku Sowieckim ok. 200 tys. Polaków. Stalin prześladował i niszczył Polaków, bo uważał to za konieczne z punktu widzenia ideologii bolszewickiej. „Czyszczenie" Związku Sowieckiego z Polaków to było przygotowanie kraju do wojny światowej, do przełomowego starcia – jak sądził – ze światem kapitalistycznym. Stalin świadomie wzniecał nienawiść, która istniała jeszcze za czasów carskich wobec Polaków w społeczeństwie Rosji, bo był mu potrzebny straszak do szantażowania społeczeństwa własnego kraju. Potrzebował wewnętrznego wroga, a Polacy idealnie się na niego nadawali.

Po drugiej wojnie światowej dwie fale tzw. repatriacji (w rzeczywistości „wypędzenia") ostatecznie pozbawiły Polaków elit intelektualnych, politycznych i społecznych. Bycie Polakiem, zwłaszcza na Litwie i Białorusi, przekształciło się w bycie człowiekiem drugiej kategorii. Wydawało się, że odpolszczenie byłych polskich kresów jest jedynie kwestią czasu. Raptem całkiem niespodziewanie w okresie agonii państwa Lenina i Stalina Polacy stali się komunistom sowieckim potrzebni.

Do dziś nie wiadomo, kto był autorem projektu „wskrzeszenia polskiej autonomii sowieckiej"? Kto na Kremlu wpadł na diabelski pomysł, by jeszcze bardziej pogłębić niechęć i wrogość dzielące narody byłego WKL i wykorzystać Polaków do ratowania Kraju Rad? Tutaj musimy przypomnieć, że w Związku Sowieckim w latach 1925–1935 istniała dość szeroka polska autonomia socjalistyczna w postaci dwóch rejonów autonomicznych: Marchlewszczyzny na Ukrainie i Dzierżyńszczyzny na Białorusi. Jednak w wyniku „operacji polskiej" rejony te zostały zlikwidowane i kompletnie „wyczyszczone" z Polaków. A w wyniku zagarnięcia przez Związek Sowiecki w czasie drugiej wojny światowej wschodnich województw II RP pojawiły się nowe, dość gęsto zaludnione przez ludność polską rejony w litewskiej i białoruskiej republikach związkowych.

Terytorium, na którym Polacy stanowią do dziś większość, stanowi stosunkowo długi (prawie 400-kilometrowy) pas „polskości" rozciągnięty od polskiej granicy po obu stronach granicy litew-

eprasa.pl 448724bf47

sko-białoruskiej aż do Jezior Brasławskich nad granicą z Łotwą. Ta dzisiejsza granica między Unią Europejską a Białorusią (dawna wewnętrzna granica ZSRS między BSRS i LSRS) od dawna przez miejscową ludność była nazywana granicą polsko-polską, bo do dziś po obu jej stronach przeważa ludność polska. Niedoszli architekci tzw. Wschodnio-Polskiej Republiki planowali włączenie w jej skład kilku stosunkowo dużych miast, z teoretyczną przewagą ludności polskiej (Grodno, Wołkowysk, Lida, z Wilnem jako stolicą). Terytorium republiki miało obejmować obszar do 50 tys. km kw. z ponad milionem mieszkańców. Polacy mieli stanowić w tym minipaństwie do 55 proc. ludności.

Jednak o ile Polacy, mieszkańcy Litewskiej Sowieckiej Republiki, mieli stosunkowo rozbudowany system własnego życia narodowego: polskojęzyczny Kościół katolicki, polskojęzyczne szkolnictwo, prasę w języku polskim, liczne placówki kultury pracujące w języku ojczystym, o tyle Polacy w Białoruskiej SRS tego wszystkiego byli pozbawieni. Jedynie w nielicznych jeszcze otwartych kościołach katolickich brzmiał w czasie mszy świętych język polski. Polaków traktowano jako nieświadomych katolików -Białorusinów, którzy pod wpływem religii mylnie uważają się za Polaków. Liderzy komunistyczni tej republiki, nieraz z inspiracji Kremla, twierdzili, że im prędzej ci Polacy ulegną białorusizacji, tym lepiej dla sprawy tworzenia jedynego narodu sowieckiego. Dlaczego białorusizacji, nie od razu rusyfikacji? Dlatego, że mówiący prawie w 100 proc. po rosyjsku Białorusini byli uważani przez komunistów za wspaniały materiał do stworzenia ponadnarodowej wspólnoty – narodu sowieckiego.

Gorbaczow pyta

W lipcu 1989 r., kiedy wydawało się, że zagrożenia dla istnienia Związku Sowieckiego są chwilowe, Michaił Gorbaczow odwiedził Wilno. Na spotkaniu z aktywem partyjnym w siedzibie KC LKP jeszcze zupełnie pewny sobie pierwszy sekretarz zadał sali retoryczne pytanie: „Czy wy rzeczywiście chcecie niepodległości?". Ku niesamowitemu zdziwieniu Gorbaczowa prawie wszyscy obecni na tej sali komuniści, na czele z pierwszym sekretarzem partii Algirdasem Brazauskasem, odpowiedzieli: „Tak". Gorbaczow nie mógł uwierzyć własnym uszom i oczom. Ponownie zwrócił się do zebranych z tym samym pytaniem. I znów dostał prawie jednogłośną odpowiedź: „Tak". Wtedy dopiero zrozumiał powagę sytuacji i prawdopodobnie po tym swoim upokorzeniu zaczął powoli dopatrywać się możliwości rozegrania polskiej karty na Wileńszczyźnie.

Dążenie do większej samodzielności Polaków spotkało się z wrogą reakcją komunistycznego kierownictwa Litwy

Ideologiczną podstawą do realizacji tych planów miała być odpowiedź na wieloletnią marginalizację przez komunistyczne władze Litewskiej SRS miejscowej polskiej ludności, mającej autonomię kulturalną, ale pozbawionej w wyniku wieloletnich szykan i przymusowej powojennej repatriacji elit intelektualnych i społecznych. Największe straty pod tym względem poniosła stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego – Wilno. Spośród 197 tys. repatriantów w latach 1945–1947 wilnianami było 108 tys. Miasto opuściło prawie 80 proc. jego mieszkańców z roku 1944. Centrum miasta praktycznie opustoszało. Pozostali Polacy stanowili przeważnie tzw. doły społeczne i mieszkali na peryferiach, głównie w rejonie Nowej Wilejki.

Mimo tak dotkliwych strat Polacy w wiejskich rejonach Wileńszczyzny nadal pozostawali większością. Spis powszechny z 1959 r., a więc już po wielkich transferach ludności, wykazał, że w rejonach sąsiadujących z Wilnem Polacy stanowili odpowiednio: w rejonie solecznickim 83,87 proc. mieszkańców, w wileńskim 81,44 proc., w niemenczyńskim 73,21 proc., ejszyskim 67,40 proc. i trockim 48,17 proc.

Polityka władz litewskich i skutki wojny doprowadziły do marginalizacji społecznej Polaków na terenach, gdzie oni od wieków dominowali duchowo, politycznie i ekonomicznie. W roku 1979 jedynie 16,5 proc. pracujących Polaków było pracownikami umysłowymi, tymczasem wśród innych znaczących grup narodowych odsetek ten przedstawiał się następująco: Litwini 28,9 proc., Rosjanie 36,9 proc., Białorusini 29 proc. W Wilnie te różnice były jeszcze bardziej znaczące: 20,3 proc. Polaków należało do pracowników umysłowych, Litwinów – 54,6 proc., Rosjan – 43,5 proc., pozostałych narodowości – 38,6 proc. W 1979 r. wyższe wykształcenie miało 6,5 proc. Litwinów, 10,7 proc. Rosjan, 6,3 proc. Białorusinów, 13,6 proc. Ukraińców, 29,6 proc. Żydów i zaledwie 2,3 proc. Polaków.

Dyskryminacja Polaków była widoczna nawet tam, gdzie stanowili większość. W 1979 r. w rejonie solecznickim Polacy stanowili jedynie 37 proc. kadry kierowniczej rejonu, pracowników organizacji gospodarczych i społecznych, tymczasem Litwini aż 36 proc., mimo że wśród mieszkańców było ich zaledwie 7,5 proc. W rejonie wileńskim sytuacja przedstawiała się następująco: Polacy jako 68 proc. mieszkańców rejonu obsadzali zaledwie 19 proc. stanowisk kierowniczych; Litwini – 62 proc. stanowisk kierowniczych (15,7 proc. mieszkańców). Podobna marginalizacja Polaków powodowała liczne napięcia w stosunkach z innymi narodowościami, przede wszystkim z Litwinami.

Spis ludności z 1989 r., a więc w momencie uformowania się ruchu polskich autonomistów na Wileńszczyźnie, wykazał, że Polacy stanowili większość mieszkańców w dwóch rejonach: wileńskim, gdzie stanowili 63,54 proc. ludności, i solecznickim – 79,55 proc. Inne rejony, gdzie można mówić w 1989 r. o znacznym udziale polskiej ludności, to: rejon święciański – 28,77 proc. ludności, rejon trocki – 23,84 proc., rejon szyrwincki – 11,06 proc., rejon ignaliński – 7,49 proc. i rejon jezioroski – 7,36 proc. Co więcej, ogólna liczba Polaków na Litwie między spisem z 1979 i 1989 r. wcale się nie zmniejszyła mimo asymilacyjnych nacisków władz, lecz zwiększyła o 11 tys. Ten wzrost można wytłumaczyć dwojako. Po pierwsze, na Litwę ciągnęli liczni Polacy z sąsiedniej Białorusi, wabieni trochę wyższym poziomem życia i możliwością zachowania swej polskości. Po drugie, ludność polska aktywnie opierała się litwinizacji.

Obawy Polaków przed perspektywą przymusowej litwinizacji wzmogły się pod koniec 1988 r., kiedy Prezydium Rady Najwyższej LSRS podjęło uchwałę

eprasa.pl 448724bf47

o nadaniu językowi litewskiemu statusu państwowego. 18 listopada Rada Najwyższa dokonała zmian w konstytucji republiki, nadając językowi litewskiemu status jedynego urzędowego. Dekret Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRS „O używaniu języka państwowego Litewskiej SRR" z 25 stycznia 1989 r. przewidywał eliminację z publicznego użycia wszystkich języków poza litewskim. Wymagał również biegłej znajomości języka litewskiego na tak szerokim zakresie stanowisk w instytucjach i państwowych przedsiębiorstwach, że groził wykluczeniem szerokiego grona Polaków z życia społeczno-politycznego.

Lęk Polaków

Po raz pierwszy hasło autonomii terytorialnej pojawia się wśród Polaków Wileńszczyzny jesienią 1988 r., na fali Gorbaczowowskiej pieriestrojki. Była to bezsprzecznie inicjatywa oddolna Polaków, na którą Kreml patrzył wyjątkowo pobłażliwie. 28 grudnia 1988 r. gmina (apilinka) w Suderwie jako pierwsza ogłosiła się gminą narodową polską, co uczyniono na wniosek 756 jej mieszkańców. W ciągu następnych pięciu miesięcy to samo zrobiło 16 innych gmin rejonu wileńskiego i 14 gmin rejonu solecznickiego. Na podstawie tych decyzji mieszkańców kierownictwo rejonu solecznickiego skierowało do komunistycznych władz Litewskiej SRS petycję o uznanie języka polskiego za urzędowy w tych gminach. Jednocześnie na początku 1989 r. polskojęzyczna gazeta „Czerwony Sztandar" zamieściła serię artykułów na temat historii polskich rejonów autonomicznych w Związku Sowieckim w okresie międzywojnia, ignorując przy tym tragiczny koniec tego „flirtu" komunistów z Polakami, który zakończył się ludobójstwem.

Program budowania autonomicznego okręgu dla Polaków poparł pierwszy zjazd Związku Polaków na Litwie w kwietniu 1989 r. Podobną pozycję zajął również I Zjazd Deputowanych Ludowych Wileńszczyzny, który odbył się 12 maja 1989 r. pod Wilnem, z udziałem deputowanych dwóch rad rejonowych, trzech rad miejskich i 27 gminnych z Wileńszczyzny, którzy prawie jednogłośnie powołali Radę Koordynacyjną do spraw Utworzenia Polskiego Narodowego Okręgu Autonomicznego w ramach LSRS na czele z Leonardą Sapkiewicz – przewodniczącą gminy Rukojnie w rejonie wileńskim. Rada ta, licząca kilkudziesięciu członków, z czasem uzupełnionych o przedstawicieli rejonów: trockiego, szyrwinckiego, święciańskiego i Nowej Wilejki, miała stanowić ośrodek koordynacyjny i wykonawczy ruchu autonomicznego. Zjazd zwrócił się do Rady Najwyższej LSRS z propozycją przystąpienia do rozmów na temat polskiej autonomii.

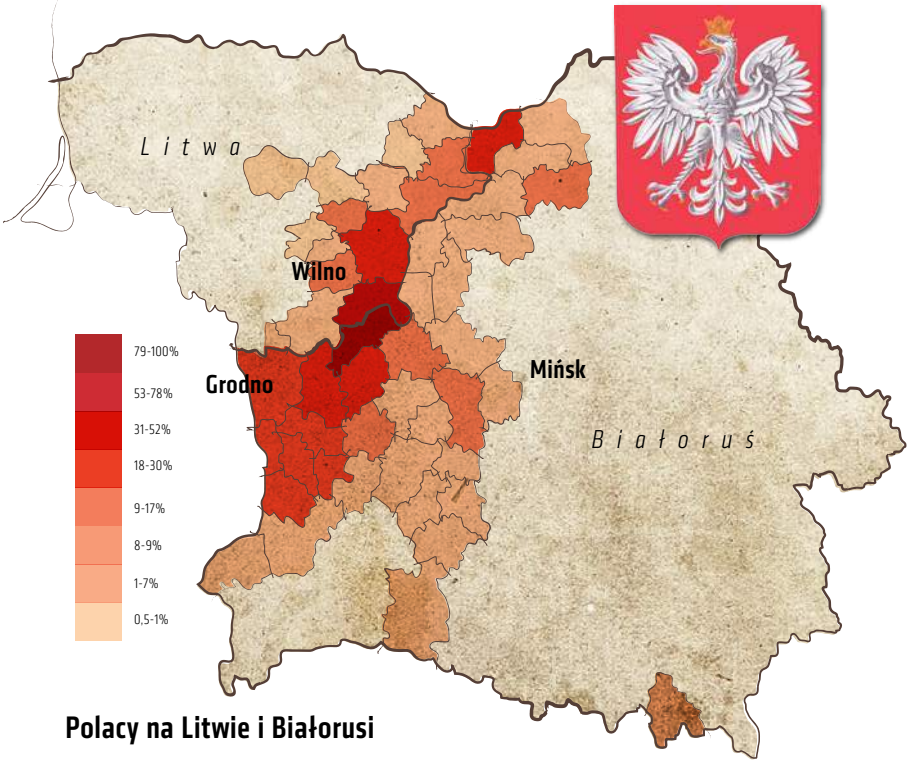

Polacy na Litwie i Białorusi

Kolejnym krokiem na drodze do utworzenia polskiej autonomii narodowościowej na Litwie były decyzje samorządów rejonów solecznickiego i wileńskiego proklamujące ich rejonami „Polskimi" i „Narodowymi". Decyzje te zapadły odpowiednio 6 i 15 września 1989 r. i zostały podjęte w sposób demokratyczny na posiedzeniach rad rejonowych znaczną większością głosów. Planowano również przeprowadzenie w tej sprawie referendum z udziałem wszystkich mieszkańców. Skomplikowana sytuacja polityczna i działania represyjne władz nie pozwoliły jednak na to.

Dążenie do większej samodzielności Polaków spotkało się ze stanowczo wrogą reakcją komunistycznego kierownictwa Litwy, które coraz bardziej zaczęło się odcinać od Moskwy i wybierać kurs na niepodległość. 21 września prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRS zdecydowało o anulowaniu decyzji polskich rad rejonowych w sprawie przekształcenia rejonów wileńskiego i solecznickiego w polskie rejony terytorialno-narodowościowe. Decyzje polskich autonomistów uznano za sprzeczne z konstytucją Litewskiej SRS, „siejące niezgodę między narodowościami".

Mimo tej decyzji w kwietniu ogłoszono proklamowanie polskiej autonomii na Litwie. Jej los mógł być tragiczny. Tak jak wiele innych stron wspólnej historii polsko-litewskiej. Na szczęście tak jednak się nie stało. O tym w kolejnym odcinku historii niedoszłej Polskiej Sowieckiej Republiki na kresach.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Świadek historii / Kim Kwang-Jin, obrońca praw człowieka z Korei Północnej

rozmawia Piotr Włoczyk

Uciekłem Kim Dzong Ilowi

PÓŁNOCNOKOREAŃSKI POSTERUNEK GRANICZNY. FOT. ALAMY/BEW

– Przed podjęciem decyzji odbyłem z żoną dramatyczną rozmowę. Każdy Koreańczyk z północy, który myśli o ucieczce, musi brać pod uwagę, że z jego rodziną może się stać dosłownie wszystko – mówi Kim Kwang-Jin

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego uciekł pan od Kim Dzong Ila? Miał pan świetną pracę, żył pan na niezłym poziomie. A przecież ucieczki najczęściej spowodowane są tragicznymi warunkami życia.

KIM KWANG-JIN: To było w 2003 r. Pracowałem dla firmy ubezpieczeniowej będącej przybudówką północnokoreańskiego banku. Oczywiście był to bank państwowy. Mieliśmy kilka przedstawicielstw za granicą, m.in. w Londynie, Paryżu i Singapurze. Pracowałem właśnie w Singapurze. Naszym zadaniem było ściąganie twardej waluty dla firmy matki w Pjongjangu. W ten sposób utrzymywany był dwór Kimów. Ja odpowiadałem za to, żeby nasza firma miała jak najlepsze relacje z partnerami w Singapurze. Nagle w pracy pojawiły się problemy. Musiałem polecieć do Pjongjangu i wyjaśnić sprawy.

O co konkretnie chodziło?

O kwestie biznesowe, ale równolegle pojawiły się podejrzenia, że ktoś w naszym singapurskim biurze jest zdrajcą przekazującym Japończykom, Koreańczykom z południa, a nawet Amerykanom wrażliwe dane. Usłyszałem, że raport na ten temat trafił na biurko Kim Dzong Ila… Atmosfera robiła się bardzo gorąca, czułem, że niedługo ktoś może mnie oskarżyć o zdradę.

Były ku temu podstawy?

W prywatnych rozmowach z ludźmi z zagranicy pozwalałem sobie na słowa krytyki wobec naszego państwa – oczywiście nigdy nie krytykowałem bezpośrednio przywódców, bo każdy Koreańczyk z północy wie, że to zbyt niebezpieczne – i zacząłem podejrzewać, że „ktoś" mógł zwrócić na mnie uwagę. Po głowie zaczęło mi chodzić coś, co do tej pory było trudne do wyobrażenia – trzeba uciekać! Na szczęście nikt mnie nie zatrzymał w Pjongjangu i mogłem jeszcze wrócić do Singapuru.

Nie był pan sam – miał pan jeszcze żonę i małe dziecko.

Tak, uciekłem razem z żoną i synkiem. Miałem wielkie szczęście, że byliśmy razem i mogliśmy to zrobić wspólnie.

Na pewno mieliście jeszcze bliską rodzinę w Korei Północnej. Co wasza ucieczka oznaczała dla niej?

Tak, to jest ten piekielny dylemat, przed którym stawia nas reżim komuni-

eprasa.pl 448724bf47

Metody przesłuchania w Korei Północnej
FOT. LIVELEAK

styczny. Dlatego przed podjęciem decyzji odbyłem z żoną dramatyczną rozmowę. Każdy Koreańczyk z północy, który myśli o ucieczce, musi brać pod uwagę, że z jego rodziną może się stać dosłownie wszystko...

Jak wyglądały wasze kalkulacje?

Po przeanalizowaniu wszystkiego doszliśmy do wniosku, że ucieczka to jedyne sensowne rozwiązanie. Jeżeli bowiem aresztowaliby mnie pod zarzutem szpiegostwa – a było to bardzo prawdopodobne – wówczas nie tylko byłby to koniec dla mnie, mojej żony i naszego dziecka, lecz także nasi najbliżsi w Korei Północnej zostaliby bardzo brutalnie ukarani. Ta druga opcja byłaby dużo gorsza od pierwszej.

Jeżeli spojrzeć na to na zimno, to taka kalkulacja faktycznie miała sens. Ciężko mi sobie jednak wyobrazić, jak piekielnie trudna musiała być dla pana ta decyzja...

Pytałem siebie samego, co zrobiłby na moim miejscu mój ojciec? Czy zgodziłby się ze mną, że wobec całej tej sytuacji ucieczka do Korei Południowej to najlepsze rozwiązanie? Byłem przekonany, że tak by właśnie stwierdził. I dlatego postanowiliśmy zrobić coś, co kompletnie wywracało nasze życie do góry nogami. Poszedłem do ambasady Korei Południowej i 24 godziny później polecieliśmy wszyscy razem do Seulu. Z dnia na dzień musieliśmy rozpocząć kompletnie nowy rozdział w życiu.

Jak pana traktowali południowi Koreańczycy?

Wszystko poszło bardzo sprawnie, nie robili nam żadnych problemów. Wiedzieli, przed kim uciekam...

Korea Północna to bardzo zamknięty kraj, ale są tam jednak pewne szczeliny, przez które przeciekają informacje. Czy wiadomo panu cokolwiek na temat konsekwencji, które spotkały pańską rodzinę?

Niestety, nie mam pojęcia, jaka spadła na nich kara, i prawdę mówiąc, nawet nie starałem się dowiedzieć, co się z nimi stało.

Dlaczego?!

Jeżeli bezpieka wykryłaby, że usiłuję się zorientować, co się dzieje z moimi bliskimi, to mogłoby to tylko pogorszyć ich sytuację. A w związku z tym, że moja praca w Singapurze była tak naprawdę pracą dla dworu Kimów, myślę, że ukarali ich naprawdę srogo. Nie chcę jednak gdybać, co dokładnie mogło się z nimi stać.

Singapur to był pana pierwszy wyjazd zagraniczny?

Nie, wcześniej wyjechałem kilka razy do Chin.

Kim Kwang-Jin FOT. ARCHIWUM

Jakie wrażenia robił na panu Singapur?

Pierwszy raz poleciałem tam w 2000 r. Nie wiem, czy człowiek mieszkający w wolnym kraju jest w stanie wyobrazić sobie to uczucie. Z topornego kraju, w którym każdy obywatel musi się liczyć, że jest bacznie obserwowany, człowiek nagle trafia do wolnego, zasobnego społeczeństwa. To było po prostu niebo. Tak przynajmniej się czułem.

Wcześniej myślał pan, że Korea Północna to nie najgorsze miejsce do życia? Wierzył pan w propagandę przedstawiającą inne kraje – może poza Chinami, Wietnamem i Kubą – jako miejsca, w których nie da się normalnie żyć?

Nie do końca. Ludzie z zewnątrz myślą, że północni Koreańczycy faktycznie są przekonani, iż cały świat to ruina, a ich socjalistyczna ojczyzna świetnie się rozwija. Rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Moi rodacy generalnie rozumieją, że to wszystko jedno wielkie kłamstwo, że świat jest bardzo różnorodny i różnie się ludziom żyje. Ja sam słyszałem wcześniej o Solidarności w Polsce, docierały do mnie wiadomości o zmianach na świecie.

Od kiedy uciekł pan spod buta dynastii Kimów, zaangażował się pan w obronę praw człowieka w tym kraju i przybliża pan innym realia życia w Korei Północnej. Dlaczego ten reżim dzieli ludzi na pomidory, jabłka i winogrona?

W Korei Północnej władze dzielą ludzi na trzy główne kategorie, które z kolei mieszczą w sobie kilkadziesiąt podkategorii. Pierwsza to grupa uważana za lojalną (pomidory – czerwone na zewnątrz i w środku). Druga to „chwiejna" (jabłka – czerwone na zewnątrz, a białe w środku), a trzecia wroga (winogrona). Ten system – nazywany Songbun – służy kontroli

eprasa.pl 448724bf47

Kim Dzong Il wśród „fanek"
FOT. EAST NEWS

Satelitarne zdjęcie jednego z obozów w Korei Północnej
FOT. DOMENA PUBLICZNA

społeczeństwa, spisywaniu w archiwach historii poszczególnych jednostek i całych rodzin.

Jak Songbun mieści się w komunistycznej ideologii, gdzie teoretycznie każdy ma być równy? Ten system przypomina przecież bardziej układ społeczny, jaki znamy choćby z historii Indii.

Tak, Songbun to bez wątpienia system kastowy. Ci, którzy należą do grupy najwyższej, cieszą się całym wachlarzem przywilejów: mogą liczyć na dobrą pracę, wykształcenie swoich dzieci, dobre domy i ogólnie niezły poziom życia. To do nich trafia większość ograniczonych zasobów państwa Kimów. Grupa chwiejna, co do której istnieje podejrzenie, że może zdradzić system w trudnych czasach, jest monitorowana bardzo ściśle. Jej członkowie poddawani są odpowiedniemu praniu mózgów – partia ma wobec nich nadzieję, że uda się ich jeszcze „naprawić".

Trzecia kategoria?

Ci ludzie znajdują się w dramatycznej sytuacji. Poddawani wszelakim represjom, „przepuszczani" przez system przerażającego północnokoreańskiego GUŁagu. Spadają na nich wszystkie plagi komunizmu w Korei Północnej.

Każdy obywatel ma swoje miejsce w Songbun?

Każdy bez wyjątku. Tak jak wspomniałem, w każdej z głównych kategorii jest jeszcze wiele podkategorii, które określają miejsce obywatela w hierarchii społecznej. Przykładowo w grupie „wrogów" jest podkategoria pt. „Oddany wyznawca", w której ujmowani są wszyscy głęboko wierzący. Być może niektórym trudno w to uwierzyć, ale mimo 70 lat komunizmu w Korei Północnej wciąż żyją tacy ludzie. Ich los jest chyba najgorszy.

Kiedy narodził się Songbun?

Ten system powstał wraz z utworzeniem KRLD i jest używany do dziś. Co jakiś czas „odświeżają" go, pewne kategorie znikają z niego, np. ci, którzy byli lojalni wobec Japończyków w czasie drugiej wojny światowej – tych ludzi już właściwie nie ma – ale jego podstawowa zasada pozostaje niezmieniona: to drogowskaz dla państwa, mający pokazać, jak traktować danego człowieka.

Jak to wygląda w praktyce? Północni Koreańczycy mają swój Songbun wbity do dowodu osobistego?

Nie, dowody osobiste północnych Koreańczyków niczym się między sobą nie różnią. Songbun to ukryty system, który nie może być oficjalnie ujawniony. Tak jak pan wspomniał, na papierze Partia Pracy Korei promuje równość wszystkich ludzi. Każdy ma takie same prawa i obowiązki. Songbun realizowany jest potajemnie przez partię i bezpiekę. Administracja wie doskonale, kto jest kim w tym równoległym świecie kastowym. W Korei Północnej dziedziczy się miejsce w hierarchii. Przykładowo, dziecko robotnika otrzymuje robotniczy Songbun.

Wygląda więc na to, że miał pan całkiem niezły Songbun, skoro pozwolili panu pracować za granicą...

Tak, byliśmy z rodziną dosyć wysoko w hierarchii, należeliśmy do lojalnych. Kilkoro członków mojej rodziny zginęło z bronią w ręku w czasie wojny koreańskiej. To wystarczyło, by zająć w systemie Songbun wysokie miejsce.

Oczywiście mieszkał pan w Pjongjangu?

Tak, żyłem w stolicy. Nie każdy może żyć w Pjongjangu. Pozwolenie na osiedlenie się w tym mieście dostają jedynie ci, którzy są według Songbunu ludźmi zaufanymi. Bardzo starannie wybiera się mieszkańców stolicy. To elita, która cieszy się przywilejami nieznanymi reszcie społeczeństwa Korei Północnej.

Co najbardziej wryło się panu w pamięć z tamtych czasów?

Uczucie nieustającej kontroli. Każdy ruch jest podsłuchiwany, obserwowany. To z kolei powoduje życie w ciągłym napięciu.

Jak pana przyjęła Korea Południowa?

Po przyjeździe do Seulu dostałem pracę w Instytucie Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Staram się pomagać mojej nowej ojczyźnie, by komunizm z Północy nigdy tu nie dotarł. Zajmuję się też ochroną praw człowieka w Korei Północnej i przerzucaniem przez granicę rzetelnych wiadomości, by północnokoreańskie społeczeństwo było dobrze poinformowane.

Jest pan autorem raportu „Gulag Inc." („Gułag SA"), wstrząsającego studium pracy przymusowej w Korei Północnej. Dlaczego przyjrzał się pan akurat temu tematowi?

Chciałem pokazać, jak zorganizowany jest północnokoreański przemysł wydobywczy. Korea Północna dysponuje ogromnymi pokładami m.in. węgla i rudy żelaza. Stanowią one nawet ok. 50 proc. eksportu z Korei Północnej. Oczywiście prawie wszystko trafia do Chin. Pieniądze z handlu tymi towarami pozwalają komunistycznej elicie żyć na bardzo wysokim poziomie.

Kto pracuje w tej gałęzi przemysłu?

Niewolnicy. Ten system oparty jest na przymusowej pracy. Tam praktycznie nie ma ludzi, którzy pracowaliby w kopalniach z własnej woli. Nie muszę chyba mówić, że warunki pracy są w nich trudne do wyobrażenia. Wykorzystuje się tam na dużą skalę więźniów politycznych. Północnokoreański system „sprawiedliwości" jest sprzęgnięty z kopalniami, zapewniając im siłę roboczą. Ludziom wydaje się, że takie praktyki odeszły do historii wraz z odwilżą w ZSRS, ale to nieprawda. Czysto stalinowskie metody do dziś są widoczne w Korei Północnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Pierwsze dni kampanii. Ukrainki witają Niemców FOT. NAC

Front wschodni / 79. rocznica operacji „Barbarossa”

Jak Hitler uratował bolszewizm

Piotr Zychowicz

Dlaczego Niemcy przegrali wojnę z Sowietami? Ponieważ zamiast wyzwolić narody ujarzmione przez bolszewizm, narzucili im swoje krwawe jarzmo

Od 1917 do 1941 r. Przez 24 lata ponad 150 mln ludzi uwięzionych w gigantycznym obozie koncentracyjnym, jakim był Związek Sowiecki, codziennie modliło się o wojnę. Z kim? Wszystko jedno. Liczyło się tylko to, żeby ktoś z zewnętrznego świata przybył im na ratunek. Rozbił w drobny mak nieludzki system, który zamienił ich życie w piekło na ziemi.

Ta wspaniała, wyczekiwana godzina nadeszła o świcie 22 czerwca 1941 r. Wówczas na całej długości zachodniej „granicy” bolszewii rozgrzmiały działa. Niebo zrobiło się czarne od samolotów, ziemia drżała od ryku czołowych silników. Rozpoczęła się operacja „Barbarossa” – armia III Rzeszy przystąpiła do ataku na bolszewików. W kolejnych dniach i tygodniach doszło do wydarzeń, jakich nie znała historia ludzkości.

We wsiach, w miasteczkach i miastach, do których wkraczały oddziały Wehrmachtu, na ulice wylegały oszalałe ze szczęścia tłumy cywili. Na zdumionych niemieckich żołnierzy sypały się kwiaty, dziewczęta rzucały im się na szyję, chłopi witali ich chlebem i solą. Ludność podpalała komitety partyjne. Wyłapywała i linczowała komunistów, którym nie udało się uciec na Wschód.

Armia Czerwona stawiała bardzo słaby opór. W pierwszych miesiącach kampanii na stronę niemiecką przeszło blisko 4 mln sowieckich żołnierzy. Ludzie ci zarzynali swoich komisarzy politycznych i poddawali się całymi jednostkami. Od dowódców do kucharzy. Niemal nikt nie miał ochoty bronić znienawidzonego systemu, który bezlitośnie mordował, więził i grabił swoich „obywateli”.

Dajcie broń!

Wystarczyło, żeby Niemcy dali tym ludziom broń do ręki, zlikwidowali kołchozy i obiecali wyzwolenie spod bolszewizmu, aby system komunistyczny implodował. Został rozsadzony od środka przez nienawiść swoich ofiar. Tak, Niemcy mogły wygrać tę wojnę błyskawicznie. Niestety, Hitler nie przyszedł na Wschód jako wyzwoliciel. Przyszedł jako ciemiężyciel. W efekcie nastroje się odwróciły.

eprasa.pl 448724bf47

Witano ich jak wyzwolicieli, ale okazali się krwawymi okupantami FOT. ARCHIWUM

A Niemcy z kretesem przegrali wojnę, w której zwycięstwo mieli w kieszeni. Bez wątpienia był to największy akt głupoty politycznej w dziejach ludzkoś

Ten samobójczy obłęd został opisany w wielu książkach – m.in. w wydanych właśnie w Polsce wspomnieniach SS-Untersturmführera Ericha Stahla. Właśnie to, iż autor był oficerem Waffen -SS, sprawia, że jego książka jest tak interesująca. Politykę Hitlera na Wschodzie krytycznie oceniali bowiem na ogół oficerowie Wehrmachtu. Okazuje się jednak, że i w Waffen-SS można było znaleźć rozsądnych ludzi.

Wieczorem zatrzymaliśmy się w sporej wiosce – wspominał Stahl pierwsze dni kampanii. – Zebrały się wokół mnie setki mężczyzn i kobiet. Młody człowiek o wyglądzie inteligenta złapał mnie za ramię.

– Od lat my, Ukraińcy, cierpieliśmy i umieraliśmy – powiedział głośno. – Teraz nasza kolej. Nie chcemy od was niczego, Niemcy, jesteśmy gotowi na wszystko. Dajcie nam tylko broń, dajcie amunicję.

W podnieceniu ostatnie słowa wykrzyczał także po ukraińsku, a wtedy tłum dosłownie oszalał.

– Zbrojna! Zbrojna! [ukr. broń] – zaczął wołać.

– Jestem tylko zwykłym żołnierzem – odpowiedziałem głęboko poruszony ich emocjami – lecz mam nadzieję, że wasze życzenie będzie spełnione.

Tak było wszędzie. Niemców entuzjastycznie witali: Polacy, Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, Litwini, Łotysze, Estończycy i inni. Spontanicznie otwierano kościoły i cerkwie sprofanowane przez Sowietów i zamienione w magazyny zbożowe. Dzielono ziemię zagrabioną przez bieda-kołchozy. Cywile, wiwatując, rozbijali pomniki Stalina i Lenina, wskazywali niemieckim żołnierzom miejsca, gdzie ukrywają się bolszewicy. Dla Stahla i jego towarzyszy wszystko to było szokiem.

Erich Stahl szybko jednak zrozumiał, o co chodzi. Został przydzielony do jednostek Waffen-SS jako korespondent wojenny, a co za tym idzie – prowadził rozmowy z napotkanymi cywilami. To, co usłyszał o życiu w „sowieckim raju", zjeżyło mu włosy na głowie. Oto kilka przykładów:

Niemiecka osadniczka poinformowała go, że jej męża rozstrzelano za sprzeciw wobec kolektywizacji.

Ukraiński chłop powiedział, że dostał pięć lat łagru za spóźnienie do pracy w kołchozie.

Młoda kobieta pokazała mu pusty oczodół – skutek pobicia NKWD.

Wdowa po popie opowiedziała o rozstrzelaniu męża i dwóch synów za praktyki religijne.

A stary Uzbek – o ojcu straconym w wielkiej masakrze swoich rodaków dokonanej przez Czeka.

Stahl szybko też się przekonał, w jaką otchłań nędzy bolszewizm wrzucił swoich „obywateli". Ze ściśniętym gardłem oglądał nędzne, rozwalające się chałupy. Obdartych, ubranych w łachmany chłopów, puste sklepy, wychudzone kołchozowe krowy. Jedynie partyjniacy i NKWD-ziści, którzy zaopatrywali się w specjalnych sklepach dla „czerwonej elity", żyli jak pączki w maśle.

Entuzjazm ludności cywilnej, jaki wywoływał triumfalny marsz Wehrmachtu na Wschód, był oczywiście przedmiotem rozmów między żołnierzami.

– Gdybyśmy tylko wykorzystali tę zesłaną przez Boga szansę – stwierdził ponuro Kaul. – Możemy przynajmniej pomodlić się, żeby tak się stało.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– Chyba nie sądzisz, że to zlekceważymy, prawda? Ukraińcy, nawet Rosjanie, są gotowi do powstania. Przecież nie możemy zachowywać się, jakby nic się nie działo.

– Zapominasz, przyjacielu, że wpadliśmy we własną pułapkę. Oni wszyscy są Untermenschen. – I dodał: – Jezu, jeżeli kiedyś znowu usłyszę to cholerne słowo...

– Ale Kaul – wyjąkałem – To kwestia życia i śmierci. Wszystko jest na szali. Przyszłość nasza i całego świata... i wcale nie na końcu, los tych nieszczęsnych ludzi, którzy po piekle, jakie przeżyli, zwracają się do nas w dobrej wierze, szukając u nas wolności i równości.

Kaul wszedł mi w słowo:

– Zobaczymy, co jest silniejsze: doktryna partyjna czy życie?

Oczywiście silniejsza okazała się doktryna partyjna. Kaul był świetnym znawcą narodowego socjalizmu, a Erich Stahl naiwnym idealistą. Hitler nie tylko zabronił dawania broni do ręki słowiańskim „podludziom", ale nakazał realizację wariackiej koncepcji Lebensraum. Czyli bezwzględnej eksploatacji gospodarczej podbitych terenów Europy Środkowo-Wschodniej. Zamiast wojny z bolszewizmem kazał prowadzić wojnę rasową. W efekcie w ślad za wojskiem na terytoria okupowane napłynęły zgraje masowych morderców z SS. Z miejsca przystąpiły one do masowych rozstrzeliwań Żydów i mordów przedstawicieli innych społeczności. Terror czerwony został zastąpiony terrorem brunatnym.

Po SS i gestapo na Wschód zjechała armia Złotych Bażantów (Goldfasan). Tak żołnierze frontowi nazywali dygnitarzy NSDAP w operetkowych partyjnych mundurach. Towarzystwo to wzięło się do łupienia zdobytych krajów. Na Ukrainie – którą oddano pod rządy tępego sadysty Ericha Kocha – nie rozwiązano kołchozów. Ukraińscy chłopi, którzy do tej pory byli niewolnikami bolszewików, teraz mieli być niewolnikami Niemców.

A co zrobiono z milionowymi rzeszami żołnierzy Armii Czerwonej, którzy przeszli na stronę Niemców? Zamknięto ich w straszliwych obozach zagłady (bo inaczej nie da się tego nazwać), w których olbrzymia część z nich skonała z głodu, chorób i wycieńczenia.

eprasa.pl 448724bf47

Jaki był efekt tego zbrodniczego szaleństwa? Otóż żołnierze Armii Czerwonej – do których dochodziły informacje o losie kolegów w niewoli – zaczęli się bić przeciwko Wehrmachtowi. A ludność cywilna przestała wspierać Niemców. Poszła masowo do partyzantki, rozpoczęły się akty sabotażu i dywersji.

Niemcy zeszli z drogi prowadzącej do zwycięstwa i wkroczyli na drogę prowadzącą do samobójstwa. Jesienią 1941 r. ofensywa Wehrmachtu ugrzęzła na przedpolach Moskwy. Nieubłaganie nadciągała zima. Sytuacja zaczęła przybierać fatalny obrót. Rację miała pewna stara Rosjanka, która powiedziała Stahlowi: „Naród rosyjski nie zostanie ocalony przez człowieka z większymi armatami i karabinami, tylko przez tego z większą duszą".

Niestety, Hitler nie miał „większej duszy". Był to człowiek zaślepiony dogmatami własnej rasistowskiej ideologii. W przypadku Związku Sowieckiego okazała się ona dla niego ważniejsza niż wojenny pragmatyzm.

Führer wie, co robi

„Pewnego dnia olśniło mnie – wspominał Erich Stahl – i zrozumiałem, że Niemcom ani się śni wykorzystać wielką szansę, jaką otrzymali na wschodzie. Przeświadczenie o niższości rasowej Słowian było zbyt silne i triumfowało nad wszelkimi nakazami rozsądku i myśleniu o przyszłości. Nie byliśmy gotowi, by zapewnić zniewolonym i umęczonym narodom wolność i równość, na jakie zasługiwały. Świadomość tego dręczyła mnie. Przeszliśmy niczym pług przez bezkresne przestrzenie Rosji, napotykając powszechny entuzjazm mogący przekształcić się w szeroką potężną rzekę. Zamiast tego, demonstrując tragiczną ślepotę, robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby go powstrzymać.

W najbardziej decydującej dla ludzkości chwili bolszewizm, mimo bankructwa politycznego, ocaliły przyjęte z góry przez nas, Niemców, koncepcje i wynikające z nich traktowanie narodu rosyjskiego. Stalin szybko dostrzegł to koło ratunkowe rzucone mu przez Hitlera i ze zdumiewającą zręcznością dostosował się do nowej sytuacji".

Erich Stahl opuścił front i pojechał do Berlina. Tam napisał memoriał, z którym chodził po gabinetach dygnitarzy partyjnych i państwowych, m.in. Josepha Goebbelsa. Stahl próbował ich przekonać, że polityka wschodnia III Rzeszy to czyste szaleństwo i należy ją natychmiast zmienić. Inaczej wojna na Wschodzie zostanie przegrana.

Wszędzie jednak słyszał to samo: proszę nie wykraczać poza swoje kompetencje i nie mieszać się do polityki. Führer jest o wszystkim świetnie poinformowany i wie, co robi. Chyba nie wątpi pan w geniusz Hitlera, prawda?

Stahl był dosłownie zrozpaczony. Zrozumiał bowiem, że los jego ojczyzny – i połowy Europy – spoczywa w rękach nie tylko zbrodniarzy, lecz także idiotów. To się po prostu nie mogło dobrze skończyć.

Gdy Stahl po pewnym czasie wrócił na front wschodni, zastał zupełnie inną sytuację. Nadzieje prysły, a zastąpiło je wielkie rozczarowanie. Cywile, z którymi rozmawia,ł nie wykazywali już entuzjazmu wobec Niemiec. Skarżyli się na grabieże, przemoc i pogardę, których zaznają ze strony władz okupacyjnych.

W efekcie stało się to, co przewidywali Stahl i inni oficerowie. W lutym 1943 r. przyszła klęska pod Stalingradem, a potem katastrofa na Łuku Kurskim. Uzbrojona przez Anglosasów Armia Czerwona przeszła do kontrofensywy. Rozpoczął się wielki odwrót Niemców.

Za późno!

Hitler, Himmler i reszta narodowo-socjalistycznych dogmatyków dopiero wówczas poszła po rozum do głowy. Rząd Rzeszy dał się wreszcie przekonać Wehrmachtowi, że należy wprowadzić bardziej elastyczny kurs wobec wschodnich Europejczyków. Berlin co prawda nie zgodził się na ogłoszenie wielkiej deklaracji wyzwoleńczej i odtworzenie niepodległych państw, ale przystał na stworzenie jednostek wojskowych złożonych z obywateli sowieckich. Ruszyła budowa patriotycznej i antykomunistycznej rosyjskiej armii gen. Andrieja Własowa.

Niestety, zrobiono to znacznie, znacznie za późno. Po wszystkich zbrodniach dokonanych przez narodowych socjalistów Niemcy nie byli już dla ludności cywilnej Wschodu wiarygodnym partnerem. Zresztą Armia Czerwona nacierała w błyskawicznym tempie i wkrótce wyparła Niemców z terytorium ZSRS. Mimo to ocenia się, że w niemieckim mundurach podczas drugiej wojny światowej walczyło przeciwko bolszewikom grubo ponad milion obywateli ZSRS.

Erich Stahl wczesnym latem 1944 r. przebywał w Galicji Wschodniej. Tam miał okazję zjeść obiad z jednym z generałów armii Własowa.

– Popełniliście błędy i popełniacie je dalej – powiedział bez emocji. – Czy zdaje pan sobie sprawę, że trzy miliony rosyjskich jeńców wojennych zmarło z głodu zimą 1941 roku? Dlaczego nie ukarano tych, którzy zmarnowali okazję? Ci niekompetentni durnie pozostali na stanowiskach. Pozwolono, żeby ta banda łajdaków roztrwoniła najcenniejszy kapitał polityczny na wschodzie.

– Skoro tak, Herr General, to dlaczego związał pan swój los z naszym?

– Ponieważ znam bolszewizm. To koszmarne połączenie szaleństwa i zbrodni, które trzyma w uścisku mój biedny, nieszczęśliwy naród. Nie łudźcie się, że wybierając Niemców, postąpiliśmy to z miłości do was. Nic podobnego. Postąpiliśmy tak, ponieważ wiemy, że nie ma nadziei na zdobycie wolności dla Rosji bez pomocy z zewnątrz. Nie walczymy dla Niemiec, tylko dla Rosji.

Ten spóźniony i połowiczny zwrot w polityce III Rzeszy nie mógł zmienić wyroku historii. To, co w 1941 r. mogło zmieść bolszewizm z powierzchni ziemi, w roku 1944 nie miało już większego sensu. Adolf Hitler, okazał się – jak pisał Józef Mackiewicz – najskuteczniejszym agentem bolszewizmu w dziejach świata.

Przez jego głupotę bolszewizm zatriumfował i opanował pół Europy. Kawał Niemiec, Polskę, państwa bałtyckie, Węgry, Czechosłowację, Rumunię, Bułgarię i inne kraje. A z czasem komunizm rozlał się na Chiny, Kambodżę, Kubę, Etiopię i mnóstwo innych państw na kilku kontynentach. Kosztowało to ludzkość dziesiątki milionów ofiar, straszliwe zniszczenia i kolosalną, nieodwracalną deprawację całych społeczeństw.

Bez wątpienia Sowieci powinni po drugiej wojnie światowej postawić Adolfowi Hitlerowi pomnik na pl. Czerwonym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ERICH STAHL
„PRZESZEDŁEM PIEKŁO Z WAFFEN-SS NA FRONCIE WSCHODNIM"
VESPER

eprasa.pl 448724bf47

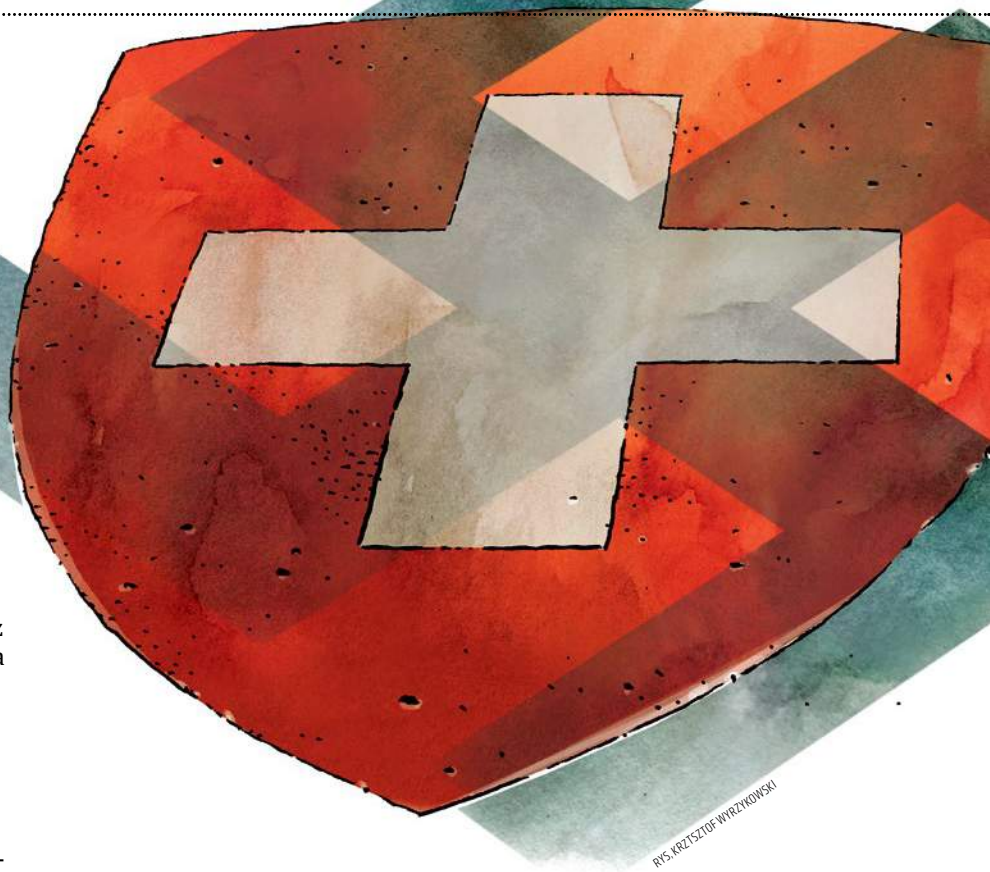

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Szwajcaria / Walki wywiadów i samolotów

Zbrojna neutralność

Marian Zacharski

W trakcie drugiej wojny piloci i artylerzyści szwajcarscy strącili 15 samolotów alianckich oraz 11 niemieckich. Tak bronili swojej neutralności

Szwajcaria, kraj neutralny mający za sobą setki lat wdrażania i respektowania podstawowych zasad demokracji. Broniące tych wartości siły zbrojne zostały zmobilizowane w ostatniej fazie 1939 r. i do ostatnich dni konfliktu pozostawały w pełnej gotowości bojowej, chociaż – jak pokazało życie – jedynie eskadry lotnicze i oddziały artylerii przeciwlotniczej zmuszone zostały do bezpośredniego udziału w walkach. Tuż przed wybuchem wojny Szwajcaria dała jasno do zrozumienia obu stronom nieuchronnie zbliżającego się konfliktu, że dochowywać będzie cyklicznie doprecyzowywanych od 1907 r. przez kolejne konwencje haskie definicji neutralności i zasad jej przestrzegania. Jednocześnie helweccy politycy w publicznych wystąpieniach nie pozostawiali nawet cienia wątpliwości, że każda próba naruszenia granic ich państwa, nieważne przez którą z walczących stron, spotka się z bezkompromisową reakcją, z użyciem sił zbrojnych włącznie.

Historycznie rzecz ujmując, strategiczne położenie Szwajcarii w Europie na osi północ–południe powodowało, że nieomal natychmiast po zakończeniu wielkiej wojny jako pierwsi Francuzi podjęli próby rozbudowania swoich wpływów wśród kadry oficerskiej sił zbrojnych Helwetów. Chociaż byli pierwsi, to w swoich wysiłkach nie byli osamotnieni, ponieważ Niemcy także doskonale zdawali sobie sprawę z wagi posiadania odpowiednio uplasowanych kontaktów w strukturach decyzyjnych południowego sąsiada. Oczywiście, mieli trudniejsze zadanie do wykonania, bo „kaganiec" nałożony na ich siły zbrojne postanowieniami traktatu wersalskiego był brutalny. Zawsze jednak mogli, jako kartę przetargową, wykorzystywać potencjał i innowacyjność przemysłu zbrojeniowego oraz renomę najwyższej klasy uczelni wojskowych, a w szczególności berlińskiej akademii kształcącej kadrę oficerską na potrzeby Sztabu Generalnego.

W 1919 r. Francuzi poinformowali szwajcarskiego prezydenta, że od tegoż roku w Ecole supérieure de guerre w Paryżu dwa miejsca będą zarezerwowane dla oficerów sił zbrojnych jego państwa. W krótkim czasie ukształtował się zwyczaj, według którego Szwajcaria corocznie wysyłała jednego zawodowego oficera na dwuletni kurs i stąd od drugiego roku studiów w zajęciach prowadzonych w akademii uczestniczyło zawsze dwóch starannie wytypowanych helweckich

eprasa.pl 448724bf47

oficerów. Pierwszym skierowanym na paryskie studia był urodzony w Bienne mjr Jules Borel, a rok później podążył jego śladami urodzony w Herisau mjr Alfred Gübeli.

W końcu 1936 r., z niespecjalnie skrywaną przez Francuzów radością, pięciu [Charles Dubois, Marius Corbat, Roger Masson (od sierpnia 1936 r. szef wywiadu), Paul Wacker i Gustav Däniker) z ośmiu szefów sekcji szwajcarskiego Sztabu Generalnego miało za sobą studia i dyplomy ukończenia paryskiej Wyższej Szkoły Wojennej. Z tej listy dwóch ostatnich oficerów wywodziło się z niemieckiej części Szwajcarii i był to pewien ewenement, ponieważ już w 1919 r. francuski wojskowy attaché w Bernie w rozmowie z płk. Peterem Islerem domagał się, aby nie kierowano na studia, jak to był uprzejmy określić, germanofilów. Wypowiedź Francuza była niewątpliwym dowodem zarówno arogancji, jak i nieomal całkowitego braku zrozumienia dla doskonale funkcjonującej koegzystencji rozmaitych grup kulturowych i językowych tworzących spójną i silną konfederację.

Szwajcarscy oficerowie, podobnie jak całe społeczeństwo, prezentowali odmienną mentalność, ale za to mieli jeden nie do zakwestionowania łącznik, którym był głęboki patriotyzm. Dlatego władze szwajcarskie, pomimo francuskich sugestii, w pełni świadomie w 1925 r. oddelegowały na studia w Paryżu kpt. Paula Wackera, a w 1929 r. kpt. Gustava Dänikera, oficerów wywodzących się z niemieckiej części helweckiej Konfederacji. Francuzi, pomimo wcześniejszych pobożnych życzeń, nie ośmielili się zaprotestować.

Mieli wyczucie, bo w 1935 r. również Niemcy umożliwili szwajcarskim oficerom podjęcie studiów na swojej akademii, od dawna w militarnym świecie uważanej za najdoskonalszą, by nie rzec – niedoścignioną, w kształceniu przyszłych kadr na potrzeby Sztabów Generalnych.

Heinrich Himmler przy szlabanie na granicy ze Szwajcarią FOT. ZBIORY AUTORA

Błędy wywiadów

Dzisiaj, dzięki kolejno ujawnianym dokumentom, staje się publiczną tajemnicą, że wpływy francuskie w siłach zbrojnych Konfederacji Szwajcarskiej niekiedy odnotowywały pewne sukcesy. Za przykład może posłużyć łatwa do obrony teza, że do momentu kapitulacji Francji w 1940 r. dochowywanie pełnej neutralności przez Szwajcarię zawierało pewną lukę. Otóż przed wybuchem walk na froncie zachodnim Francja i Szwajcaria zawarły niejawne przymierze o udzieleniu zbrojnej pomocy tej pierwszej w przypadku próby przejścia przez terytorium państwa Helwetów wojsk niemieckich zmierzających do opanowania Francji drogą obejścia przesadnie uważanej za „nie do zdobycia" Linii Maginota. Szwajcarom chodziło głównie o francuskie wsparcie przy zabezpieczeniu granic w rejonie Bazylei i w paśmie masywu Jury.

Porozumienie straciło swój podstawowy sens z chwilą wydania przez Hitlera rozkazu armii niemieckiej uderzenia na Francję od północy. 10 maja 1940 r. wybuchł konflikt na froncie zachodnim. Armia niemiecka przystąpiła do operacji zajęcia Francji via kraje Beneluksu. Drugim powodem samowygaśnięcia tego tajnego porozumienia było nadspodziewanie szybkie kompletne rozbicie rzekomo niezwyciężonej armii francuskiej i wspomagającego ją kontyngentu brytyjskiego. Po niewielu tygodniach od rozpoczęcia natarcia było po wszystkim. 20 czerwca Francja skapitulowała. Oceniając nieskuteczną postawę francuskich sił zbrojnych w obronie swojego terytorium z perspektywy czasu, można zaryzykować twierdzenie, że sprecyzowane wcześniej francusko-szwajcarskie tajne uzgodnienia o tym, kto komu miał pomagać, winny zostać odwrócone.

Sprawa tajnego porozumienia zapewne nie tak szybko ujrzałaby światło

eprasa.pl 448724bf47

Szwajcarscy żołnierze w strefie przygranicznej FOT. WIKIMEDIA COMMONS

dzienne, gdyby nie to, że nieomal całość dokumentacji francuskiego sztabu generalnego, w tym tzw. II biura, czyli wywiadu, już w czerwcu 1940 r. wpadła w ręce niemieckie. Podstawowa część tego „skarbu" spokojnie spoczywała w wagonach towarowych na maleńkiej stacyjce niewielkiego, bo zaledwie czterotysięcznego, malowniczo położonego nad Loarą miasteczka. Z odnalezieniem zbiorów nie mieli Niemcy specjalnego problemu, bo nadspodziewanie skrupulatny urzędnik w Paryżu, tuż przed ewakuacją, na swoim stanowisku pracy pozostawił kartkę z adresami poszczególnych miejsc ich postoju. Analogia do polskiego dramatu niefrasobliwego pozostawienia w Forcie Legionów dokumentacji polskiego Oddziału II SG nasuwa się sama.

W tym miejscu warto też wspomnieć o innej wpadce francuskiego wywiadu. Otóż 28 października 1940 r. wiarygodne źródło OKW poinformowało służby policyjne Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, że w okresie między wypowiedzeniem przez Francuzów wojny III Rzeszy a dniem wyjazdu personelu ich ambasady w Berlinie attaché lotniczy, kpt. Paul Stehlin, w ogrodzie tej placówki zakopał ważne dokumenty. Z ramienia RSHA sprawę koordynował nadsekretarz kryminalny, Haaker. Trudno mieć wątpliwości, jak Niemcy wykorzystali tę informację. Po wojnie, pomimo tego niezbyt chwalebnego incydentu, Stehlin robił wielką karierę zarówno we francuskich siłach powietrznych, jak i na niwie politycznej.

Trwało to do czasu, kiedy na światło dzienne wydostała się informacja, że walczący o zamówienia, m.in. nowo zaprojektowanych myśliwców YF-17, amerykański koncern Northrop przez lata zatrudniał i regularnie opłacał konsultantów mających koneksje w ścisłych gremiach rządów państw europejskich. Jednym z nich okazał się gen. Paul Stehlin, który na listę płac wpisany został w 1964 r. 6 czerwca 1975 r. fakt ten ujawniono przed amerykańską podkomisją senatu i tego samego dnia o godz. 18.30 silnie podenerwowany Stehlin wpadł pod autobus jadący ave de l'Opera w Paryżu, odnosząc poważne obrażenia, w wyniku których 22 czerwca zmarł w paryskim szpitalu.

Kolejne interesujące wydarzenie na terenie Francji rozegrało się we wrześniu 1940 r. W malowniczym kurorcie Pyla-sur-Mer, położonym ok. 65 km na południowy zachód od Bordeaux, słynącym z najwyższej wydmy w Europie (dune du Pilat) i wielu luksusowych willi, nagle ku zaskoczeniu mieszkańców pojawiło się Einsatzkommando niemieckiego Sicherheitsdienst. Nie działało po omacku. W okamgnieniu zapukali do drzwi willi „Eden" należącej do Cipriano Rivas Cherifa, hiszpańskiego dramaturga, reżysera, a przede wszystkim szwagra Manuela Azaña Diaza, ostatniego prezydenta Republiki Hiszpańskiej (1936–1939). W trakcie rewizji znaleźli i zarekwirowali zestawy dokumentów Wydziału Zagranicznego NSDAP dotyczące Hiszpanii. Wpadły one w ręce „czerwonych" w momencie wybuchu wojny domowej i były szeroko wykorzystywane we wrogiej Niemcom propagandzie.

Po upadku Republiki przemycono je do Francji i ukryto w ww. willi. Wśród sześciu grup tematycznych odzyskanych dokumentów wiele z nich zawierało interesujące informacje. Ze swojej strony zwróciłem szczególną uwagę na te, które dotyczyły ocen personelu niemieckich placówek dyplomatyczno-konsularnych aktywnych na terenie Hiszpanii. Wśród wielu dokumentów znalazłem m.in. pismo z 8 stycznia 1936 r. dotyczące niemieckiego konsularnego sekretarza, Fritza Kolbego, który od 1925 r. z ramienia Urzędu Spraw Zagranicznych działał w Hiszpanii i swoją postawą „zapracował" sobie na opinię politycznie niepewnego.

Pewnie w wyniku tej oceny w 1936 r. powrócił do pracy w Centrali AA w Berlinie. O dziwo, supernazista, jakim był minister Joachim Ribbentrop, pozostawił go w szeregach pracowników nadzorowanego przez niego resortu. Fritz Kolbe, będąc z krwi i kości antynazistą, w latach 40. w Bernie nawiązał kontakt z wywiadem amerykańskim, dla którego od tego momentu wytrwale pracował (w raportach słanych do centrali w Waszyngtonie występował jako George Wood). Można powiedzieć, że ocena jego wiarygodności z 1936 r. okazała się w całej rozciągłości trafna.

O czyste niebo

Wracając do głównego wątku, w pierwszej kolejności chciałbym podać szereg faktów wyjściowych pomocnych w ewentualnych znacznie pogłębionych analizach. Otóż w sierpniu 1939 r. szwajcarskie siły powietrzne nie posiadały adekwatnej do zagrożenia liczby nowoczesnych samolotów. Podstawą floty było m.in. 58 maszyn typu Dewoitine D.27 (konstrukcja z 1928 r., myśliwiec wyposażony w dwa karabiny 7,5 mm, 12-cylindrowy silnik francuskiej firmy Darne, maksymalna szybkość 312 km/h, zasięg ok. 425 km), 49 fokkerów CV-E (skonstruowany przez Anthony'go G.H. Fokkera samolot rozpoznawczo-bombowy z dwuosobową załogą – pilot i obserwator – wyposażony w silnik o mocy 650 PS, maksymalna szybkość 260 km/h, zasięg 600 km), 78 EKW C-35 (dwupłatowy samolot rozpoznawczo-bombowy wyposażony w silnik rzędowy o mocy 860 KM, maksymalna szybkość 335 km/h, zasięg 750 km, uzbrojony w jedno działko kalibru 20 mm i trzy karabiny maszynowe kalibru 7,5 mm), a także 30 messerschmittów Me-109E. Jedynie te ostatnie mogły konkurować z flotą powietrzną III Rzeszy. Szwajcarskie siły powietrzne posiadały w sumie 21 eskadr, z tym jednak zastrzeżeniem, że nie wszystkie mogły być użyte w walkach z prozaicznego powodu, a więc braku odpowiedniej liczby ilości technicznie w pełni sprawnych, gotowych do startu samolotów.

Poza tym Szwajcarzy doskonale sobie zdawali sprawę z jeszcze jednego, zdecy-

eprasa.pl 448724bf47

dowanie bardziej poważnego, problemu. Otóż III Rzesza w chwili otwierania frontu zachodniego posiadała flotę powietrzną składającą się z 4,3 tys. samolotów z zaprawionymi w boju załogami, które brały udział w niszczycielskim, barbarzyńskim ataku na Polskę. Pomimo że główne uderzenie niemieckie nakierowane było na Benelux, to już od pierwszego dnia walk na froncie zachodnim niemieckie samoloty, testując determinację Helwetów do obrony własnego terytorium, z premedytacją prowokowały ich siły zbrojne poprzez świadome naruszanie przestrzeni powietrznej. Walki w powietrzu oraz salwy artylerii przeciwlotniczej nie cichły aż do końca czerwca. Najcięższe walki toczono 4 czerwca 1940 r.

Po przerwaniu przez Niemców prowokacyjnych ataków na Szwajcarię ciężar obrony obszaru powietrznego tego państwa został przede wszystkim skupiony na likwidacji nieuzgodnionych, a więc nielegalnych, przelotów samolotów należących do flot powietrznych państw alianckich. Ogólny bilans działalności lotnictwa szwajcarskiego w okresie od 1 września 1939 do 20 sierpnia 1945 r. pokazuje, że w walkach powietrznych piloci tego państwa strącili sześć samolotów alianckich oraz 10 maszyn państw Osi. Do tego bilansu należy dodać dziewięć strąceń maszyn alianckich oraz jednej z floty państw Osi dokonanych przez pododdziały artylerii przeciwlotniczej.

Poza tym pokaźna liczba samolotów, które naruszyły przestrzeń powietrzną Szwajcarii, została zmuszona do przymusowych lądowań drogą umownych międzynarodowych znaków przekazywanych w powietrzu przez lotników helweckich myśliwców załogom samolotów-agresorów. W przypadku braku należytej reakcji samoloty były atakowane i uszkadzane ogniem z działek pokładowych lub salwami artylerii naziemnej i w taki sposób zobligowane do przymusowego lądowania.

Lotnisko w Dübendorf w niewielkiej odległości od Zurychu stało się w pewnym momencie znacznych rozmiarów „parkingiem" dla 80 mniej lub bardziej uszkodzonych czterosilnikowych latających fortec Boeing B-17 i ciężkich bombowców Consolidated B-24 Liberator, których załogi, zmierzając do zniszczenia celów na terenie Niemiec, usiłowały skrócić sobie trasę, bezprawnie przelatując nad obszarem powietrznym neutralnej Szwajcarii. Broniąc suwerenności, Helweci jednakowo reagowali na próby jej naruszania przez każdą ze stron konfliktu.

Dla przykładu: tylko jednego dnia, 18 marca 1944 r., „kolekcja" alianckich maszyn „na parkingu" w Dübendorf znacznie się powiększyła. Między godz. 13.45 a 15.56 przestrzeń powietrzna Szwajcarii została naruszona w sumie przez ok. 100 alianckich bombowców. Naprzeciw ich kolejnym zgrupowaniom dowództwo szwajcarskich sił powietrznych sześciokrotnie podrywało swoje myśliwce. Dwanaście alianckich fortec (dziewięć liberatorów oraz trzy boeingi B-17) zostało zmuszonych do lądowania na lotnisku w Dübendorf. Załogi tych samolotów (48 oficerów i 72 podoficerów) zostały internowane. Kolejny boeing B-17 (oznakowany P 237 793) z 11-osobową załogą wylądował na lotnisku St. Gallen-Altenrhein. Między godz. 14.15 a 15 stacjonujące w okolicach Frauenfeld jednostki obrony przeciwlotniczej ostrzelały pięć grup liberatorów przelatujących na wysokości 3,5 tys.–4 tys. m. Dwa liberatory rozbiły się i doszczętnie spłonęły na ziemi w okolicach Dietschwil Toggenburg (gmina Kirchberg) oraz Fehraltorf w kantonie Zurych. Załogi zdołały wyskoczyć z samolotów i bezpiecznie wylądować na spadochronach.

Kolejny liberator wylądował awaryjnie w Diessenhofen w kantonie Turgowia. Pięciu członków załogi wyskoczyło z samolotu w tak niefortunnym momencie, że wylądowali na terytorium III Rzeszy. Pozostała piątka została uratowana z płonącego samolotu. Jeden z załogantów doznał poparzeń wymagających pobytu w szpitalu w Schaffhausen. Niestety, katastrofy spowodowały także ofiary i cierpienia niewinnych cywili oraz znaczące straty materialne. Każdy z tych przypadków podlegał należytemu udokumentowaniu umożliwiającemu władzom Szwajcarii wystąpienie do kompetentnych przedstawicieli dyplomatycznych placówek alianckich w Bernie z żądaniami zadośćuczynienia.

Dla aliantów utrata samolotów to był jeden, mniej istotny, aspekt problemu. Drugim, znacznie istotniejszym, było internowanie znacznej liczby personelu latającego. W okresie wojny w ręce Szwajcarów wpadło 1519 członków załóg samolotów alianckich oraz 101 z państw Osi. Zostali internowani. Dla aliantów był to realny problem. Samoloty można było w miarę szybko zastąpić, gorzej sytuacja przedstawiała się z tempem wyszkolenia nowych załóg.

Siły zbrojne Szwajcarii, a przede wszystkim lotnictwo i obrona powietrzna, w okresie drugiej wojny światowej nie tylko skutecznie broniły nienaruszalności terytorium swojego państwa, lecz także zdobyły ogólny szacunek społeczeństwa za profesjonalizm i poświęcenie oraz respekt wśród tych, którzy siłą próbowali testować ich determinację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

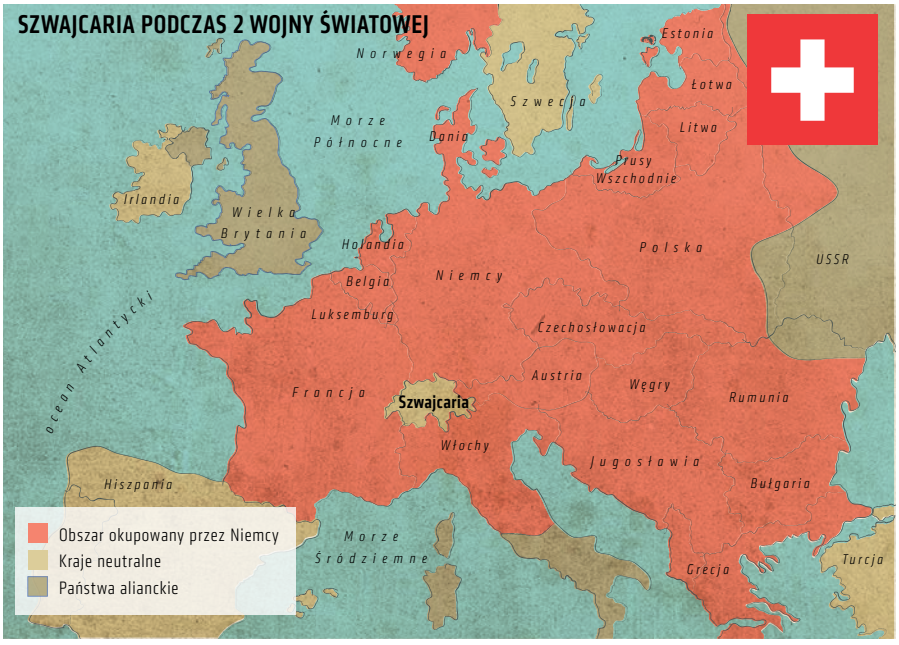

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 448724bf47

PANORAMA CHICAGO. POCZTÓWKA Z LAT 60. XXW. FOT. EAST NEWS

1902–1976 / Kariera Richarda J. Daleya

„Boss" muskularnego miasta

Piotr Semka

Jeśli jakiś człowiek odzwierciedlał idealnie Chicago, to tym kimś był burmistrz Daley

Richard J. Daley przez 21 lat rządził Chicago – drugim najważniejszym miastem USA po Nowym Jorku. Z rządzenia uczynił prawdziwą sztukę i zapoczątkował dynastię Daleyów, którzy nadali charakter i ton metropolii nad jeziorem Michigan. Jak wnuk biednych imigrantów, których wielki łód wygnał z Irlandii, potrafił zajść tak wysoko? I w jaki sposób utrzymał władzę burmistrza przez pięć kolejnych wyborów?

Gdy umarł w grudniu 1976 r. – w swoim biurze, przy biurku, na posterunku burmistrza – wszyscy w „jego" mieście poczuli się jakoś nieswojo. Wydawało się, że Daley był zawsze.

W 1977 r. w „National Geographic" Harvey Arden, kreśląc dziennikarski portret Chicago, kpiarsko zaznaczał, że opisuje miasto w roku A.D. 1 – pierwszym roku „After Daley", czyli po erze Daleya.

Mike Royko, felietonista „Chicago Sun Times", tak opisał w swojej biografii wieloletniego burmistrza:

„Jeśli jakiś człowiek odzwierciedlał idealnie swoje miasto, to tym kimś był Richard J. Daley, który był jak Chicago. W tym, co zawsze było w nim najlepsze: był silny, twardy, gorączkowo pracowity, ofensywny, twórczy, kierowany wielką ambicją równą chełpliwości Teksasu. A jednocześnie cechowało go to, co w Chicago jest najgorsze: arogancja, grubiaństwo, przebiegłość, bezwzględność, podejrzliwość i nietolerancja. [...] Subtelność procedur demokracji nigdy nie była elementem tożsamości dzieci imigrantów. I jeśli system „muskularnej władzy", który stworzył, kogoś oburzał, to znacznie więcej mieszkańców Chicago wzruszało ramionami. Z czasem Daley przeszedł widoczną przemianę – od politycznego bossa do pozycji ojca miasta".

Po władzę

Niemal każda książka, każdy reportaż poświęcony karierze bohatera tego tekstu zaczyna się w Bridgeport. Dzisiaj to dzielnica Chicago, ale w maju 1902 r., gdy właśnie tu urodził się Richard James Daley, była to jeszcze osobna suburbia zaludniona przez irlandzkich imigrantów pracujących w stoczniach, rzeźniach i fabrykach metropolii Midwestu.

Rodzice Daleya urodzili się już w Ameryce, ale jego dziadkowie wspominali jeszcze z sentymentem ojczystą „zieloną wyspę". Centrum życia irlandzkich imigrantów stanowił katolicki Kościół Narodzenia Pańskiego, w którym młody Richard był ministrantem. Tutaj, w dzielnicy biednych ludzi, młody chłopiec nauczył się zasad, które bardzo pomogły mu potem w życiu. Najważniejsze są kolejno: rodzina, tożsamość etniczna, religia i lojalność partyjna.

Rodzina była fundamentem przetrwania w tym twardym świecie. A oprócz niej królowało parę niezmiennych zasad.

Jeśli chcesz, by ci pomagano, to ty sam musisz pomagać innym. Szanuj swojego proboszcza, bo nigdy nie wiesz, kiedy przyda się jego pomoc. Zorientuj się, gdzie jest lokalne biuro demokratów, bo są i byli wiodącą partią imigrantów. Znajomości tam zawarte pomogą ci zdobyć pracę lub otrzymać zgodę na otworzenie sklepiku. A jeśli złamiesz te zasady, to nie masz już czego szukać w Bridgeport.

Richard nigdy ich nie łamał i dlatego piął się nieustannie. Pomoc proboszcza pomogła mu dostać się do Szkoły im. św. Jana de La Salle. Tu traktowano naukę serio, a w zamian za dobre wyniki ułatwiano dalszy awans. Gdy Daley został członkiem lokalnej drużyny futbolowej, wziął go pod swoje skrzydła miejscowy lider Partii Demokratów.

Richard skorzystał z pomocy, ale wiedział, że przez resztę życia musi zawsze

eprasa.pl 448724bf47

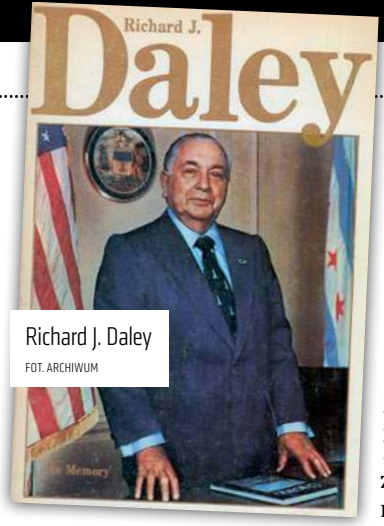

Richard J. Daley
FOT. ARCHIWUM

pamiętać o odwdzięczaniu się tym, którzy mu pomogli. I nigdy nie kpił ze swoich tradycji ani świętości. Wiedział, że bez nich jest się nikim. Dlatego gdy już zaszedł wysoko, w 1964 r. odwiedził miejscowość Old Parish w Irlandii, skąd wywodzili się jego dziadkowie. Wszystko w myśl zapamiętanej z Bridgeport zasady: jeśli ty sam wstydzisz się swoich korzeni, to nie licz, że szanować je będą inni.

Korzystając z rekomendacji Demokratów, Daley dostał pracę w zarządzie miejskim i poznawał, jak funkcjonuje machina wielkiego miasta. Pracował ciężko, a jeszcze wieczorami studiował prawo. Epokę Ala Capone przeszedł w czytelniach uczelnianych. Trzymał się z dala od dzielnic występku, oszczędzał każdy zarobiony grosz i zdobywał kontakty. Dopiero gdy poczuł, że jako tako się ustatkował, ożenił się w 1936 r.

W tymże roku wygrywa swoje pierwsze wybory jako kandydat demokratów do legislatury stanu Illinois. Przez kolejne 20 lat znów się pnie, aż w 1955 r. zostaje kandydatem na burmistrza Chicago. Wygrywa i 22 kwietnia 1955 r. inauguruje swoją władzę nad miastem. Ma 53 lata, i wie, że ma tylko cztery lata, by przekonać wyborców do ponownego oddania na niego głosu.

W następnym roku demonstruje, że nie wstydzi się swoich korzeni. Ogłasza, że Parada św. Patryka po raz pierwszy pomaszeruje główną Side Street. Pamięta dobrze czasy, gdy anglosascy notable zarzekali się, że nie pozwolą na to „brudnym Irlandczykom". Gdy w radzie miejskiej odezwały się głosy sprzeciwu, Daley rzucił: „To ja prowadzę grę w tym mieście. Jeśli nie chcesz grać ze mną, to nie będziesz mieć kart w ręku".

Trafia na dobry okres koniunktury i optymizmu rozwojowego lat 50. Wie, że zmiany najlepiej symbolizować będą wielkie inwestycje. Za jego rządów trzy z pięciu najwyższych wówczas w świecie drapaczy chmur zbudowane zostaną w Chicago. Każdy musiał na własne oczy zobaczyć, że coś w mieście się zmieniło. Nieprzypadkowo nazywają go „Boss".

Daley łączy też funkcję burmistrza i szefa Partii Demokratów w hrabstwie Cook, którego stolicą jest Chicago.

„Zawiadywał machiną napędzaną przez 40 tys. tworzonych przez miasto miejsc pracy i kolejnych 20 tys., które także kontrolował. A machina kręciła trybami i raz za razem dawała demokratom większość w każdych wyborach. Daley skrupulatnie prowadził tabele lojalności i powinności wobec partii, a miejsca pracy i stanowiska traktował jako środek wynagradzania przyjaciół i karania wrogów" – tak system „Bossa" opisał jeden z przewodników po mieście. Dbał więc, by magistrat zatrudniał coraz więcej ludzi – za swoich rządów stworzył kolejne 40 tys. miejsc pracy.

Rozumiał też, że potrzeba mu jeszcze sympatii mediów. Zawsze znajduje czas dla dziennikarzy, a jeśli niektórzy są zbyt dociekliwi, to wie, do którego wydawcy zadzwonić, by „pismaka" uciszyć.

Za rządów Daleya demokraci działają na rzecz miasta i miasto działa na rzecz demokratów. W 1960 r. to głosy z jego machiny partyjnej decydują o tym, że kandydatem prezydenckim będzie John Kennedy. Daley tak skutecznie wspiera pierwszego katolika i Irlandczyka w drodze do prezydentury, że ten po wygranej przyjmuje jego rodzinę jako pierwszych gości w Białym Domu. W ramach rewanżu burmistrz Chicago urządza Kennedy'emu królewskie powitanie w czasie jego wizyty w Wietrznym Mieście. Tłumy są tak wielkie, że prezydencka limuzyna wolno przebija się przez główną aleję. Daley siedzi w limuzynie prezydenta na tylnym siedzeniu.

„Był jak »Kingmaker« oglądający z satysfakcją sukces wyznaczonego przez siebie przepięknego księcia" – tak tę scenę opisał T.J. English, pisarz i znawca amerykańskiej polityki .

Przeciw hippie

Zagłębiony w gry wokół zarządzania miastem i w pomaganie demokratom Daley w drugiej połowie lat 60. zlekceważył pojawienie się nowych zjawisk – fali rosnących aspiracji czarnej ludności i aktywizmu radykalnej lewicy, ruchu hippies, legalizacji trawki i protestów przeciw wojnie w Wietnamie. W roku wyborów prezydenckich demokraci wybierają Chicago na miejsce konwencji w dniach 26–29 sierpnia, która ma wybrać ich kandydata. Delegaci wybierają Huberta Humphreya, a Daley pęka z dumy, że dzieje się to w jego mieście. Gdy dowiaduje się, że pacyfiści i działacze studenckiej alternatywy organizują marsz, który ma podążać pod miejsce konwencji, wpada w szał. Nakazuje policji, by nie szczędziła razów rozrabiaczom. Dochodzi do brutalnej rozprawy z demonstrantami. W Chicago takie pokazy siły policji odbywały się wcześniej często i nikt nie robił z tego dramatu. Daley zapomniał jednak, że nastała epoka telewizji, a jej dziennikarze w coraz większym stopniu sympatyzują z lewicą. Magazyny newsów wykreowały starcia na sadystyczny pogrom niewinnych pacyfistów. Jeszcze na konwencji lewicujący polityk demokratów Abi Rubicoff rzuca w twarz Daleyowi: „Nie chcemy taktyki gestapo na ulicach Chicago!". Burmistrz odpowiada gniewną, emocjonalną tyradą. Znów nie rozumie, że nie jest na naradzie w swoim biurze, gdzie wszyscy stają przed nim na baczność. I znów telewizje przedstawiają jego występ jako amok despoty. W Chicago Daley może być nadal bossem, ale Ameryka idzie na lewo. Postępowcy wykorzystują proces tzw. ósemki z Chicago na czele z Abbiem Hoffmanem, liderem zamieszek z sierpnia 1968 r., do wykreowania wydarzenia na symbol zamordyzmu klas rządzących. Lewica amerykańska wdrukowuje w świadomość Amerykanów wizerunek „Bossa" jako szwarccharaktera. Przez kolejne osiem lat rządów Daley będzie walczył z przyprawioną mu „gębą" bigota.

Śmierć Richarda Josepha Daleya w 1976 r. nie zakończyła rządów jego rodziny nad miastem. W 1989 r. burmistrzem Chicago zostaje jego syn Richard Michael Daley. Rządzi miastem do 2011 r., a więc 22 lata. Pobił rekord długości rządów ojca o rok i sam decyduje o odejściu w aurze triumfu. Inny syn Daleya seniora – William M. Daley – zostanie w 1993 r. szefem sztabu Białego Domu za prezydentury Billa Clintona. Kolejny syn – John P. Daley – zrobił karierę w senacie stanu Illinois. Jeśli „Boss" widział to z niebios, miał prawo od dumy. Nazwisko Daley dla wielu Amerykanów stało się synonimem miasta Chicago i stanu Illinois.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Krzysztof Masłoń

Mówiono, że wylansował ją Tuwim, podziwiał Wierzyński, zwróciła też baczną uwagę – talentem literackim i urodą – Grydzewskiego

Przeżyła zaledwie 27 lat. Urodzona w roku 1917, zdążyła przed wojną wydać jeden tom wierszy – „O centaurach", sporo utworów opublikowała w prasie literackiej, m.in. w prestiżowych „Wiadomościach Literackich", które wyróżniły ją – jeszcze jako 17-latkę – w zorganizowanym przez redakcję Turnieju Młodych Poetów. Mówiono, że wylansował ją Tuwim, podziwiał Wierzyński, na pewno też zwróciła baczną uwagę – tyleż ze względu na talent literacki, ile na urodę – Mieczysława Grydzewskiego.

W Ziemiańskiej była ozdobą stolika Witolda Gombrowicza. A ze znanych literatów grubo wcześniej, bo jeszcze w Równem, gdzie się wychowała, zakochał się w niej Józef Łobodowski. „Odbywał służbę wojskową w Równem – czytamy w »Musisz tam wrócić. Historii przyjaźni Lusi Gelmont i Zuzanny Ginczanki« Marii Stauber – w miejscowej podchorążówce, w 44. Pułku Strzelców Kresowych. Siedział godzinami u niej w ciemnym pokoju. Czytali sobie nawzajem swoje poematy. Miał dwadzieścia cztery lata, a Zuzia szesnaście i babcia Sandbergowa bardzo się niepokoiła. Łobodowski tak to wspominał po latach, w roku 1978, na emigracji:

Babcia: – Sanoczka, czto ty tak dołga rozgawariwajesz z etim sołdatom? – Co ty tak długo z tym żołnierzem gadasz?

Zuza: – Babuszka, my wiediom litieraturnyj razgawor. – Babciu, prowadzimy rozmowę o literaturze.

Łobodowski: – Madam, ja wied' dublon w Sanoczku tolko płatoniczeski! – Proszę pani, jestem w Sanoczce zakochany tylko platonicznie.

Babcia (podnosząc swoje złote pincenez): – Isz jewo! Nam charaszo znakomy

FOT. MUZEUM LITERATURY IM. A. MICKIEWICZA

1917–1944 / Dziś przypomina się jej wiersze i zakończone tragicznie życie

Popiół i diament Zuzanny Ginczanki

eprasa.pl 448724bf47

eti płatoniceskije lubwi.
– Znamy się na tych platonicznych miłościach!".

Równe. Gmach gimnazjum
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Panorama Równego
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Aniołek z wystawy

Poetka wychowywała się w domu babki, Klary Sandberg, która mówiła po rosyjsku. Małżeństwo rodziców Zuzanny (nazywanej Saną), Szymona Gincburga i Cecylii z Sandbergów szybko się rozpadło; ojciec wyjechał do Niemiec, a stamtąd do Ameryki, matka powtórnie wyszła za mąż i pojechała do Hiszpanii. Ich córkę do polskości przywiedli: nauka w szkole, świetni nauczyciele gimnazjalni, no i wrażliwość na polską poezję. Jeśli bowiem chodzi o dom, to…

„Czy wie Pani, że Zuzanna, kiedy była uczennicą w Równem, przed każdymi świętami Bożego Narodzenia ozdabiała wystawę sklepu swojej babki jako anioł? Klęczała w białej sukience, ze skrzydłami, srebrną przepaską na czole, a może złotą, i w białych pantofelkach. […] Klęczała nieraz bardzo długo" – pisał znający Ginczankę z warszawskiej Ziemiańskiej Kazimierz Brandys w liście do Izoldy Kiec, autorki wydanej kilka tygodni temu przez Marginesy biografii poetki: „Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt".

„Ta historia – dopowiada literaturoznawczyni – powtarzana chętnie przez licznych komentatorów biografii i twórczości Ginczanki w charakterze ozdobnika, dowodu na egzotykę prowincjalnego rytuału, jest dla mnie metaforą jej losu życia za wystawową szklaną szybą, uniemożliwiającą porozumienie ze światem, pozwalającą jedynie na podglądanie cudzej egzystencji, co z tego, że przebiegającej w nędzy, w chłodzie i brudzie".

Konieczna samoobrona

Jak pisała Ginczanka? Deklarowała: „Mam takiego bzika, co do pisania wierszy zmusza", ale ten „bzik" nie wyjaśnia wszystkiego. Jan Śpiewak, poeta (ojciec Pawła Śpiewaka, dziadek Jana Dawida Śpiewaka), autor pierwszego wyboru wierszy Ginczanki (1953), wspominając swoją z nią znajomość, akcentuje to, że „Zuzanna po matce odziedziczyła cięty i zaskakujący dowcip. Niebawem się o tym przekonałem. Miała też wrodzoną zdolność obserwacji. Podziwiałem jej umiejętność utrzymania dystansu w stosunku do otoczenia. Była to konieczna samoobrona, odcinała się tym od stylu bycia innych kobiet. Patrzyła zresztą na swoich najbliższych z lekką ironią. Chciała być inna".

W Warszawie studiowała pedagogikę na uniwersytecie, wyżywając się jednak przede wszystkim w życiu literackim. Pisała do „Sygnałów" i „Szpilek", miała wyraźne zacięcie satyryczne. Pojawiały się jednak w jej twórczości, i to coraz wyraźniej, zagadnienia z gatunku tych najpoważniejszych. W 1934 r. w „Agonii" pisała:

zdychasz, stara Europo,
patosem brzękniesz jak trup
„o Francjo, – o Anglio, – o Niemcy, – o Litwo!!!"
zanosisz się suchotnico
kaszlem żołnierskich rytmów
(więzi bęben takt stóp) gnijesz gangreną
– policją, ociekasz kodeksów
ropą –
Zdychasz, stara Europo!

Koleżanka pana Tuwima

Stykała się również z antysemityzmem, niezrozumiałym dla niej, kompletnie przecież zasymilowanej, wyraźnie dystansującej się od takiego „chałaciarskiego" żydostwa, jakiemu ze zdumieniem przypatrywała się np. na stołecznym Murdzielu. Jednak jej pochodzenie, a jakże, wypomniano. W lutym 1937 r. brukowe pismo „Wiem wszystko" zamieściło taki oto „wdzięczny" tekścik:

„Koleżanko Gincburżanko, nie bądźcie Ginczanką!

Zapieniony organ frontu ludowego i p. Tuwima, w walce utalentowanego poety z tymi wszystkimi, którzy ośmielają się pod znakiem zapytania stawiać polskość twórczości p. Tuwima, tygodnik »Szpilki« udziela od pewnego czasu gościny tajemniczo sarmackiej poetce p. Ginczance.

Nie poświęcalibyśmy koleżance p. Tuwima tych kilkunastu wierszy, gdyby nie fakt, że młodziutkie sarmackie dziewczę podjęło się ryzykownej funkcji wyjmowania swymi drobnymi rączkami… kasztanów z ognia. Nie potrzebujemy dodawać, że kasztany przeznaczone są dla luminarza »fołksfrontu« i redaktora »Szpilek« p. Mitznera.

Pełni wyrozumiałości dla młodziutkiej poetki, zapytujemy ją uprzejmie, czy godzi się, aby sympatyczne dziewczę z modrzewiowego dworku, którego tatuś, o ile nam wiadomo, zasłużony Fajwel Gincburg, przebywa w czerwonej Hiszpanii, mamusia Cywia Gincburg w czerwonej Rosji, a babcia Pesa Gincburg w dalekim Równem czy Kowlu, czy godzi się w takich warunkach wstydzić się dźwięcznego rodowego nazwiska na rzecz jakiejś tam Ginczanki? Wiadomo, że goje i tak nie poznają się na »wierszach« koleżanki Ginczanki ani jej sentymencie do… sarmackości, tak pięknie uwypuklonym w zmodyfikowanym nazwisku

eprasa.pl 448724bf47

koleżanki zasłużonych Duńczyków spod znaku »Szpilek«".

Ginczanka odpowiedziała wydrukowaną w „Szpilkach" satyrą „Bez komentarzy o zwyczajach panów dziennikarzy". Najważniejszą okazała się jednak inna jej wypowiedź, poetycka, w świetnym wierszu „Łowy" (1937), z którego pochodzi ten fragment:

Pędzą myśliwi w zamierzchłe dzieje,
Gdzie ślad porasta i trup czernieje,
W gąszczach przeszłości z uporem mrówki
babki szukają, babki – żydówki,
babki – żydówki bliźniego swego,
wroga ciętego, druha dobrego,
a gdy wywęszą babkę jak łanię,
to w surmy, w trąby, w rogi i granie!

Coś przyjdzie: miłość lub wojna

Im bliżej było wojny, tym bardziej widoczne w liryce Ginczanki stawały się obawy przed nią. W wierszu „Zza barykad" pisała:

– Kiedy ci mówię wzrokiem, – kochany – że twoja [jestem, twoja, twoja,
nawet nie słyszysz mojej rozpaczy i moich lęków [i niepokojów –

nawet nie słyszysz, że tak się boję, że całym sercem [w ciebie przenikam,
że ci zaciążę, że cię obarczę gnącym ciężarem moich [barykad –

patrzysz mi w oczy jak w szklane szyby, jak w nieprze- [bite graniczne szyby
i nie wiesz wcale, jak w myśli wołam: uwolń mnie, miły,
[ratuj i wybaw –

Przed ostateczną katastrofą zdążyła jeszcze podzielić się z czytelnikami osobistym, jakże kobiecym przekonaniem: „coś przyjdzie: miłość lub wojna" („Maj", 1939). A stało się, co się stało.

Po wybuchu wojny znalazła się we Lwowie, gdzie w czasie okupacji sowieckiej pracowała jako pomocnik buchaltera (pombuch) w Biurze Uzdrowiskowym, regularnie odwiedzając pałacyk hrabiego Bielskiego, w którym odbywały się zebrania pisarzy. Tam też poznała 16 lat od siebie starszego Michała Weinziehera,

Zuzanna Ginczanka z przyjaciółmi w Równem
FOT. MUZEUM LITERATURY IM. A. MICKIEWICZA

krytyka, kustosza lwowskiego Muzeum Historycznego, za którego wyszła za mąż. W tym samym 1940 r. została członkiem Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy, tłumaczyła z języka rosyjskiego i ukraińskiego (m.in. wiersz Pawła Tyczyny o Dzierżyńskim), publikowała w „Czerwonym Sztandarze" i „Nowych Widnokręgach". Wbrew temu, co pisał Ksawery Pruszyński, trudno zarzucić jej specjalną nadgorliwość w uprawianiu propagandy komunistycznej.

W pierwszym numerze lwowskiego „Almanachu Literackiego" z 1941 r. wydrukowała utrzymany w poetyce epoki utwór „W bitwie o urodzaj". Popełniła jeszcze podobne „Przebudzenie" opublikowane w „Nowych Widnokręgach". To wszystko.

Non omnis moriar

Kiedy Lwów zajęli Niemcy, zajrzała w jej oczy śmierć. Była rozpoznawalna, przyciągała uwagę swoją urodą, może i wyjątkową, ale wybitnie semicką. Po tym, gdy zadenuncjowała ją dozorczyni kamienicy przy ul. Jabłonowskich, gdzie się ukrywała, wyprowadzono ją z kryjówki wraz z mężem, ale jeszcze wtedy Michałowi udało się przekupić ukraińskich policjantów. Po tym wydarzeniu i innych wypadkach donosów i szabru Zuzanna napisała swój jedyny za okupacji niemieckiej wiersz.

Non omnis moriar moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Twoje, niech twoim służą, bo po cóż by obcym,
Bliscy moi – nie lutnia to, nie puste imię.
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy,
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
O, jak się będzie palić w ręku im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury rozprutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną,
W skrzydła zmienią ręce obie;
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydlonych nagle w aniołów przemieni.

Wymieniona w wierszu Chominowa została po wojnie skazana na cztery lata więzienia, jej syna, vorarbeitera przymusowej służby budowlanej, uniewinniono.

Coraz bardziej zagrożona Zuzanna jesienią 1942 r. przeniosła się do Krakowa. Tam też, po zmianach adresów, 1 stycznia 1944 r., na fali aresztowań wśród krakowskich peperowców po zatrzymaniu jej przyjaciela Janusza Woźniakowskiego, gestapo zainteresowało się także nią. Bita na Montelupich przyznała się, że nie jest żadną Marysią Danilewicz, co wynikałoby z dokumentów, lecz urodzoną w Kijowie w 1917 r. Zuzanną Poliną Gincburg. Przeniesiono ją wtedy do więzienia przy ul. Czarnieckiego, skąd wywieziono do obozu w Płaszowie (tego z „Listy Schindlera"), gdzie wcześniej rozstrzelano jej męża. Przeżyła go niewiele.

Przyczynek do „Listy Schindlera"

Obóz Płaszów miał kilka filii umiejscowionych przy większych zakładach produkcyjnych. Jedną z nich była należąca do Oskara Schindlera Fabryka Naczyń Emaliowanych przy ul. Lipowej. Więźniowie pracowali również w pobliskiej fabryce kabli, w cegielni w Bonarce, na lotnisku w Rakowiczach i w kilku innych firmach. Do obozu w Płaszowie przywożono więźniów na egzekucje cztery razy w tygodniu ciężarówkami

eprasa.pl 448724bf47

z więzienia na Montelupich i Czarneckiego. Egzekucji dokonywano na wzgórzu zwanym Hujową Górką, od nazwiska esesmana, który nadzorował egzekucje, niejakiego Alberta Hujara. Takie wulgarne żarty pozwalały więźniom jakoś radzić sobie z koszmarem obozu. Jeden z dowódców obozu, Ferdinand Glaser, zabawiał się dodatkowo, ustawiając więźniów przed rozstrzelaniem w figury geometryczne. Podobało się to niezwykle komendantowi obozu, którym był słynny SS-Hauptsturmführer Amon Göth, znany ze strzelania do więźniów jak do kaczek z balkonu swojej willi. W ten sposób Göth zabił osobiście ok. 500 osób.

Skazańcy na rozkaz esesmana skakali z ciężarówki, składali z boku swoje ubrania i nadzy schodzili do przygotowanego uprzednio rowu, kładąc się na przemian twarzą do ziemi. Otrzymywali strzał w kark. Następni kładli się na nich. Po egzekucji technik dentystyczny wyrywał im złote zęby, po czym ciała przysypywano cienką warstwą ziemi. Egzekucje na Hujowej Górce przeprowadzano do połowy lutego 1944 r. Od 15 lutego 1944 r. egzekucje w Płaszowie przeprowadzano na drugim szańcu obozu, FS-22, 300 metrów na zachód, nazywanym tym razem Cipowym Dołkiem. Mapy Google nazywają te miejsca H-Górką i C-Dołkiem. Dzisiaj w tym miejscu stoi pomnik ku czci ofiar obozu w Płaszowie, nazywany „Ludzie z wydartymi sercami".

Michał Weinzieher-Danilewicz został stracony najpewniej w Wielki Piątek, 7 kwietnia, kiedy rozstrzelano tam 100 mężczyzn.

W maju 1944 r. więzienie na Czarneckiego miało zostać zlikwidowane. Niemcy wywieźli wszystkich więźniów. 5 maja 1944 r. do Płaszowa przywieziono większą grupę ludzi, oprócz kobiet – ok. 30 Żydówek – resztę zatrzymano w obozie. W warsztatach obozu płaszowskiego wystarczyło podnieść głowę, by przez zaparowane okienka dojrzeć na miejscu straceń rozebrane, krzyczące kobiety, które po chwili rozstrzelano. Z pewnością w tej grupie znalazła się Zuzanna Ginczanka.

Latem 1944 r. w związku ze zbliżającym się frontem Niemcy przystąpili do systematycznego zacierania śladów swoich zbrodni, przeprowadzając ekshumację zwłok z Hujowej Górki i Cipowego Dołka. Otwarto zbiorowe groby i systematycznie palono ciała, polewając je benzyną. Kilka tysięcy ciał pomordowanych tam ludzi. Do nadzorowania i układania zwłok w stos Amon Göth wyznaczył Niemców skazanych za przestępstwa kryminalne. Podczas ekshumacji dochodziło do przypadków profanowania, wyrywania palców z pierścionkami i złotych zębów. Więźniowie Żydzi z tzw. Ausgrabenkommando pracujący przy ekshumacji i paleniu zwłok otrzymywali dodatkowe racje żywnościowe oraz przydział wódki. Akcja trwała dwa miesiące. Siedemnaście wozów ludzkich popiołów rozsypano na wzgórzach danego obozu. Wśród nich prochy Zuzanny Ginczanki.

Donos, nic innego

Trzy lata temu Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie wśród twórców pochodzenia żydowskiego rozpropagowało podobiznę Ginczanki z podpisem: „Żydówka, Polka, warszawianka, poetka, feministka". Powiedzmy od razu, że warszawianką zrobiono ją na siłę. Poetką była, niewątpliwie, rokującą ogromne nadzieje, niemniej próby uczynienia z niej obecnie kogoś na obraz i podobieństwo Krzysztofa Kamila Baczyńskiego spełzną na niczym, dorobek obojga twórców jest bowiem nieporównany. Odnośnie do feminizmu, jej liryka jest z pewnością bardzo kobieca, a o niej samej wiemy, że w życiu warszawskiej socjety (nie cyganerii) literackiej, w którym uczestniczyła, nie było jej – właśnie jako kobiecie – łatwo, ale dzielnie dawała sobie radę. Dobrze, że przypomina się dziś jej wiersze i zakończone tragicznie życie, że ukazują się o niej książki i powstają spektakle teatralne (sopocki Teatr na Plaży w koprodukcji z Teatrem Łaźnia Nowa w Krakowie przygotował „Ginczankę. Przepis na prostotę życia" w reżyserii Anny Gryszkówny).

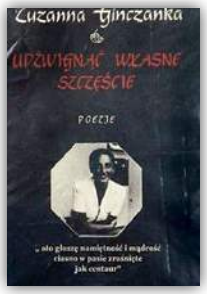

Niemniej oczywisty jest kontekst, w jaki wpisuje się „odkrycie" po ponad pół wieku zapomnianej poetki. Ginczankę zamordowali Niemcy, ale jej wegetacja w kryjówkach Lwowa i Krakowa upływała w strachu przed donosem ze strony „swojego": czasem kogoś przypadkowego, częściej znajomego…

W Krakowie na śmierć wywleczono ją z kamienicy przy ul. Mikołajskiej 26, gdzie znalazła schronienie u Elżbiety Mucharskiej, zresztą też Żydówki, tyle że bardzo zakonspirowanej. Jej wnuk, mający wówczas 10 lat, wspominając tamto wydarzenie, orzekł: „Podejrzewam, że doniósł jeden z sąsiadów. Nie było innej możliwości".

Izolda Kiec w biografii poetki przychyla się do tego zdania: „Donosicielstwo sąsiadów to chyba najprostsze wyjaśnienie, okupacyjny Kraków bowiem słynął z konfidentów, nie było dnia, by na gestapo nie wpływały doniesienia o ukrywających się Żydach i pomagających im Polakach. Andrzej Chwalba pisze o ponad ośmiuset działających tutaj kapusiach, co oznaczało mniej więcej jednego agenta na trzystu mieszkańców miasta. Bardzo niebezpieczne miejsce wybrała Zuzanna (albo dla niej wybrano) na tę okupacyjną kryjówkę. A ów ostatni adres wydaje się ponurym żartem historii, jej historii, Zuzanny Ginczanki – poetki. Całkiem niedaleko bowiem, przy ul. Mikołajskiej 6, mieściła się kawiarnia o znanej z warszawskiej przeszłości nazwie – Ziemiańska, która tutaj też była znana, tyle że przy najsłynniejszym jej stoliku siadywali nie ekscentryczni poeci, a gestapowcy i ich agenci".

Co poza popiołem pozostało po zamordowanej w Płaszowie poetce? Pamięć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Mussolini (czwarty z lewej) wśród uczestników marszu na Rzym FOT. WIKIPEDIA

1919–1922 / Włoski faszyzm kontra socjaliści

Marsz Mussoliniego

Niecałe cztery lata zajęło Benito Mussoliniemu i ruchowi faszystowskiemu dojście do władzy. O tym czasie opowiada książka Antonio Scuratiego. Została nagrodzona Premio Strega, najważniejszą włoską nagrodą literacką. Zupełnie zasłużenie, bo jest to książka znakomicie napisana, nie bez literackich zresztą ambicji. Przede wszystkim jest to jednak literatura faktu.

Jeśli w Niemczech, po zakończeniu pierwszej wojny światowej, powszechne było uczucie niesprawiedliwości i krzywdy, to we Włoszech dotyczyło ono jedynie żołnierzy, szczególnie zaś ochotników i członków oddziałów specjalnych tzw. arditi (odważni). Po demobilizacji nie było dla wielu z nich pracy, zasiłki nie pozwalały na godne życie. Najgorsze było dla nich to, że nie byli szanowani. Włochy przystąpiły do wojny wbrew woli społeczeństwa. Gdy się zakończyła – zginęło 600 tys. Włochów – nie było uznania dla bohaterów. Wprost przeciwnie, otaczały ich obojętność i niechęć. Scurati pisze o frustracji niedawnych żołnierzy. To oni stworzyli trzon ruchu faszystowskiego.

Autor opisuje faktyczne przejęcie władzy przez socjalistów w północnych Włoszech, zauważając, że wielu polityków socjalistycznych nie kryło podziwu dla rewolucji bolszewickiej w Rosji i marzyło, by Włochy przyjęły ten model. Robotnicy opanowali fabryki i zaczęli zarządzać produkcją, ligi chłopskie sterroryzowały właścicieli ziemskich, socjaliści opanowali samorządy miast i prowincji, w parlamencie mieli 156 posłów, podczas gdy faszyści w 1919 r. nie zdobyli ani jednego mandatu.

Dlaczego więc we Włoszech nie zwyciężyła rewolucja socjalistyczna? Książka daje odpowiedź: socjalistom zabrakło odwagi i woli. Poprzestali na słowach, odwlekali rewolucję. W przeciwieństwie do nich Mussolini mówił: „My, faszyści, nie mamy żadnej ustalonej ideologii. Naszą ideologią jest czyn". Ruch, a potem partia Mussoliniego – początkowo 10 razy mniej liczna niż socjaliści – powstrzymał, a następnie złamał potęgę socjalistów, używając także przemocy. „Sztylet i granat nie cofną się przed sierpem i młotem" – głosili faszyści.

„Squadry", bojówki faszystowskie, rozpędzały ligi chłopskie, niszczyły ich siedziby, paraliżowały socjalistyczne samorządy, zmuszając je do ustąpienia. Przemoc oznaczała także pobicia i zabójstwa, uciekali się do nich także socjaliści, ale faszyści, jako niedawni ochotnicy i komandosi, byli górą.

Scurati stwierdza, że Mussolini, uznający przemoc jako narzędzie polityki, deklarował, iż ma ona przypominać precyzyjne cięcia chirurgiczne, a nie walenie cepem. Często jednak nie był w stanie zapanować nad „rasami" – lokalnymi watażkami – z Italo Balbo na czele. To oni zmusili Mussoliniego do porzucenia myśli o pakcie nieagresji z socjalistami.

Mussolini jawi się w książce Scuratiego jako znakomity taktyk, który umie się ugiąć, ale i przeforsować, wbrew faszystowskim radykałom, sojusze ze znienawidzonymi „zgniłymi" partiami i politykami – „zramolałymi próchnami" – przekonać, że choć faszyści gardzą wypełnionym nimi parlamentem, to muszą do niego wejść. Autor pokazuje bezradność i bierność włoskich władz wobec ruchu faszystowskiego. Socjaliści mogli powstrzymać Mussoliniego, wchodząc w sojusz z partiami burżuazyjnymi. Gardzili nimi, więc do koalicji nie doszło. Mussolini też gardził, ale wykorzystał je jako szczeble do władzy.

Drugim bohaterem książki jest Gabriele d'Annunzio, znany poeta, bohater wojenny, który na czele ochotników zajął Fiume (Rijekę), tworząc tam niezwykłą republikę. To od d'Annunzia Mussolini – zazdrosny o jego sławę – przejął ideę marszu na Rzym, rzymski salut, to d'Annunzia jako pierwszego nazywano „duce". ©℗

Tomasz Stańczyk

ANTONIO SCURATI
„M. SYN STULECIA"
SONIA DRAGA

eprasa.pl 448724bf47

Ursynów z „Dekalogu”

To zapewne najbardziej znany – choćby z filmowych ujęć w „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego – ze wszystkich kościołów zbudowanych w Polsce w XX . Jego wyjątkową fasadę tworzy rozległa ceglana przestrzeń z barokowymi, falistymi liniami zamykającymi ją od góry i z wysokim witrażowym krzyżem pośrodku. U dołu fasada ma przysadziste kolumny przed cofniętymi w głąb portalami wejściowymi. Świątynię – tak jak cały otaczający ją wielkopłytowy Ursynów Północny – projektował Marek Budzyński wespół ze Zbigniewem Badowskim, a kierował budową Paweł Zdanowicz. Coraz więcej ludzi z kraju i ze świata przyjeżdża, aby ujrzeć malowidła ścienne drogi krzyżowej pędzla znakomitego Franciszka Maśluszczaka (2006), jego projektu witraże, obejrzeć wystawy plastyczne czy posłuchać koncertów organowych i chóralnych.

Nie byłoby jednak tego kościoła, nie powstałby tak duży i wspaniały, a już na pewno nie zostałby wzniesiony w siermiężnych latach PRL po wprowadzeniu stanu wojennego, gdyby nie ks. Tadeusz Wojdat. Gdy pierwsi mieszkańcy Ursynowa wprowadzali się tu na początku 1977 r., był on proboszczem maleńkiej pobliskiej parafii pw. św. Zofii Barat w Grabowie. Desygnowany jednak przez prymasa do objęcia opieką duszpasterską ursynowian i uzyskania od komunistycznych władz zgody na budowę świątyni, przystąpił do dzieła nadzwyczaj skutecznie, z energią i uporem, a zarazem grzecznie i z uśmiechem, jednając władze lokalne i centralne oraz zyskując wśród parafian niezawodnych współpracowników i darczyńców.

Jeszcze za Gierka uzyskał zgodę i lokalizację (maj 1980) w miejscu, gdzie widziano centrum usługowe z targowiskiem. I oto „centrum”, ale jakże inne, zaczęło powstawać: najpierw kaplica (kwiecień 1981), potem dom katechetyczny (prowizoryczny w maju 1981; właściwy – 1987), aż wreszcie – i to po pierwszym roku stanu wojennego (grudzień 1982) – „dolny” kościół (do dziś otwarty), na którego mocnej podstawie rósł kościół „górny”. Erygowanie parafii pw. Wniebowstąpienia Pańskiego nastąpiło w 1984 r. Konsekracji górnego kościoła dokonał kard. Józef Glemp 29 maja 2003 r.

Było to wielkie święto całej wspólnoty, którą jakby mimochodem stworzył wraz ze świątynią jej budowniczy – ksiądz (prałat od 2002 r.) Tadeusz Wojdat. A jak to uczynił – czytamy w wydanej właśnie książce-albumie. ©℗

Maciej Rosalak

ANDRZEJ ROGIŃSKI
„DZIENNIKARSKIE ŚWIADECTWA HISTORII PARAFII”
NAKŁAD: KS. TADEUSZ WOJDAT

Dzieci w piekle Sybiru

Cóż to był za koszmar! Książkę „Dzieci wygnane” czyta się ze zgrozą i ściśniętym sercem. To zbiór reportaży o Polakach, którzy jako dzieci zostali wywiezieni na Syberię. I tam przeszli przez piekło. Straszliwa podróż w wagonach bydlęcych, skuta lodem tajga, głód, nędza, katorżnicza praca i okrucieństwo Sowietów. Bohaterowie tej książki przeżyli cudem.Ludzie, których losy przedstawia pani Monika Odrobińska, zostali deportowani ze wschodniej Polski w latach 1939–1941, ale wśród nich znalazła się też Rafała Wróblewska, która przetrwała wielki głód na Ukrainie i „operację polską” NKWD. Jej relacja jest szokująca. ©℗ ***(p.z.)***

MONIKA ODROBIŃSKA
„DZIECI WYGNANE. TUŁACZE LOSY MAŁYCH POLAKÓW W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ”
ZNAK HORYZONT

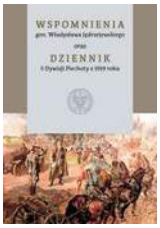

OPRAC. J. SZYMAŃSKI I A. TULIŃSKI
„WSPOMNIENIA GEN. WŁADYSŁAWA JĘDRZEJEWSKIEGO 1919–1920”
IPN

GENERAŁ KILKU BATALII

Władysław Jędrzejewski jako generał rosyjski dowodził w pierwszej wojnie całą dywizją. W Wojsku Polskim walczył na czele 5. Dywizji Piechoty o Lwów i Małopolskę Wschodnią, a podczas wojny z bolszewikami w 1920 r. dowodził kolejno dwiema armiami (1. i 6.). Z tego okresu pochodzą jego wspomnienia w książce. W 1940 r. zamordowany podczas zbrodni katyńskiej. ©℗ ***(m.r.)***

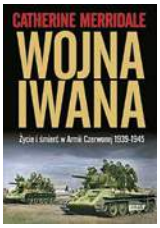

CATHERINE MERRIDALE
„WOJNA IWANA”
ZNAK

SOWIECI NA FRONCIE

Wstrząsająca opowieść o zapomnianych ofiarach drugiej wojny światowej. Czyli żołnierzach Armii Czerwonej. Zmuszeni do walki za znienawidzony system, traktowani byli przez swoich władców jak mięso armatnie. Sowieccy dowódcy nie liczyli się z życiem swoich podwładnych i pędzili ich pod lufy karabinów maszynowych wroga. A Niemcy głodzili ich i mordowali w obozach jenieckich. ©℗ ***(p.z.)***

WIKA FILIPOWICZ
„PRZY STOLE Z KRÓLEM. JAK UCZTOWANO NA KRÓLEWSKIM DWORZE”
ZNAK

NA KRÓLEWSKIM STOLE

Co jadali i pili polscy królowie? Na pytanie to odpowiada w ciekawej książce Wika Filipowicz. Całość jest napisana ze swadą i nafaszerowana ciekawostkami. Choćby taką, że Władysław Jagiełło nie znosił jabłek, a lubił gruszki. Ukrywał się z tym, bo gruszki – ze względu na kształt – uchodziły za przysmak niewieści. Królowie lubili dobrze zjeść i wypić, ale wiele serwowanych im dań nie przypadłoby do gustu współczesnym smakoszom. ©℗ ***(p.z.)***

eprasa.pl 448724bf47

Budynek frontowy obozu Auschwitz-Birkenau. FOT. IPN

Słodkie życie oprawców

„Poznałam kilka pań z towarzystwa, żon esesmanów, z którymi mam nadzieję się zaprzyjaźnić. Postanowiłam zrobić małe przyjęcie i zaprosić kilka par, by uczcić nasz pobyt w Auschwitz" – wspominała bohaterka książki Niny Majewskiej-Brown.

Po dniu spędzonym w obozie na katowaniu więźniów, nadzorowaniu komór gazowych, krematoriów, dokonywaniu diabelskich eksperymentów medycznych esesmani wracali do swoich przytulnych domków, gdzie witały ich żony i dzieci. Przesiąknięty zapachem palonych ciał obozowy morderca mył ręce, siadał do stołu i w spokoju spożywał z najbliższymi posiłek. W czasie wolnym rodziny oprawców z Auschwitz często zbierały się w większym gronie, grały w brydża, jeździły na wycieczki po okolicy i wyprawiały przyjęcia, by umilić sobie „pobyt w Auschwitz".

Jak można było prowadzić życie rodzinne w cieniu kominów krematoriów? Jak rodziny morderców z trupimi czaszkami na czapkach tłumaczyły sobie to wszystko, co działo się wokół nich? Jak patrzyły na „pracę" mężów i tatusiów? I wreszcie, co sami mordercy myśleli i mówili na temat piekła, które gotowali więźniom Auschwitz? Ta książka pomaga choć trochę zrozumieć to, czego nie da się w pełni pojąć. ©℗

Piotr Włoczyk

NINA MAJEWSKA-BROWN
„DWIE TWARZE. ŻYCIE PRYWATNE MORDERCÓW Z AUSCHWITZ"
BELLONA

Pod ziemię, w głąb siebie

Jeżeli ktoś szuka w nowej książce Macfarlane'a bedekera dla turystów, to srodze się zawiedzie. Nie jest to również historia podziemnych siedzib ludzkich, podręcznik do nauki geologii, instruktarz dla speleologów ani pamiętnik globtrotera. Być może książka jest wszystkim tym po trochu, ale jej urok polega na historiozoficznej refleksji eseisty wielkiego formatu. Wchodzimy z nim nie tylko w głąb ziemi; podążamy w głąb siebie.

I tak zmierzamy do skalnych cmentarzy końca epoki lodowcowej, do grzybni w wieku tysięcy lat, obejmującej kilka kilometrów kwadratowych, do tajemnic podziemnego Paryża – z którego wapieni zbudowano Paryż naziemny – w koryta krasowych rzek, nad którymi nigdy nie świeciły gwiazdy. Śledzimy upiorne tajemnice odsłaniane przez topniejące lodowce albo głęboko ukrytą bombę odpadów nuklearnych, która może zabijać potomnych jeszcze za 100 tys. lat.

Autor potrafi w zastanawiający sposób napisać o podziemnych strukturach: „Zwykle wyobrażamy sobie skałę jako bezczynną materię, zatwardziałą w swej stałości. Ale tu, w rozpadlinie, przypomina ona zastygłą ciecz. W perspektywie głębokiego czasu skała wygina swoje warstwy, wytryskuje jako lawa, unosi się jako płyta tektoniczna, przesuwa jako kamienie. Na przestrzeni eonów wchłania, przekształca. Z morskiego dna wznosi się na górskie szczyty. Granice między życiem a nieżyciem zacierają się również tu, pod ziemią". Warto tam pójść z Macfarlane'em. ©℗

Maciej Rosalak

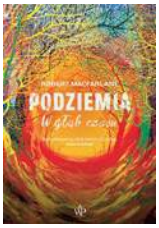

ROBERT MACFARLANE
„PODZIEMIA. W GŁĄB CZASU"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl 448724bf47

Mord na kościuszkowcach na Pomorzu

Walki, które toczyły się na Pomorzu zimą 1945 r., są dość dokładnie opisane w polskiej historiografii. Nieco gorzej na tym tle wypada natomiast kwestia przedstawienia poszczególnych epizodów, wiążących się z toczącymi się na tym obszarze działaniami militarnymi. Dlatego z uznaniem wypada powitać ukazanie się książki Roberta Wróblewskiego noszącej tytuł „Zbrodnia. Podgaje 1945". Autor kreśli w niej obraz bitwy, która rozegrała się na przełomie stycznia i lutego 1945 r. pod Złotowem oraz na linii Gwdy na odcinku Lędyczek-Podgaje-Jastrowie. W polu jego zainteresowań znalazły się również walki oraz tragiczne wydarzenia w miejscowości noszącej wówczas nazwę Flederborn. Głównymi uczestnikami zbrojnych zmagań na wspomnianym teatrze działań wojennych były – obok sowieckich 3. i 4. dywizji kawaleryjskich z 2. Korpusu Kawalerii – 1. Dywizja im. T. Kościuszki LWP, łotewska 15. Dywizja Grenadierów SS, a także pododdziały złożone z Holendrów i Niemców 48. Ochotniczego Pułku Grenadierów Pancernych SS z 4. Brygady Grenadierów Pancernych SS „Nederland" oraz niewielkie jednostki Wehrmachtu.

ROBERT WRÓBLEWSKI
„ZBRODNIA. PODGAJE 1945"
LIBRI MILITARI

Toczone walki charakteryzowały się niesłychaną wprost brutalnością. Autor ujawnia wiele zbrodni, które popełnili sowieccy żołnierze w różnych miejscowościach. W nocy z 22 na 23 stycznia 1945 r. w okolicy miejscowości Neuheim Sowieci rozstrzelali 70 Łotyszy z Lettisches Feldersatzdeport. Następnego dnia w Imennheim doszło do egzekucji kolejnych kilkudziesięciu jeńców łotewskich. Według historyków bolszewicy mieli zamordować ok. 400 Łotyszy. W tym kontekście należy rozpatrywać szczegółowo zrekonstruowany przez Roberta Wróblewskiego mord dokonany w Podgajach na polskich żołnierzach z komunistycznej dywizji kościuszkowskiej.

Geneza tego wydarzenia wiąże się z nieudanym wypadem rozpoznawczym przeprowadzonym 31 stycznia 1945 r. przez 4. Kompanię II Batalionu 3. Pułku Piechoty, dowodzoną przez ppor. Alfreda Sofkę. Tego dnia Polacy w godzinach popołudniowych znaleźli się pod wsią Flederborn, nawiązując kontakt bojowy z przeciwnikiem. Po niemal godzinnej wymianie ognia, na skutek wyczerpania amunicji, berlingowcy zdecydowali się poddać. Esesmani zabrali jeńców z pola walki, dobijając niepotrafiących się poruszać o własnych siłach, ciężko rannych żołnierzy. Wkrótce część z tych, którym udało się uniknąć niewoli, oraz inni z atakującego wieś 2. Batalionu zostali ujęci przez odpierających natarcie Łotyszy. W rękach przeciwnika znalazło się ok. 50–55 żołnierzy, którzy zostali umieszczeni w murowanej szopie znajdującej się w centrum wsi. Jeńców poddano brutalnym przesłuchaniom. Obawiając się rozstrzelania, 20 Polaków zbiegło po uduszeniu wartownika. Niemcy ruszyli w pogoń za uciekającymi. Tylko dwóm z nich udało się dotrzeć do swoich. Resztę ujęto lub zastrzelono.

3 lutego 1945 r., kiedy Flederborn zajęli kościuszkowcy, w szopie odnaleźli ciała 32 swoich kolegów. Zabici jeńcy byli skrępowani drutem telefonicznym, a spalone ich ciała okazały się niemożliwe do rozpoznania. Od razu za pewnik przyjęto wersję o spaleniu żywcem, co w odniesieniu do niektórych zamordowanych było wątpliwe, jako że widoczne były rany postrzałowe. Komunistom nie zależało na ujawnieniu prawdziwych okoliczności ich śmierci. Nie powołano żadnej komisji ani nie przeprowadzono sekcji zwłok. Niestety nawet dziś, mimo upływu lat, trudno jest stwierdzić ostatecznie, kto popełnił zbrodnię: Niemcy czy Łotysze, na których odpowiedzialność wskazywał po wojnie jeden z polskich świadków. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

Bojowcy i agenci

Wielka rewolta narodowa i społeczna lat 1905–1907 jest najbardziej niedocenianym, wydarzeniem w historii Polski XX w. „Pogrom 1906" to druga po „Pogromie 1905" powieść Wacława Holewińskiego o burzliwych wydarzeniach w Warszawie. Autor pokazuje, jak w przełomowej chwili myśleli i zachowywali się zarówno rosyjscy dygnitarze w Warszawie, jak i Polacy.

Bohaterami powieści są postacie autentyczne, m.in. generał-gubernator Skałon, szef policji Markgrafski oraz bojowcy Montwiłł-Mirecki, Szulman, Krahelska, a także fikcyjne. Skałonjest za bezwzględnymi represjami. „Zrozumieć, a nie wieszać" – to filozofia Markgrafskiego. Na obu bojowcy przeprowadzili zamachy. Skałon wyszedł cało z opresji, Markgrafski zginął. Autor kreśli sylwetkę Wandy Krahelskiej, jednej z kobiet, które dokonały zamachu na Skałona, i jej dramat. Narzeczony Krahelskiej, bojowiec, postać prawdziwa, popełnił samobójstwo po wypuszczeniu go z aresztu. Nie wszyscy w partii uwierzyli, że nie załamał się w śledztwie. Ukazany jest także głęboki podział Polaków na zwolenników socjalistów i narodowców. Autor opisuje najście socjalistów na fabrykę i próbę zmuszenia robotników do strajku, co kończy się krwawą bójką. Rozczarowanie jednak łączyło Polaków: „Obiecali kilka miesięcy temu wolność i konstytucję. I co z tego zostało? Szubienica. Nahaj, bat i szubienica" – rozmyśla jedna z bohaterek. ©℗

Tomasz Stańczyk

WACŁAW HOLEWIŃSKI
„POGROM 1906"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

eprasa.pl 448724bf47

XVI-wieczna mapa ziem dzisiejszej Łotwy i innych państw nadbałtyckich FOT. BN

Eurazja / Znaczenie obszarów buforowych, cz. 2

Polska versus Rosja

Jacek Bartosiak

Musimy wziąć udział w wielkiej grze o przestrzeń między Bałtykiem a Morzem Czarnym

W XVI w. punktem zapalnym w stosunkach polsko-litewsko-moskiewskich stały się Inflanty, czyli kraina historyczna położona nad Dźwiną i Zatoką Ryską, organizująca się w średniowieczu w obrębie posiadłości zakonu kawalerów mieczowych, ryglująca Bałtyk dla wpływów Moskwy, a zamieszkana przez plemiona bałtyckie (przodków obecnych Łotyszy) i ugrofińskie (przodków obecnych Estończyków). Inflanty polskie to część południowo-wschodnia Inflant, która została przy Polsce po walkach polsko-szwedzkich w XVII w. Całość Inflant znalazła się pod panowaniem Rosji w wyniku trzeciego rozbioru w roku 1795.

Moskwa chciała korzystać z idących tamtędy szlaków handlowych na zachód oraz uniemożliwić zdominowanie Inflant przez Litwę. Ułatwiałoby to bowiem wzięcie wojsk moskiewskich w dwa ognie – zarówno z Inflant, jak i z bramy smoleńskiej. Ale tym samym mogłyby się stać Inflanty dla Moskwy przeciw Litwie! Zatem Inflanty stanowiły języczek u wagi w grze o dominację w Europie Wschodniej, a do tego jeszcze położone były nad Bałtykiem.

Stąd tak długa rywalizacja o wpływy lub opanowanie całej tej krainy. Jeśli Inflanty byłyby przy Rzeczypospolitej, to zarysowałaby się jej strategiczna przewaga nad Moskwą na całym wielkim łuku pomostu bałtycko-czarnomorskiego, od ziemi czernichowskiej i Siewierszczyzny przez bramę smoleńską aż do Inflant w kierunku Nowogrodu Wielkiego ku podstawie linii rzek Wołchow i Łować. To z pewnością paraliżowałoby zapędy Moskwy np. do Kazania, na Ural czy w kierunku Astrachania.

Z czasem Inflanty stały się „boiskiem", na którym mierzyły swe siły wszystkie liczące się potęgi północnej i wschodniej Europy, w tym nawet morska potęga bałtycka – Dania, szukające regionalnej dominacji. Po zawarciu unii lubelskiej (1569) Korona Polska bezpośrednio zaczęła graniczyć z carstwem moskiewskim. Do tamtego czasu ograniczała się do roli państwa wspomagającego Litwę w wojnach z Moskwą. Z czasem, wobec narastania wojskowej przewagi Moskwy nad Litwą, Korona zaczęła wspierać swoją siłą geopolityczną słabnący wysiłek obronny Litwy na kierunku najważniejszym – na bramie smoleńskiej.

Dla zmiany układu sił na pomoście bałtycko-czarnomorskim niezmiernie ważny był pokój zawarty w roku 1667 w Andruszowie, na którego podstawie dokonano pierwszego trwałego zaboru obszaru buforowego – pogranicza Rzeczypospolitej. Mianowicie oddawano Rosji najważniejsze miejsce strategiczne Europy Wschodniej, czyli twierdzę Smoleńsk ryglującą bramę smoleńską. W dolnym biegu Dniepru Ukraina została podzielona wzdłuż tej rzeki; lewobrzeżna część przypadła Rosji z rosyjską załogą w samym Kijowie, która miała pozostać jedynie dwa lata. Kiedy jednak Rosjanie tam weszli, już stamtąd nie wyszli.

W ten sposób Rzeczpospolita straciła dwa arcyważne obszary buforowe oraz utraciła inicjatywę strategiczną na swoim przedpolu bezpieczeństwa, nie miała bowiem możliwości szachowania obszaru rdzeniowego państwa rosyjskiego z obu tych kierunków naraz (z zachodniego – Smoleńsk nad Dnieprem, i południowo-

eprasa.pl 448724bf47

-zachodniego – Starodub nad Desną). Można to zaniedbanie strategiczne uzasadnić jedynie utratą sił w wyniku wojny zwanej potopem szwedzkim z lat 1655–1660, która spustoszyła obszar rdzeniowy państwa i omal nie zakończyła się jego rozbiorem.

Już tylko gorzej...

Wojna północna toczona na ziemiach Rzeczypospolitej między Rosją a Szwecją doprowadziła do zrujnowania kraju. Całe pogranicze polsko-rosyjskie pozostawało na łasce Rosjan, co umożliwiało wejście wojsk i wpływów rosyjskich od wschodu. Zakończyło się to utratą podmiotowości naszego państwa w XVIII w., wasalizacją na rzecz Rosji, a w końcu ostatecznym akordem rozbiorów.

W tym czasie Rosja uprawiała wobec Rzeczypospolitej politykę aktywnej interwencji, skupiającą się na destabilizacji całej strefy buforowej między oboma państwami. Popierano dysydentów. Od czasu do czasu magnaci posiłkowali się zewnętrznym wpływem Rosji we własnych politycznych rozgrywkach.

O ile jednak można było rozbierać posiadłości Szwedów w Inflantach czy Finlandii, o tyle nie dało się tego zrobić z Rzecząpospolitą bez udziału innych mocarstw,zaiteresowaych równowagą na Nizinie Środkowoeuropejskiej. Dylemat rosyjski został rozwiązany w trzech częściach w latach: 1772, 1793 i 1795. Cały obszar buforowy Rzeczypospolitej wzięło Imperium Rosyjskie, a obszar rdzeniowy przypadł Prusom i Austrii.

Epoka napoleońska oraz wyprawa cesarza francuskiego na Moskwę przez Smoleńsk, zwana wojną polską, dała nadzieję na odtworzenie obszarów buforowych dających osłonę Rzeczypospolitej i osłabiających Rosję. Księstwo Warszawskie bowiem obejmowało prawie całość obszaru rdzeniowego Rzeczypospolitej z ziem zabranych Prusom i Austrii, ale bez jakichkolwiek stref buforowych za Niemnem i Bugiem wobec Rosji, które po pokoju w Tylży pozostały przy Rosji.

Upadek Napoleona oznaczał koniec marzeń o odbudowie. Polski obszar rdzeniowy stał się autonomiczną (przez pewien czas) częścią imperium lądowego Rosji jako Królestwo Polskie. W rezultacie relacje polsko-rosyjskie przestały być tematem międzynarodowym i stały się sprawą wewnętrznego pogranicza imperium z imperium na następne sto lat.

Ale zmorą strategii rosyjskiej było i pozostaje to, że na wschód od linii Elbląg–Kraków fizyczna przestrzeń regionu ma kształt trójkąta, którego podstawa się rozszerza, im dalej posuwamy się w głąb Imperium Rosyjskiego, a rosyjskie siły kordonowe do jego obrony stają się siłą rzeczy coraz cieńsze i cieńsze. Daje to przeciwnikowi Rosji możliwość wyboru kierunku uderzenia i wyzyskania przewagi na wybranych kierunkach. Ta wielka przestrzeń zanim osiągnie obecne granice Rosji, ma już tysiące kilometrów szerokości, teren jest tam płaski jak stół, a za bramą smoleńską samym układem terenu „zaprasza" do zajęcia Moskwy.

Jednak podczas ofensywy z zachodu wydłużają się linie komunikacyjne od doliny Wisły do przedpola Smoleńska i dalej Moskwy. Na tym obszarze poległy potęgi Napoleona i Hitlera. Przez ten obszar do Moskwy dotarli Polacy w latach 1605, 1610 i 1812 oraz Szwedzi po roku 1708 i Francuzi w roku 1812. Niemcy napierali tamtędy w latach 1914–1917 i 1941–1942. Od czasu inwazji Napoleona Rosjanie walczyli na Nizinie Środkowoeuropejskiej i w bramie smoleńskiej średnio co 33 lata. Stratedzy i planiści rosyjscy mają z pewnością dobrze opanowaną geografię wojskową polskiego teatru wojny.

Opcje Rosji

Na Nizinie Środkowoeuropejskiej Rosja ma trzy opcje. Pierwszą jest użycie głębi strategicznej, wynikającej z przestrzeni i klimatu, by wessać siły przeciwnika do wnętrza bezmiarów zachodnich obszarów buforowych imperium, a potem zniszczyć (Napoleon, Hitler, Szwedzi i ich klęska połtawska). Wtedy jednak zachodzi ryzyko, że przeciwnikowi się jednak uda pobić Rosję, oraz problem totalnego zniszczenia zachodnich prowincji imperium objętych wojną.

Druga opcja to zmierzyć się z wrogiem dużymi siłami zaraz na granicy i wykrwawić te siły. Strategii tej próbowano w roku 1914; wówczas wydawało się to dobrym pomysłem, zważywszy na korzystniejszą demografię Rosji niż Niemiec i Austro-Węgier, ale okazało się to pułapką ze względu przede wszystkim na chybotliwe warunki społeczne wewnątrz imperium, gdzie słabnięcie aparatu przymusu i kontroli może spowodować upadek reżimu, jak się to w rzeczywistości stało w roku 1917.

Wreszcie trzecią opcją jest przesunąć granice tak daleko na zachód, jak się tylko da, tworząc kolejne obszary buforowe, jak uczyniono podczas zimnej wojny. Polska została w ten sposób po drugiej wojnie światowej ograniczona do swojego obszaru rdzeniowego bez żadnych buforów na wschodzie oraz z dodanym jej terenem poniemieckim na zachodzie i północy, który czynił ją zależną od Związku Sowieckiego jako gwaranta bezpieczeństwa wasalnego PRL. Ta strategia długo wydawała się Sowietom atrakcyjna ze względu na wielką głębię strategiczną i szansę na zwiększanie zasobów ekonomicznych imperium pochodzących z wyzysku i eksploatacji podbitych obszarów buforowych. Ale rozproszyła ona jednocześnie zasoby imperium na cały pomost bałtycko-czarnomorski i dalej, aż do Łaby i Dunaju, zwiększając koszty wojskowej obecności tak daleko od obszaru rdzeniowego państwa. To ostatecznie złamało Sowietów i skończyło się porozumieniem w Białowieży dekretującym rozpad imperium w 1991 r.

Po okresie smuty Borysa Jelcyna Rosja za panowania Putina ponownie „zbiera" kluczowe dla siebie miejsca geostrategiczne, używając instrumentów wojny nowej generacji i prowadząc kolejne wojny oraz demonstracje wojskowe na obszarach, które decydują o odbudowie wschodniego imperium, takich jak Kaukaz i jego przełęcze, Krym i jego wybrzeże, Donbas z przemysłem, brama mołdawska dająca wyjście do doliny Dunaju i na Bałkany, Białoruś otwierająca politykę rosyjską na zachód Europy, państwa bałtyckie, co podważa obecną niekorzystną dla Rosji architekturę ładu międzynarodowego, Morze Czarne i Bałtyk – które stanowią wyjście Rosji na ocean światowy.

Rzeczpospolita znów znajduje się w wielkiej grze o przyszłość tych obszarów i nie może z niej abdykować. Nikt jej w tym także ostatecznie nie zastąpi: ani Amerykanie, ani Unia Europejska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Potwór uczłowieczony

Podczas gdy mój kolega z sąsiedniej kolumny oglądał „Demony rewolucji", o których pisał w ubiegłym miesiącu, ja sięgnąłem po inny rosyjski serial z jubileuszowego roku 2017, znacznie bardziej dostępny, bo dystrybuowany w serwisie Netflix – po „Trockiego" (a mówiąc ściśle: „Trotsky'ego"). Z jednej strony, jako dzieło filmowe, serial jest znakomity i Polak może tylko zaciskać ze złości zęby, porównując go z naszymi półamatorskimi chałturami o Piłsudskim czy legionach. Z drugiej, jako dzieło historyczne jest zwyczajnie bałamutny, filtrując prawdę przez politpoprawność lub zwyczajnie kłamiąc.

W istocie twórców interesowały nie fakty, tylko moralitet o sfrustrowanym, odrzuconym przez ojca i społeczeństwo „jewriejczyku" Lejbie, który wyrasta na strojącego się w czarne połyskliwe skóry szatana, pędzącego przez Rosję pancernym pociągiem i między jedną a drugą krwawą pacyfikacją lub egzekucją oddającego się dzikiemu seksowi z towarzyszką korespondentką – a potem wszystko traci i kończy opuszczony na wygnaniu. O ile jeśli jeszcze co do dwóch pierwszych okresów życia Trockiego zmyślenia scenarzysty mieszczą się w dopuszczalnych granicach adaptacji historii na fabułę, o tyle końcówka jest zwyczajnie bzdurna.

Trocki zyskuje świadomość wyrządzanego zła, nawet, w ludzkim odruchu, próbuje ratować ofiary krwiożerczej pary Dzierżyński-Stalin (w ogóle film sugeruje, że gdyby nie nagła śmierć Lenina, w sojuszu z nim dałby im radę i zbrodni byłoby mniej). Na wygnaniu zaś, załamany, bezbłędnie rozpoznaje w kanadyjskim dziennikarzu Jacksonie mordercę i wykorzystuje go do odbycia samooczyszczającej spowiedzi. Ba, Jackson-Mercader ulega jego czarowi, aż zaczyna wątpić i ręka tak mu drży, że Trocki musi do zadania śmiertelnego ciosu sprowokować go sam.

> / Trocki do końca życia pozostał równie empatyczny, moralny i skłonny do autorefleksji jak kartaczownica **i wierzył w swe nieodległe zwycięstwo**

W istocie Trocki do ostatniej chwili życia – dowodem słane przezeń z Meksyku pisma – pozostał równie empatyczny, moralny i skłonny do autorefleksji jak kartaczownica i do ostatniej chwili wierzył w swe nieodległe zwycięstwo. Mercader zaś nie toczył z nim żadnych duszoszczypatielnych ostatnich dialogów, tylko wkupiwszy się w zaufanie, walnął go czekanem w łeb od tyłu, z zaskoczenia, przy pierwszej sposobności.

No i dwóch rzeczy w ogóle w filmie nie ma. Po pierwsze, cienia wyjaśnienia zagadki, dlaczego Stalin, bezwzględnie likwidujący rywali, największemu z nich odroczył wyrok o kilkanaście lat, pozwolił mu wyjechać, krążyć po całym świecie i agitować przeciwko sobie. Kto czytał Wiktora Suworowa, ten wie – twórcy filmu wolą sugerować, że ich bohatera ocalił jego międzynarodowy autorytet.

Druga zaś rzecz to kompletna bezzębność reżimu, który obalili bolszewicy. „Demony rewolucji", jak wynika z tekstu Piotra Semki, odnotowały ją, tymczasem w „Trotskym" nie ma nic z tego, o czym pisał sam historyczny Trocki – bo serial sprowokował mnie do sięgnięcia po jego autobiografię „Moje życie". Sędziów, urzędników, nie mówiąc o intelektualistach, na wszelkie sposoby sabotujących zarządzenia carskich władz i uniewinniających zamachowców… Polecam choćby ten fragment wspominków Trockiego, jak po skazaniu za kierowanie rewoltą 1905 r. pojechał sobie luksusowo, pociągiem, na zsyłkę, „pilnowany" przez rozkochanego w marksizmie oficera, recytującego mu rewolucyjne poezje, i kłaniających mu się w pas żandarmów. I o ucieczce z tego zesłania, która była równie trudna jak wyjście na taras. ©℗

eprasa.pl 448724bf47

Piotr Semka

/ Felieton

Ardyci – sztyletnicy Mussoliniego

Pierwszy tom trylogii Antonia Scuratiego, która ukazała się niedawno na polskim rynku, zatytułowany został „Syn stulecia". Powieść Scuratiego opowiada o fenomenie kariery politycznej Benita Mussoliniego. Polityka, który stawiał pierwsze kroki w partii socjalistów, ale został z niej wyrzucony, gdyż za bardzo zachłysnął się patriotycznym duchem wielkiej wojny, a za mało przykuwała jego uwagę walka klas. A przecież długo Mussolini uznawany był za nadzieję partii. W 1912 r. został nawet redaktorem naczelnym pisma socjalistów „Avanti". Bomba wybuchła, gdy w czerwcu 1914 r. Mussolini opublikował w gazecie wstępniak z hasłem przyłączenia się Italii do wojny. Wybuchł skandal, tekst był sprzeczny z linią partii i ambitny Benito z niej wyleciał. Pierwsze lata, gdy Włochy były jeszcze neutralne, spędził na redagowaniu gazety „Il Popolo d'Italia", która miała linię patriotyczną. Zostaje powołany do wojska, walczy nad Isonzo, a więc bierze udział w najbardziej gorzkiej porażce Włochów. Gdy kończy się wojna, staje na czele tych, którzy wchodzą w konflikt z socjalistami odrzucającymi poszukiwanie głębszego sensu w minionej wojnie.

I właśnie ten okres opisuje Antonio Scurati. Dla polskiego czytelnika, który nie zna atmosfery prapoczątków faszyzmu, niezwykle ciekawy jest opis ardytów.

„Ponura epopeja ardytów zaczęła się wraz z powstawaniem tak zwanych kompanii śmierci, specjalnych kompanii saperów, których zadaniem było przygotowanie terenu pod atak piechoty czekającej w okopach" – pisze Scurati. „Nocą przecinali druty kolczaste i wysadzali niewybuchy".

Jak wskazuje włoski pisarz, w miarę upływu wojny wszystkie formacje – piechota, bersalierzy, strzelcy alpejscy – zaczęły tworzyć oddziały takich najbardziej doświadczonych żołnierzy, wczesnych poprzedników komandosów. Tacy wybrańcy musieli wyćwiczyć się w celnym obrzucaniu wroga granatami, umieć obsługiwać miotacze ognia i karabiny maszynowe. Jednak legenda ardytów rozpoczęła się wraz z momentem, gdy zaczęto ich ćwiczyć w mistrzowskim posługiwaniu się sztyletami, a więc bronią o tradycji sięgającej jeszcze starożytnych rzymskich legionów. Oddajmy znów głos Scuratiemu:

„W tej wojnie straciło rację bytu tradycyjne pojęcie wojownika agresora. Żołnierzy zabijały gazy bojowe i tony pocisków artyleryjskich wystrzeliwanych z dużej odległości. Rozmiary masakry zależały od skuteczności techniki wojskowej. Tymczasem ardyci w walce wręcz doświadczali bezpośredniego kontaktu z ciałem wroga, przedśmiertne drgawki zabijanego człowieka odczuwali jako wibracje rękojeści sztyletu trzymanego w ręce. Wojna okopowa nie generowała napastników, w milionach jej uczestników rozwijała postawę defetystyczną, fatalistyczną, utożsamienie się z ofiarami nieuniknionej katastrofy. I w tej wojnie baranów – potulnie idących na rzeź – ardyci pokazali, że opłaca się wierzyć w siebie. I że jest to możliwe dla tych, którzy nauczą się patroszyć wrogów białą bronią o krótkim ostrzu".

> / Ludzi wyuczonych zabijania **nie można po wojnie po prostu odłożyć na półkę**

Włochy zetknęły się wtedy ze zjawiskiem, które nęka wszystkie armie na świecie. W czasie wojny każda armia potrzebuje ludzi, którzy zamieniają się w maszyny do zabijania. Kiedy jednak konflikt zbrojny się kończy, tacy ludzie przestają być potrzebni. Wrzuceni znów do cywilnego życia wpadają w rozgoryczenie i przekonanie o niewdzięczności społeczeństwa.

W Italii po takich ludzi sięgnął Mussolini i zdobył za ich pomocą władzę. W Niemczech po starych weteranów frontowych z Freikorpsów sięgnął Hitler. W Rosji sowieckiej podobni ludzie stworzyli imperium Czeka, GPU, a potem NKWD.

Za wszystko się płaci. Ludzi wyuczonych zabijania nie można po wojnie po prostu odłożyć na półkę jak rzecz. ©℗

eprasa.pl 448724bf47

XVII–XX w. / Prawosławni kontra unici

W.Bartoszewicz „Pojmanie św. Andrzeja Boboli”.
FOT. ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

Męczeństwo i chwała Andrzeja Boboli

Tomasz Stańczyk

Jezuita został zamordowany po makabrycznych torturach. Ocaliłby życie, gdyby wyrzekł się wiary

Śmierć Boboli w 1657 r. łączy się z wcześniejszym o ponad 60 lat wydarzeniem. W 1596 r. biskupi prawosławni uznali prymat papieża i przyłączyli Kościół prawosławny w Rzeczypospolitej do Kościoła katolickiego. W akcie unii brzeskiej prawosławni widzą katolicki imperializm i chęć zniszczenia ich wyznania. Nie można jednak nie zauważyć, że sprawa unii ma polityczne tło. Moskwa kreowała się na trzeci Rzym, w którym głową kościoła prawosławnego był faktycznie car. Stawało się oczywiste, że Rosja będzie dążyła do podporządkowania sobie Kościoła prawosławnego w Rzeczypospolitej. Biskupi prawosławni w państwie polsko-litewskim nie mieli ochoty podlegać świeckiemu władcy. Uznawali zwierzchnictwo patriarchy z Konstantynopola. Profesor Andrzej Sulima-Kamiński pisał: „Prawosławna hierarchia Rzeczypospolitej postanowiła odciąć się od moskiewskich wpływów przez unię z Rzymem, ale przy zachowaniu odrębności gwarantujących wewnętrzną autonomię”.

Zygmunt III Waza jako gorliwy katolik bardzo się cieszył z unii brzeskiej. Jeszcze bardziej był jednak zadowolony jako polityk. Rozciągnięcie wpływów rosyjskiego cara na prawosławnych biskupów i wiernych w Rzeczypospolitej było w oczywisty sposób groźne dla jej racji stanu.

Być może sprawy nie potoczyłyby się

eprasa.pl 448724bf47

tak dramatycznie, gdyby nie przeciwstawił się unii wielki kresowy magnat Konstanty Ostrogski. Wśród prawosławnych byli także inni jej przeciwnicy, lecz to Ostrogski podtrzymywał i podniecał płomień oporu. Miał wielką zasługę w tym, że Kościół prawosławny w Rzeczypospolitej nie przestał istnieć.

Jednak spowodowało to ofiary po stronie zarówno unitów, jak i katolików. Do ocalenia prawosławia, ale i do krwawego konfliktu przyczynił się patriarcha jerozolimski Teofan, który kreował w 1620 r. nowych biskupów prawosławnych na ziemiach Rzeczypospolitej. Stało się więc tak, że do rządów w jednej diecezji, do rządów dusz, pretendowało dwóch biskupów: unicki i prawosławny. Zaogniło to niebywale konflikty między dwoma wyznaniami.

MORD BP. KUNCEWICZA

W Połocku biskupem unickim był Jozafat Kuncewicz. Prawosławny bp Melecy Smotrycki, z nominacji Teofana, nie chciał przyjechać do Połocka w obawie przed uwięzieniem. Rzeczpospolita traktowała go jako uzurpatora i zdrajcę. Smotrycki wysyłał swoich ludzi, którzy buntowali wiernych przeciwko bp. Jozafatowi Kuncewiczowi. W 1623 r. doszło do tragedii. Jeden z prawosławnych mnichów publicznie obrażał Kuncewicza i został przez jego ludzi aresztowany. Na wieść o tym prawosławny tłum zaatakował siedzibę biskupa i zamordował go. Ciało utopiono w Dźwinie.

Unia traciła biskupa, lecz zyskiwała pierwszego męczennika. Proces beatyfikacyjny rozpoczął się szybko i już w 1642 r. papież ogłosił Kuncewicza błogosławionym. W 1867 r. Kuncewicz został kanonizowany. Nie bez powodu właśnie wtedy. Carat niszczył wówczas Kościół unicki, na dawnych kresach wschodnich Rzeczypospolitej zlikwidował unię w 1839 r., a potem zabrał się do jej likwidacji w Królestwie Polskim. Cztery lata po kanonizacji Kuncewicza carscy żołnierze zmasakrowali wiernych unitów w Pratulinie i Drelowie (26 zabitych zostało błogosławionymi). Brutalna rozprawa z unitami, z determinacją i rozpaczliwie broniącymi swej wiary na Podlasiu i Chełmszczyźnie, trwała 30 lat. Jej celem była rusyfikacja ludzi i ziemi.

Gdy wynoszono w 1642 r. męczennika Jozafata na ołtarze, Andrzej Bobola od 20 lat był księdzem jezuitą, zaangażowanym w pracę misyjną wśród prawosławnych. Był znakomitym kaznodzieją i dzięki temu osiągał duże sukcesy, przyciągając do unii całe wsie. Także jego – podobnie jak Kuncewicza – nazywano „duszochwatem", łowcą dusz. Podczas powstania Chmielnickiego Bobola musiał uciekać z Pińska. Życie jezuitów było zagrożone przez ścigających ich i tępiących Kozaków. Zginęło kilkudziesięciu duchownych.

Ksiądz Jan Urban pisał w książce o Boboli: „Sprawiedliwość każe wyznać, że mordowała ich czerń kozacka, sam Chmielnicki, który w szkołach jezuickich nauki pobierał, nieraz ich zasłaniał przed swymi Kozakami". Zdarzały się przypadki, że prawosławni księża ukrywali przed nimi jezuitów" („Błogosławiony Andrzej Bobola, męczennik Towarzystwa Jezusowego").

W 1652 r. Bobola wrócił do Pińska, na bardzo niebezpieczny teren. Miał świadomość, że jezuici są mordowani. Tragiczne wydarzenia rozegrały się w maju 1657 r. Pierwszy zginął, w Horodku, jezuita Matton. Kozacy dopadli go w kościele, wywlekli sprzed ołtarza i po torturach zamordowali.

BESTIALSTWO KOZAKÓW

Andrzej Bobola był tamtego dnia na misji we wsi Peredył koło Janowa Poleskiego, przez który przejeżdżał. Następnego dnia, 16 maja, wpadli do miasteczka Kozacy i zaczęli wypytywać o jezuickich „duszochwatów". Jeden z mieszkańców zdradził, że Bobola jest w Peredyle. Inny wymknął się do wsi i poinformował Bobolę o grożącym mu niebezpieczeństwie. Dopiero na nalegania ludzi Bobola zdecydował się na ucieczkę, ale po opuszczeniu wsi został schwytany przez Kozaków. Zaczęło się jego męczeństwo, tak drastyczne, jakiego chyba nie odnotowano ani wcześniej, ani później w dziejach Polski. Szczegóły przerażających tortur znane są z relacji naocznych świadków zebranych podczas procesu beatyfikacyjnego i były potwierdzone oględzinami ciała.

Bobola mógł uratować życie, gdyby wyrzekł się wiary katolickiej i przeszedł na prawosławie. Kozacy początkowo „łagodnie" – jak stwierdzają biografowie jezuity – próbowali go do tego nakłonić. Gdy odmówił, zaczęło się znęcanie. Przywiązano Bobolę do słupa i zaczęto biczować, ściskać głowę „jak w imadle" gałęziami dębowymi, wybito mu zęby, zdarto skórę z rąk i popędzono do Janowa. Kozacki esauł zażądał, by Bobola wyrzekł się wiary, jezuita odpowiedział, że to oni powinni się nawrócić i porzucić schizmatyckie wyznanie. Rozwścieczyło to Kozaka, który zamierzył się na niego szablą. Bobola zasłonił się ręką, niemal tracąc trzy palce. Po tym, jak dostał cięcie w nogę, upadł. Końcem szabli wyłupiono mu oko.

Potem Kozacy, ciągnąc jezuitę za nogę, zabrali go do szopy. Mieszkańcy Janowa przyglądali się przez szpary między deskami dalszym torturom. Rozciągniętemu na ławie Boboli zdzierano skórę z pleców, rąk i głowy, tam, gdzie miał tonsurę, obcięli nos. Modlił się do Jezusa i Matki Boskiej, także za oprawców, do czasu, gdy oprawcy wyrwali mu język. Drgające ciało jezuity zostało powieszone za nogi. Któryś z katów powiedział: „Patrzcie jak Lach tańczy!". Świadek Jak Klimyk zeznawał: „Widziałem go, krew sączyła się z głowy, z jego rąk, z jego nóg, z całego ciała, jakby z wołu zabitego". Kres torturom położyło rozpłatanie szyi. Ciało wyrzucono na śmietnik. I wtedy – jak stwierdzono w aktach procesu beatyfikacyjnego – otoczyła zwłoki jezuity „jakaś dziwna światłość". Przerażeni Kozacy uciekli z Janowa.

Ciało Boboli zostało przewiezione do Pińska. Było tak makabrycznie okaleczone, że rektor kolegium jezuickiego nie pozwolił, by oglądali je zakonnicy. Przez 45 lat spoczywało w podziemiach kościoła. Wydawało się, że Bobola będzie zapomniany tak jak ponad 40 jezuitów zamordowanych w tym czasie, których nazwiska znają tylko historycy. „Nikt nie myślał o jakimś wyszczególnieniu błogosławionego Andrzeja spomiędzy innych ludzi umęczonych za wiarę" – pisał ks. Jan Urban.

Jednak w 1702 r. zdarzyła się pierwsza z wielu niewytłumaczalnych rzeczy, uznawanych przez Kościół katolicki za cuda. Przełożonemu pińskich jezuitów o. Marcinowi Godebskiemu, zastanawiającemu, jaki święty mógłby mu pomóc w kłopotach, objawił się Andrzej Bobola i zapytał, po co szuka świętych, skoro ma jednego z nich na miejscu. Bobola zażądał, by odnaleziono w podziemiach kościoła jego ciało. Poszukiwania trwały dwa dni bez skutku, aż trzeciego dnia Bobola objawił się zakonnikowi Prokopowi Łukaszewiczowi i wskazał dokładnie miejsce. Jezuici zdumieli się, gdy otworzyli trumnę. Szaty, w któ-

eprasa.pl 448724bf47

Trumna Andrzeja Boboli podczas uroczystości w 1938 r.
FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

rych męczennik został pochowany, zbutwiały i rozsypywały się w proch przy dotknięciu, ale ciało nie uległo rozpadowi, było – po prawie pół wieku – miękkie i elastyczne. Uznawano takie przypadki za dowód świętości. „Prócz tego niezwykłego zachowania się ciała od zepsucia, wiele innych działo się rzeczy dziwnych i łask wypraszanych u Boga za przyczyną Andrzeja Boboli" – stwierdzał ks. Marcin Czermiński („Błogosławiony Andrzej Bobola, jego życie i kult"). Narodził się i narastał odtąd kult jezuickiego męczennika.

WĘDRÓWKA TRUMNY

Nic dziwnego, że szybko wszczęto procedurę beatyfikacyjną, zbierano materiały, relacje świadków męczeństwa. Notowano cuda i łaski za wstawiennictwem Boboli, w tym uzdrowienia. August II przesłał do kościoła w Pińsku złote wotum w kształcie nogi. Miał gangrenę, groziła mu amputacja, jeśli nie śmierć, jednak modlitwa do Boboli i jego wstawiennictwo spowodowały uzdrowienie. Sprawa beatyfikacji przeciągnęła się jednak, w dużej mierze ze względu na kasatę zakonu jezuitów i rozbiory Rzeczypospolitej. Gdy Rosja zajęła jej wschodnie tereny, kościół jezuitów zamieniono w cerkiew, ale i prawosławni czcili Bobolę. Nakazano więc zamknąć odwiedzane przez nich podziemia, w których znajdowała się trumna.

W 1808 r. jezuitom udało się uzyskać zgodę władz carskich na przeniesienie trumny Boboli do ich kościoła w Połocku. Był to początek pośmiertnej pielgrzymki męczennika. W Połocku „ściany krypty, w której został pochowany, pokryły się ssrebrnymi wotami jako znakami wysłuchanych modlitw" – pisał ks. Jan Urban. W 1820 r. wygnano jezuitów z Rosji i wtedy relikwie Boboli zostały przeniesione do kościoła oo. Dominikanów.

Andrzej Bobola FOT. WIKIPEDIA

Władze rosyjskie usiłowały zapobiec beatyfikacji Boboli, jednak bez skutku. Wyniósł go w 1853 r. na ołtarze papież Pius IX. Uznanych zostało kilka cudów, potrzebnych do beatyfikacji. Z akt procesu wynotował je ks. Marcin Czermiński. Jeden z cudów dotyczył trzyletniej Katarzyny Brzozowskiej, która zachorowała na krwawą biegunkę i jej stan był beznadziejny, nie była już przytomna. Zrozpaczeni rodzice, szukając ratunku u Andrzeja Boboli, zanieśli córkę do jego trumny. Otworzono wieko. „Dziewczynka dotychczas jakoby umarła, zaczęła wyciągać rączęta wyraźnie w chęci chodzenia i zbliżenia się do trumny". Zbliżono ją do ciała męczennika, a wtedy objęła jego stopy i ucałowała. „Natychmiast tak doskonale wyzdrowiała, że nie pozostało śladu z choroby".

Jeszcze bardziej niezwykły cud zrelacjonował w 1719 r. przed komisją biskupią Piotr Dunin-Głuszyński. Był niedowiarkiem i oświadczył, że nie uwierzy w łaski za sprawą Boboli dopóty, dopóki sam się nie przekona. Niespodziewanie, bez objawów choroby, zmarła jego córka. Na różne sposoby sprawdzano, że nie żyje. Zrozpaczona matka zaczęła się modlić do męczennika. Ksiądz przyszedł z ostatnią posługą i czytał Ewangelię nad ciałem. Gdy doszedł do słów: „Nie umarła dzieweczka, ale śpi", mała Głuszyńska zaczęła się ruszać. Ożyła, „co spostrzegłszy, ludzie wszyscy krzyknęli, z płaczem dziękując Panu Bogu, a wysławiając cud chwalebnego Andrzeja Boboli i był tak wielki okrzyk, że aż go tamować musiałem" – relacjonował ojciec dziewczynki.

Po powstaniu styczniowym, w ramach represji, dominikanie zostali wypędzeni z Połocka. Ciało Boboli zostało w kościele, a kult męczennika wciąż trwał. Zaniepokojone tym władze w Petersburgu wysłały do kościoła komisję, która miała zbadać sprawę. Jeden z jej członków żartował z błogosławionego i niespodziewanie „nagle z góry, bez żadnego śladu na sklepieniu spadła mu cegła na głowę". Powiedział wówczas: „Ze świętymi nie ma żartów".

W 1919 r., gdy Połock został zajęty przez bolszewików, niektórzy z nich zamierzali sprofanować ciało Boboli. Jednak grupa żołnierzy Armii Czerwo-

eprasa.pl 448724bf47

nej otoczyła grób bł. Andrzeja. Oświadczyli, że ciała nie można tknąć, bo należy się mu taki sam szacunek jak świętym prawosławnym.

Bolszewicka władza nie miała żadnego szacunku i dla świętych prawosławnych. W ramach walki z religią wywlekano z grobów, bezczeszczono i niszczono ich ciała, chcąc wykazać ludziom, że za takie postępowanie nie następuje żadna kara Boża, bo przecież Bóg nie istnieje.

Trumnę Boboli ukryto przed zbezczeszczeniem, ale została odnaleziona. Bolszewicka komisja, widząc zachowane ciało błogosławionego, zaczęła rzucać nim o podłogę, sądząc, że się rozpadnie i że je zniszczą w ten sposób. Tak się jednak nie stało. Ciało Boboli trafiło na wystawę Ludowego Komisariatu Zdrowia. Watykan, który dostarczał wówczas pomoc humanitarną dla głodującej ludności bolszewickiej Rosji, uzyskał w zamian za nią m.in. zgodę na wydanie ciała Boboli. Bolszewicy postawili jednak warunek: nie może wrócić do Polski. Trumna Boboli znajdowała się w kościele jezuickim w Rzymie aż do jego kanonizacji w 1938 r.

Przewieziono wówczas ciało świętego męczennika do Polski, a drodze przez kraj i złożeniu go w kościele Jezuitów przy ul. Rakowieckiej towarzyszyły wielkie uroczystości. Nie był to jednak koniec peregrynacji trumny męczennika. We wrześniu 1939 r., podczas oblężenia Warszawy, oddziały niemieckie zbliżały się do Rakowieckiej. Jezuici przenieśli więc trumnę do kościoła Matki Boskiej Łaskawej na Starym Mieście. Podczas Powstania Warszawskiego toczyły się tam ciężkie walki. Żołnierze AK wynieśli trumnę z płonącej świątyni i przenieśli ją do podziemi kościoła Dominikanów. W 1945 r. relikwie Boboli wróciły do jezuitów na Rakowiecką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kanonizacja

W lipcu 1920 r. Episkopat Polski, wsparty przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, prosił ówczesnego papieża Benedykta XV o kanonizację bł. Andrzeja Boboli. Dokonał jej dopiero następny papież Pius XI, który w 1920 r. podczas ofensywy bolszewickiej był w Warszawie nuncjuszem papieskim.

Dyktat w Spa

Tomasz Stańczyk

W sierpniu będziemy obchodzić stulecie wielkiego zwycięstwa nad bolszewicką Rosją. W lipcu powinniśmy pamiętać o poprzedzającym ją upokorzeniu Polski przez Zachód. O „pierwszej zdradzie Zachodu". Taki jest tytuł głośniej książki prof. Andrzeja Nowaka.

W lipcu 1920 r., podczas ofensywy Armii Czerwonej i trwającego już od kilku tygodni odwrotu Wojska Polskiego, w sytuacji bardzo trudnej dla Polski premier Władysław Grabski poprosił podczas konferencji w Spa o pośrednictwo Zachodu w sprawie rozmów pokojowych z Rosją Lenina.

Zgodzono się na to, ale brytyjski premier Lloyd George wystawił słony, upokarzający rachunek, który Grabski podpisał. Polska miała się zdać na łaskę Zachodu w kwestii granicy wschodniej i granicy z Czechosłowacją. Żądanie, by polskie wojsko cofnęło się na tzw. linię Curzona, oznaczało w istocie, że Polska miała kończyć się na Bugu, pozostawiając na wschód od niego miliony Polaków, Lwów i Wilno – wielkie centra polskiej kultury. Był to ukłon w stronę Rosji. Owszem, Zachód wolałby, żeby była to biała Rosja, ale jeśli będzie czerwona – trudno, i tak będzie się z nią handlować. Zawsze to wielki kraj, budzący respekt, i wielki rynek. Nie to co Polska, która nie wiadomo, skąd się wzięła.

Wilno, w którym Litwini stanowili może 2 proc. mieszkańców, a na Wileńszczyźnie niewiele więcej, miało przypaść państwu litewskiemu. Zachód wycofał się z idei plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim, który dałby Polsce większość tej ziemi, bo też Polacy stanowili większość jej mieszkańców.

Grabski podpisał „straszny cyrograf", jak to określił historyk Władysław Pobóg-Malinowski, dyktat ze Spa.

Bolszewicka Rosja odrzuciła pośrednictwo Zachodu, ale zobowiązania Grabskiego pozostały wiążące dla Polski.

Zwycięstwo nad Wisłą przekreśliło granicę na Bugu. Dzięki Józefowi Piłsudskiemu, który tworzył fakty dokonane i wymyślił koncepcję „buntu" gen. Żeligowskiego, Wilno stało się polskie. Inaczej bezwzględna, mająca na celu wynarodowienie Polaków polityka lituanizacyjna trwałaby latami, a nie przez kilka miesięcy na przełomie lat 1939 i 1940, po tym jak Moskwa podarowała republice litewskiej Wilno, zresztą pod upokarzającym warunkiem zainstalowania baz sowieckich, zapowiadających kres niepodległości Litwy.

Nieodwracalną stratę Polska poniosła na Śląsku Cieszyńskim. Arbitralny podział tej ziemi dokonany przez Zachód pozostawił za granicą Polski 100 tys. naszych rodaków. Zajęcie Zaolzia w 1938 r. było przekreśleniem dyktatu Zachodu. Do dziś jeszcze zdarzają się insynuacje na temat działania ręka w rękę z III Rzeszą. Było to jednak działanie wbrew III Rzeszy. Gdyby nie zajęcie Zaolzia, Polacy tam mieszkający znaleźliby się przecież faktycznie pod niemieckim butem, jeszcze gorszym od czeskiego, a w niemieckie ręce wpadłyby huty i kopalnie na Zaolziu. To tylko z dzisiejszej perspektywy, gdy wiemy, że rok później wybuchła wojna, łatwo krytycznie oceniać zajęcie tych ziem.

Dyktat ze Spa był przejawem polityki „appeasementu". Słowo to oznacza „zaspokajanie", a także „ugłaskiwanie". Zachód chciał zaspokoić bolszewicką Rosję i ugłaskać ją kosztem Polski. Tak było w Spa w 1920 r., tak też się stało w Jałcie 25 lat później. Tak się dzieje niekiedy i po dziś dzień… ©℗

eprasa.pl 448724bf47

Montgisard 1177 r. / Ocalenie Królestwa Jerozolimskiego

„Bitwa pod Montgisard", mal. Philippe Larivière

FOT. WIKIPEDIA

Król Trędowaty zwycięża Saladyna

Maciej Rosalak

25 listopada 1177 r. niespełna stu templariuszy szarżowało jak jeden mąż i rozbiło szeregi sułtana. Bez ustanku powalając, tnąc i miażdżąc

Jerozolimski król krzyżowców Baldwin IV urodził się w 1161 r., a został koronowany jako 13-letni chłopiec 15 lipca 1174 r., cztery dni po śmierci swojego ojca Amalryka I. Oficjalnym regentem – aż do osiągnięcia przez Baldwina wieku 16 lat – był rozsądny Rajmund III hrabia Trypolisu i książę Galilei. Wychowawcą i nauczycielem chłopca uczyniono zaś światłego abp. Wilhelma z Tyru (1130–1185). Dziełem jego życia jest historia krucjat w latach 1095–1184. „Lektura pozostawia wrażenie, że był to człowiek mądry, prawy i sympatyczny" – napisał znawca epoki Steven Runciman.

Z opisów i rycin wynika, że królewicz wyrósł na wysokiego, przystojnego młodzieńca o jasnych włosach. Dzięki nauczycielowi mówił biegle po francusku, łacinie, flamandzku i arabsku. Rozumny, uduchowiony i szanowany dzięki naukom Wilhelma, a waleczny po ojcu – taki był Baldwin.

Zacny wychowawca jako pierwszy dostrzegł też objawy straszliwej choroby, która dotknęła chłopca. Pewnego dnia, obserwując go podczas zabawy z rówieśnikami, zauważył, że mimo uderzeń i uszczypnięć Baldwin w ogóle nie odczuwa bólu. Po zbadaniu chłopca okazało się, że przyczyną braku reakcji na ból była martwica prawego ramienia i dłoni. Był to czytelny sygnał, że następca tronu cierpi – zapewne od dawna – na trąd.

Po śmierci ojca chorobę jego syna i następcy na tronie starano się ukryć. Z upływem lat stało się to jednak coraz trudniejsze, gdyż choroba powodowała dotkliwe męki oraz atakowała odkryte części ciała i – jak się przypuszcza – młody człowiek mógł stracić na koniec nos, policzki, palce u rąk i nóg, a nawet wzrok.

Zjawia się Saladyn

Utworzone w 1099 r. Królestwo Jerozolimskie tworzyło wraz z kilkoma mniejszymi państewkami łacinników klasyczne państwa feudalne z systemem lennym, a ich baronowie konkurowali między sobą – podobnie jak w Europie. W pierwszej połowie XII w. poszerzali jednak granice i panowali nad terytorium rozciągającym się szerokim pasem od Bejrutu do Gazy i dalej na południe przez pustynię, aż do portu Ejlat nad Morzem Czerwonym. Ludność liczyła blisko pół miliona – katolików (120 tys.) oraz muzułmanów, żydów, Samarytan i chrześcijan wschodnich.

eprasa.pl 448724bf47

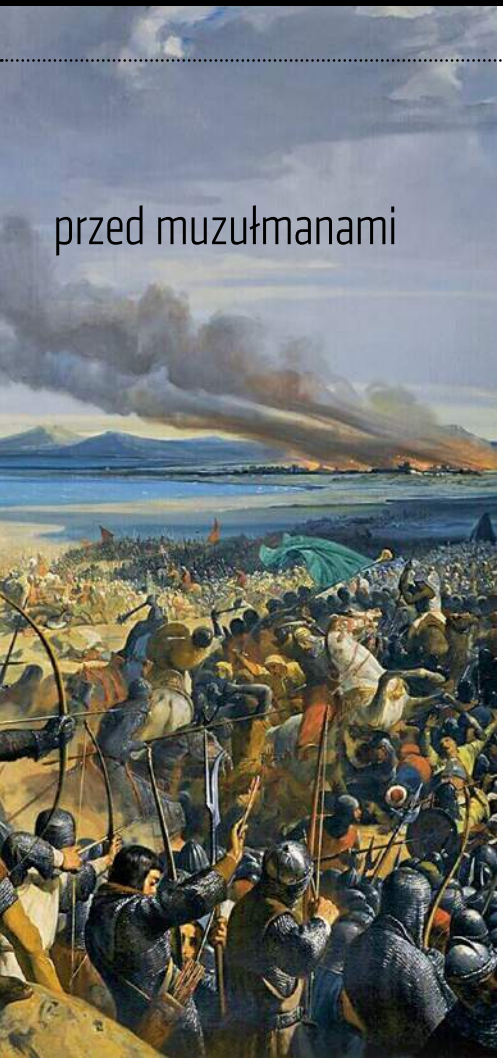

przed muzułmanami

Obronę tych posiadłości wspierali pielgrzymi przybywający do Grobu Pańskiego oraz zakony rycerskie templariuszy, joannitów i Krzyżaków. Zakonnicy ochraniali i leczyli pielgrzymów – również chorych na trąd – w zakładanych tu po raz pierwszy w dziejach szpitalach dla chorych na leprę. Granic strzegli w zamkach twierdzach. Trwanie i rozwój państw łacińskich, jak również powodzenie wypraw wojennych ułatwiały rozbicie świata islamu na szyickich Fatymidów rządzących Egiptem oraz sunnickich Turków Seldżuków z Aleppo, Mosulu i Damaszku. Łacinnicy potrafili wykorzystywać sytuację, wspierając jednych muzułmanów przeciw drugim.

Do czasu jednak. Już po półwieczu od zdobycia Jerozolimy doszło do drugiej wyprawy rycerzy-krzyżowców, ponieważ muzułmanie zdobyli Edessę i zagrażali innym łacinnikom w Ziemi Świętej. Królowie: niemiecki Konrad III i francuski Ludwik VII ponieśli jednak sromotne klęski w walkach z Turkami. Były one szokiem dla chrześcijaństwa, przekonanego dotychczas o swej militarnej wyższości i spełnianiu woli Bożej.

Do niepowodzeń łacinników na Bliskim Wschodzie przyczynił się władca Turków mosulskich Nur ad-Din, który podporządkował sobie prawie całą Syrię i dążył do zajęcia Egiptu. To doprowadziło do walk z królem jerozolimskim Amalrykiem I, który słusznie obawiał się powstania tak wielkiej potęgi w regionie. Zwycięstwo przypadło jednak Turkom. Na dodatek pojawił się wśród nich młody, wielce obiecujący Jusuf Salah al-Din, którego imię mieli później czcić muzułmanie i ze zgrozą wspominać chrześcijanie. W naszej tradycji to imię brzmi: Saladyn.

Pochodził on z kurdyjskiego klanu, którego członkowie zdobyli wysoką pozycję na dworze Nur ad-Dina. Słynął z religijności, pracowitości i ascetycznego życia. Pieniądze rozdawał zwłaszcza na sztukę i medycynę. Chętnie czytał i rozprawiał z uczonymi. Nie przeszkodziło mu to w 1167 r. zwyciężyć połączonych sił frankijsko-egipskich pod Al-Babajn, gdzie przemyślnymi manewrami wpędził przeciwników w zasadzkę. Przez 75 dni potrafił potem utrzymać garnizon Aleksandrii mimo braku żywności oraz szturmów Amalryka.

Szczęście i okoliczności – obok rozumu i wszechstronnych zdolności – mu sprzyjały i w ciągu kilku lat zrobił oszałamiającą karierę, rozciągając władzę nad rozległym państwem obejmującym Egipt i Syrię. Uznał ją kalif Bagdadu, przyznając mu tytuł sułtana. Z taką potęgą jak Saladyna nie zetknęli się jeszcze władcy chrześcijańskich państewek bliskowschodnich.

Do konfliktu z nim dał powód senior Zajordanii – Renald de Châtillon, wspierany przez mistrza templariuszy Gérarda de Ridefort. Kiedy Renald zaatakował pielgrzymów zmierzających do Mekki, sułtan poprzysiągł mu zemstę i ogłosił się przewodnikiem świętej wojny przeciwko niewiernym Frankom. Panowie z możnego rodu Lusignan niedawno przybyli do Ziemi Świętej i spragnieni byli boju oraz łupów, natomiast ci, których rody żyły tu od kilku już pokoleń, opowiadali się za sojuszem z Bizancjum i nie chcieli prowokować muzułmańskich sąsiadów. Zwani pullanami, skupili się wokół Rajmunda III. Rozsądny król Jerozolimy Baldwin IV dążył do pokoju, ale też – mimo młodego wieku i trądu w jego najgorszej leprosomatycznej odmianie – potrafił przeciwstawić się Saladynowi.

Pod Askalon!

Jako król Baldwin utrzymywał równowagę między panami z rodu Lusignan i stronnikami Rajmunda III. Musiał też – kilkakrotnie ze szkodą dla Królestwa Jerozolimskiego – brać pod uwagę stanowisko matki, która m.in. przeforsowała zawarcie małżeństwa między starszą siostrą Baldwina, księżniczką Sybillą, a Gwidonem de Lusignan. W polityce zagranicznej Baldwin dążył do zjednoczenia chrześcijan w walce z muzułmanami, ale także do zawarcia przynajmniej na pewien czas pokoju z Saladynem.

Pragmatyzm działania i jednoczesna gotowość do mężnego stawiania czoła zagrożeniom cechowały młodego przywódcę krzyżowców. Gdy więc Saladyn uznał, że czas siłą odebrać chrześcijanom Askalon – do 1153 r. fatymidzką twierdzę i port nad Morzem Śródziemnym (dziś izraelskie miasto Aszkelon w pobliżu granicy z Gazą) – Baldwin zamierzał zorganizować wielką wyprawę na ostoję sułtana, czyli Egipt.

Stanowisko regenta w królestwie oraz dowództwo nad wyprawą chciał powierzyć krewniakowi – hrabiemu Flandrii Filipowi Alzackiemu, który 2 sierpnia 1177 r. akurat przybył do Ziemi Świętej ze znacznymi siłami. Ten jednak pokrętnymi wymówkami nie tylko wymigał

Wizerunek Saladyna – ilustracja z epoki

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 448724bf47

się od przyjęcia oferty, lecz także zraził do siebie baronów i – co jeszcze gorsze – Bizantyjczyków, którzy przypłynęli do Akki z silną armią, gotową wespół z łacinnikami ruszyć przeciw Saladynowi. Widząc, że sojusz rozłazi się w szwach, odpłynęli z powrotem.

Kiedy Saladyn dowiedział się o niesnaskach w obozie chrześcijan, zebrał silną jak na te czasy i rejon armię liczącą 26 tys. zbrojnych. Pod Jerozolimę, która stała się głównym celem wyprawy, podążył w listopadzie 1177 r. brzegiem morza, kierując się na Askalon. Pozbawiony sojuszników 16-letni Baldwin nie stracił jednak w tej sytuacji ducha. Wezwał wszystkich zdolnych do noszenia broni, aby koncentrowali się pod Askalonem. Przybycie polecił też wielkiemu mistrzowi templariuszy Odonowi de Saint-Amand z 80 rycerzami zakonu wzmacniającymi załogę fortecy w Gazie. Postawił wszystko na jedną kartę – musiał wygrać starcie z Saladynem.

A Saladyn, co rzadko mu się zdarzało, zlekceważył przeciwnika. Ani nie zadbał o dobre rozpoznanie, ani dostatecznie nie ubezpieczał swoich manewrów. Myślał, że młodziutki król zamknął się w Jerozolimie i drżąc czeka na to, co nieuniknione. W rezultacie, kiedy Baldwin niepostrzeżenie dla wroga skoncentrował wojsko złożone z 500 konnych rycerzy oraz 4 tys. pieszych, sułtan tylko z częścią wojsk kierował się ku Jerozolimie, a reszta muzułmanów w rozproszeniu i bez obaw buszowała po okolicy, rabując, paląc i mordując. Nawet oddział pozostawiony pod Askalonem przyłączył się do rabusiów i Baldwin, niedostrzeżony przez wrogów, opuścił miasto wraz z towarzyszącymi mu rycerzami.

Jeździec arabski w hełmie z turbanem i w kolczudze, zbrojny w tarczę, miecz, sztylet i łuk refleksyjny RYS. MAREK SZYSZKO

Wąwóz pod Ibelinem

Młody król zdawał sobie sprawę z własnego niedoświadczenia oraz z dolegliwości ograniczających już jego sprawność. Wiedział, że musi komuś powierzyć organizację, plan i dowodzenie podczas walki. Intuicja go nie zawiodła. Dość nieoczekiwanie jako dowódcę wyznaczył Renalda de Châtillon, którego muzułmanie wypuścili dwa lata wcześniej z niewoli i który pałał do nich jeszcze większą niż zwykle nienawiścią. Wszelako wcześniej niejednokrotnie dowiódł skuteczności w walce z nimi i objął dowodzenie nad maleńką armią Franków.

Według jego planu miała ona wyprzedzić Saladyna i zagrodzić mu drogę ku Jerozolimie pod Ibelinem – zamkiem rodu o tymże nazwisku, zbudowanym w 1141 r., aby kontrolował poczynania Fatymidów ze znajdującego się wówczas w ich rękach Askalonu. I tak chrześcijanie ruszyli na spotkanie z nieprzyjaciółmi, a relikwie Świętego Krzyża, trzymane przez betlejemskiego biskupa, jak zawsze prowadziły ich do walki.

Brzegiem morza obeszli znajdujących się w pobliżu muzułmanów, a po zwrocie w głąb lądu zajęli 25 listopada 1177 r. wzgórze Montgisard pod Ibelinem. Tam Renald de Châtillon ustawił konnych i pieszych w szyku bojowym. Baldwin IV opuścił lektykę, upadł na kolana przed relikwiami Świętego Krzyża i pogrążył się w żarliwiej modlitwie o zwycięstwo. Widok ten, jak mówili świadkowie, do głębi poruszył rycerzy. Wielu miało łzy w oczach, modliło się wraz z królem, a serca ich przenikała wola walki aż do ofiary życia u boku tego cierpiącego, a tak pełnego wiary młodzieńca.

I wtedy nadszedł Saladyn ze swymi niczego złego niespodziewającymi się wojownikami. A już na pewno nie Franków... Gdy wojska sułtana zaczęły pokonywać płynący dnem wąwozu strumień, jak lawina głazów stoczyli się ze zbocza wzgórza Montgisard rycerze krzyżowi. Ku jeszcze większemu zaskoczeniu wyznawców proroka na czele chrześcijańskiej jazdy pędził konno sam ich król! Przywiązany do wierzchowca, z obandażowanymi dłońmi dzierżącymi miecz i uździenicę, dał przykład niezłomnego męstwa!

Wielką rolę już na początku bitwy odegrał oddział templariuszy. Scenę ich szaleńczej szarży ukazał – bodaj jako jedyny – szwedzki film „Arn. Rycerz templariuszy". Najpierw rycerze zakonni modlą się przed relikwią Świętego Krzyża, a po chwili ruszają do boju, kompletnie zaskakując wojaków Saladyna. Do zaskoczenia przyczynił się szyk „w klin", czyli w ścięty trójkąt, nieznany dotąd wrogom. Aby oddział jazdy tak szarżował, zgrani i gotowi na wszystko jeźdźcy musieli mieć konie najwyższej próby. Oto relacja naocznego świadka spisana przez angielskiego kronikarza Rudolfa z Diceto:

Odon, Mistrz Rycerstwa Świątyni, niczym drugi Juda Machabeusz miał przy sobie osiemdziesięciu czterech rycerzy swojego zakonu w osobistej kompanii. Ruszył do boju wraz ze swymi ludźmi, umocniony znakiem krzyża. Szarżowali jak jeden mąż, prąc przed siebie. Na widok oddziału, w którym Saladyn wieloma mężami dowodził, śmiało ruszyli w jego stronę, rozbili jego szeregi, bez ustanku powalając, tnąc i miażdżąc. Sułtan był nimi zachwycony, widząc swoich ludzi rozpierzchłych na boki, umykających w popłochu, nieustannie napotykających ostrza mieczy. Powziął jednak baczenie na własne bezpieczeństwo i umknął, kolczugę dla szybkości zrzuciwszy, dosiadł rączego wielbłąda i ledwie uszedł z kilkorgiem swych ludzi.

Na ucieczkę nadszedł najwyższy czas. Gdyby nie gwardia Mameluków, sułtan zostałby zapewne usieczony przez jednego z rycerzy, który już nawet podniósł nań miecz. Niepokonany dotąd Saladyn uciekał (aż do Egiptu!) podobnie jak topniejące w oczach resztki jego armii. Podczas paniki straty uciekających niebywale rosną. Tak też było pod Montgisard. Tylko co 10. wojownik

eprasa.pl 448724bf47

Brat rycerz joannitów w hełmie z nosalem, kolczudze i habicie. Włócznia z proporcem zakonu św. Jana Chrzciciela, miecz i tarcza stanowią uzbrojenie

RYS. MAREK SZYSZKO

sułtańskiej armii ocalał – resztę wybito lub pojmano (zresztą z pomocą miejscowych Beduinów). Straty chrześcijan wyniosły ok. 1,1 tys. zbrojnych, co stanowiło wprawdzie aż czwartą część ich wojska, ale zaledwie 10. część strat muzułmańskich, obliczanych na 22–25 tys. W taborze sułtana zdobyto bogate łupy, ale – co więcej – uwolniono także pojmanych wcześniej przez muzułmanów jeńców.

Zagrożenie najazdu zażegnano, a Jerozolima ocalała. Osiągnięto więc nie tylko taktyczne zwycięstwo, lecz także cel strategiczny. Przynajmniej na jakiś czas. Szesnastolatek na tronie udowodnił, że jest godny tytułu Obrońcy Grobu Pańskiego. Jak mówili rycerze uczestniczący w boju, wspomagał ich widok mężnego króla, ale i św. Jerzy, którego widzieli wśród walczących.

Osiem lat później, w wieku zaledwie 23 lat, Baldwin IV zwany Trędowatym już nie żył. Jego następca Gwidon z Lusignan do pięt mu nie dorastał, a sprawny w wojennym rzemiośle Renald z Châtillon był też nieobliczalnym rzezimieszkiem. To główni sprawcy nieszczęść spadających wówczas na krzyżowców. Oni to pozwolili Saladynowi zwabić wojska chrześcijan na pustynne, bezwodne bezdroża pod Hittin, gdzie muzułmanie umierających z pragnienia rozbili i wyrżnęli, a następnie zdobyli bezbronną Jerozolimę (1187 r.). Tak rozpoczął się bezpowrotny upadek chrześcijaństwa na Ziemi Świętej. Trąd przerwał wcześniej życie jedynego człowieka zdolnego, aby do tego nie dopuścić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Hiszpanie to dranie

Maciej Rosalak

Polityka historyczna silnej nacji polega – czego doświadczamy na własnej skórze – na obciążaniu słabszego narodu swoimi winami. W anglosaskim ujęciu Hiszpanie to byli straszni ludzie i, wstyd powiedzieć, katolicy. Inkwizycja wysyłała na stosy, a konkwistadorzy okrutnie mordowali Azteków i Inków. Mówili tak ci, którzy dokonywali rzezi katolików w Anglii i Irlandii. Konkwistadorzy faktycznie byli chciwi, rabowali i krwawo rozprawiali się z tubylcami, ale królowie hiszpańscy – Izabela Kastylijska, a potem Karol I (cesarz Karol V) – zakazywali brania Indian w niewolę. Pięciuset nieposłusznych Hiszpanów skazano na banicję, a prawy dominikanin Bartolomé de las Casas z królewskiego nadania otaczał Indian opieką.
O dokonaniach Anglosasów w Ameryce Północnej – od purytańskich kolonistów brytyjskich do amerykańskich osadników i żołnierzy – niech zaświadczy kilka cytatów.

W Massachusetts purytanie świętowali zwycięstwo, a jeden z ich dowódców wezwał do modłów „za wysłanie tego dnia 600 dusz do piekła". Gubernator Bradford przyznał, że był to wprawdzie „straszliwy widok oglądać ich smażących się w płomieniach oraz strumienie krwi wygaszające ogień", ale konkludował, iż była to „słodka ofiara dla zwycięstwa, za które dziękowaliśmy Bogu"

(prof. M.J. Rozbicki o rzezi plemienia Pequot w 1637 r.)

Gdzie są dzisiaj Indianie Pequot? Gdzie są Narragansett, Mohikanie, Pokanoket i wiele innych wielkich plemion naszego narodu? Zniknęły wskutek zachłanności, skąpstwa i opresji białego człowieka; zniknęły tak, jak znika śnieg od letniego słońca. Czy możemy pozwolić, by zniszczono nas bez walki; opuścić nasze domy, nasz kraj dany nam przez Wielkiego Ducha?

(Tecumseh, wódz Shawnee i powstania przeciw Amerykanom na początku XIX w.)

Przemoc białych okazała się dla rasy indiańskiej zgubna. Przed przybyciem białych do Nowego Świata ludy zamieszkujące Amerykę Północną żyły spokojnie w puszczy. Indianie, poddani wszystkim niedogodnościom dzikiego życia, mieli cnoty i przywary właściwe ludom niecywilizowanym. Zepchnąwszy indiańskie plemiona w głąb dzikich terytoriów, Europejczycy skazali je na życie wędrowne, pełne nędzy i nieszczęść.

(szef dyplomacji II Republiki Francuskiej Alexis de Tocqueville)

Kiedy patrzę teraz w przeszłość z tego wysokiego wzgórza mojej starości, ciągle widzę zmasakrowane kobiety i dzieci, leżące jedne na drugich,albo rozrzucone nad krętym wąwozem. Widzę tak jasno, jak widziały to moje młode oczy. I widzę, że coś jeszcze umarło wtedy, w krwawym błocie i zostało pogrzebane przez śnieżną zamieć. Umarło tam ludzkie marzenie. Pień narodu został złamany i porozrzucany. Nie ma już rdzenia, a święte drzewo jest martwe.

(Indianin Czarna Chmura o masakrze dokonanej przez US Army nad Wounded Knee w grudniu 1890 r.)

Legenda antyhiszpańska w swej północnoamerykańskiej wersji (w europejskiej odnosi się przede wszystkim do inkwizycji) pełniła rolę wygodnego wentyla bezpieczeństwa. Domniemana masakra Indian, dokonana przez Hiszpanów w XVI wieku, miała ukryć rzeź dokonaną przez Amerykanów z Północy na zachodniej granicy w wieku XIX. Protestancka Ameryka zdołała uwolnić się od odpowiedzialności za swoją zbrodnię.

[historyk francuski Pierre Chaunu, wyznania kalwińskiego (1923–2009)]

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 448724bf47

Czopy, lane kule i działomiar

Michał Mackiewicz
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Renesansowa artyleryjska taktyczno-technologiczna rewolucja

W średniowieczu artyleria ogniowa była jedynie kosztownym dodatkiem w arsenałach ówczesnych armii – orężem o minimalnym wpływie na przebieg działań bojowych. Pewien postęp zaznaczył się w początkach XV w. i związany był z czeskimi husytami, ale to dopiero renesans ukazał cały jej potencjał i wkrótce przekształcił artylerię w jeden z trzech głównych, obok piechoty i kawalerii, rodzajów broni.

Wyprawą króla Francji Karola V do Włoch w 1494 r. rozpoczęły się trwające kilkadziesiąt lat tzw. wojny włoskie, w trakcie których doszło do wielu militarnych rewolucji. Wojsko Karola nazywane bywa przez historyków pierwszą nowoczesną armią, w której na dużą skalę doszło do koordynacji działań artylerii, piechoty i kawalerii. Skuteczność tej pierwszej wynikała z kilku innowacji, w tym z zastosowania żelaznych kul zamiast kamiennych oraz wprowadzenia czopów balansujących odlewanych razem z lufami. Ponieważ żelazo ma znacznie większy ciężar gatunkowy niż kamień, nowa amunicja umożliwiła zmniejszenie kalibrów, a co za tym idzie – wymiarów luf. Dzięki czopom osadzonym w panwiach łoża można było swobodnie nadawać pożądany kąt podniesienia – wykorzystywano w tym celu drewniany klin wsuwany pomiędzy sworzeń łączący boczne ściany łoża a tylną część lufy.

Ze zmniejszeniem kalibru luf szły w parze ich wydłużenie i wzmocnienie ścian. Lepszy materiał, którym był udoskonalony spiż (stop miedzi, cyny, cynku i ołowiu), pozwolił na zastosowanie znacznie większego ładunku prochu. Znano już wówczas proch ziarnisty, znacznie trudniejszy w produkcji, ale o zdecydowanie lepszych parametrach niż dotychczas używany proch miałki. Długa lufa dała dostateczny czas potrzebny do całkowitego spalenia się prochu i w efekcie pozwoliła znacznie lepiej wykorzystać prężność gazów.

Pojawiło się klasyczne dwukołowe drewniane łoże, którego żywot trwać będzie aż do wieku XIX. Wszystko to sprzyjało ograniczeniu rodzajów sprzętu, a nade wszystko wpłynęło na coraz lepszą efektywność ognia i mobilność na polu walki. Typ dział określano według wagi pełnej kuli żelaznej podawanej w funtach (wagomiar). Siłom Karola V nie były w stanie oprzeć się żadne zamki ani twierdze. Żelazne kule bijące w jeden punkt u podstawy murów powodowały jego szybkie zawalenie się. Zmodernizowana artyleria zapewniała także przewagę w polu, czego dowiodła bitwa pod Fornovo (1495 r.). Rola dział zwiększała się wraz z kolejnymi walnymi starciami okresu wojen włoskich (Cerignola 1503 r., Rawenna 1512 r.).

W odpowiedzi na potężniejącą artylerię dochodzi także do epokowych zmian w budownictwie obronnym. W połowie XVI w. rozpoczyna się era bastionu, czyli dzieła fortyfikacyjnego założonego na planie pięcioboku, niskiego, wysuniętego przed lico murów (kurtyn) i doskonale dostosowanego do ogniowej obrony przedpola oraz flanek, a więc niwelującego problem martwych pól ostrzału. Budowa fortyfikacji przestała być sztuką, a stała się inżynieryjnym wyzwaniem opartym na matematycznych obliczeniach. Także artyleria przeistoczyła się w naukę, a renesansowi teoretycy, tacy jak Włoch Niccolò Tartaglia, zaczęli zgłębiać tajniki balistyki. Upowszechniły się pierwsze przyrządy celownicze, w tym kwadrant umożliwiający nadanie żądanego kąta podniesienia lufy. Do określenia kalibru zastosowano tzw. skalę Hartmanna (działomierz). ©℗

eprasa.pl 448724bf47

Parabellum Sosabowskiego

W 1960 r., wraz z częścią zbioru Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, trafiły do Muzeum Wojska Polskiego pamiątki po gen. Stanisławie Sosabowskim – dowódcy polskiej 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Znalazł się wśród nich pistolet samopowtarzalny Parabellum wyprodukowany przez koncern Deutsche Waffen und Munitions Fabriken w 1917 r. Zdobyty we wrześniu 1944 r. w trakcie operacji „Market-Garden" i podarowany niegdyś gen. Sosabowskiemu przez podkomendnych, eksponowany jest na wystawie stałej MWP, tuż obok oryginalnego battle dressu generała.

Pistolet jest wersją z długą lufą, nazywaną popularnie artyleryjską. Broń ta samym swym wyglądem budzi respekt niczym Magnum .44 „Brudnego Harry'ego". Dwudziestocentymetrowa lufa, skalowany celownik, a przede wszystkim skórzano-drewniana kolbokabura czynią go pistoletem niezwykłym. Broń wprowadzono do uzbrojenia armii niemieckiej w 1913 r. Mimo że pomyślany był przede wszystkim jako kompaktowa broń dla artylerzystów, Lange P.08, bo tak brzmiała oficjalna niemiecka nazwa, okazał się doskonałym narzędziem walki okopowej, zwłaszcza od 1917 r., kiedy opracowano nowy 32-nabojowy magazynek ślimakowy – Trommelmagazin. Drugorzędna broń stała się pierwszoliniowym orężem ogólnego przeznaczenia. ©℗

Uzbrojenie napoleońskiej kawalerii

Francuska kawaleria doby napoleońskiej składała się z formacji lekkich, czyli huzarów i strzelców konnych, pułków liniowych (dragoni, lansjerzy) oraz ciężkich kirasjerów i karabinierów. Huzarzy, strzelcy konni i lansjerzy uzbrojeni byli w doskonałe szable lekkiej kawalerii AN XI (wzór roku 11, wprowadzony w 1802 r.) o charakterystycznej mosiężnej trójkabłąkowej oprawie rękojeści i w stalowej pochwie, karabinki kawaleryjskie AN IX oraz parę pistoletów (AN IX lub AN XIII). Dodatkowo lansjerzy wyposażeni byli w lance. Renesans tej broni nastąpił za sprawą Polaków – mistrzów we władaniu tym orężem. Właśnie lancy z Legii Nadwiślańskiej wzorowano model francuski. Według rozporządzenia Napoleona z 1811 r. miał on wraz z grotem mierzyć 2,65 m. Dragoni posiadali pistolety (wymienionych wyżej wzorów), karabin dragoński 1777 AN IX (nieco krótszy od standardowego piechotnego) i pałasz AN IX w skórzanej pochwie. Głowę chronił mosiężny hełm z długą grzywą z końskiego włosia. Uzbrojenie zaczepne kirasjerów i karabinierów w dobie wyprawy rosyjskiej (1812 r.) składało się z pary pistoletów, karabinka kawaleryjskiego AN IX z bagnetem i pałasza (AN XI, w stalowej pochwie). Formacje ciężkie wyróżniały się dodatkowo uzbrojeniem ochronnym w postaci stalowych kirysów – kirysy karabinierskie (na zdjęciu) kryte były dodatkowo mosiężną blachą, oraz hełmów (stalowe u kirasjerów, mosiężne u karabinierów) zaopatrzonych w grzebienie i długie barwne kity. ©℗

Karabin spod Ankony

Chociaż podstawowym uzbrojeniem niemieckiej piechoty w czasie drugiej wojny światowej były powtarzalne karabiny Mauzera (K98k), to wielu żołnierzy używało innej broni, w tym karabinów samopowtarzalnych G43. Konstrukcja inspirowana sowieckimi samozariadkami i działająca na zasadzie odprowadzania gazów przez boczny otwór w lufie miała 10-nabojowy magazynek i strzelała standardowym nabojem karabinowym kal. 7,92 mm. Jeden z takich karabinów, znajdujących się w kolekcji MWP związany jest z bitwą o włoską Ankonę stoczoną przez polski 2. Korpus w lipcu 1944 r. Według relacji por. Józefa Trendoty, oficera do spraw technicznych kompanii sanitarnej 3. Dywizji Strzelców Kresowych, karabin został „zniszczony w walce wręcz pod Ossimo we Włoszech w akcji na Anconę w 1945 r. [...] odebrany niemieckiemu sierżantowi Lewińskiemu z Berlina, który walczył do ostatniej chwili i został zabity [pisownia oryginalna – przyp. red.]". Trofeum podarowane zostało przez strzelca Łozińskiego. Oczywiście data w relacji jest błędna, chodzi o rok 1944, a do walk o Osimo doszło w dniach 5–6 lipca. Karabin wyprodukowany został w 1944 r. w firmie Berlin-Lübecker, o czym informuje sygnatura z lewej strony komory zamkowej –duv44.Pozbawiony jest drewnianej osady – łoża z kolbą i nakładki. ©℗

eprasa.pl 448724bf47

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

OTOCZONY CZTEREMA RZĘDAMI MURÓW I MAJĄCY 39 WIEŻ OBRONNYCH PSKÓW BYŁ NAJWIĘKSZĄ TWIERDZĄ IWANA GROŹNEGO. SZACUJE SIĘ, ŻE MIASTA BRONIŁ KILKUNASTOTYSIĘCZNY GARNIZON WSPARTY PRZEZ OKOŁO DZIESIĘĆ TYSIĘCY UZBROJONYCH MIESZCZAN. POD KONIEC SIERPNIA 1581 ROKU POD MURAMI PSKOWA STANĘŁY WOJSKA POLSKIE I LITEWSKIE WZMOCNIONE LICZNYMI ODDZIAŁAMI ZACIĘŻNYMI, DOWODZONE PRZEZ KRÓLA STEFANA BATOREGO.

ROZPOCZĘŁO SIĘ OBLĘŻENIE I PIERWSZE JEGO DNI DAWAŁY NADZIEJĘ NA RYCHŁE ROZSTRZYGNIĘCIE. 7 WRZEŚNIA W WYNIKU OSTRZAŁU ARTYLERII UDAŁO SIĘ ZNISZCZYĆ CZĘŚĆ MURU POMIĘDZY BASZTAMI POKROWSKĄ I ŚWINUSKĄ. NASTĘPNEGO DNIA PRZYPUSZCZONO SZTURM I ZDOBYTO BASZTY.

JEDNAK OBROŃCY ZDOŁALI JE WYSADZIĆ, A POD GRUZAMI ZGINĘŁO KILKUSET ŻOŁNIERZY POLSKO-LITEWSKIEJ ARMII.

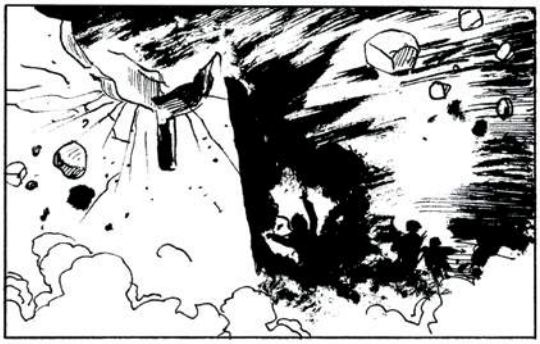

Z POCZĄTKIEM PAŹDZIERNIKA PRZYSZŁY OPADY ŚNIEGU ORAZ MROZY, NA CO WOJSKA BATOREGO NIE BYŁY PRZYGOTOWANE. ZACZYNAŁO BRAKOWAĆ RÓWNIEŻ PROCHU I AMUNICJI, ROZPOCZĘŁY SIĘ DEZERCJE. NASTROJÓW WŚRÓD ŻOŁNIERZY NIE POPRAWIŁ WYJAZD KRÓLA DO POLSKI. OD 1 GRUDNIA KOMENDĘ PRZEJĄŁ JAN ZAMOYSKI.

ZAMOYSKI PRÓBOWAŁ UCIEC SIĘ DO PODSTĘPU. NA POCZĄTKU STYCZNIA 1582 ROKU ZORGANIZOWAŁ AKCJĘ Z TRZYMANYM W OBOZIE JEŃCEM. POLAK UDAJĄCY SZPIEGA UWOLNIŁ WIĘŹNIA I UMOŻLIWIŁ MU WYNIESIENIE SKRZYNKI Z WAŻNYMI DOKUMENTAMI, KTÓRE MIAŁ DOSTARCZYĆ DO TWIERDZY. W RZECZYWISTOŚCI SKRZYNKA BYŁA ZMYŚLNĄ BOMBĄ, A JEJ PODWÓJNE DNO ZOSTAŁO WYPEŁNIONE PROCHEM.

WYBUCH BYŁ NA TYLE POTĘŻNY, ŻE SŁYSZANO GO W POLSKO-LITEWSKIM OBOZIE. JEDNAK BĘDĄCY CELEM GŁÓWNODOWODZĄCY OBRONĄ KSIĄŻĘ IWAN SZUJSKI NIE ODNIÓSŁ POWAŻNYCH OBRAŻEŃ. STAWAŁO SIĘ JASNE, ŻE PONAD 30 SZTURMÓW NIE PRZYNIOSŁO I NIE PRZYNIESIE JUŻ EFEKTU W POSTACI ZDOBYCIA TWIERDZY. DOPROWADZONO JEDNAK DO ROZEJMU W JAMIE ZAPOLSKIM, KTÓRY PODPISANO 15 TYCZNIA 1582 ROKU. NA JEGO MOCY POLSKA ODZYSKAŁA INFLANTY ORAZ ZIEMIĘ POŁOCKĄ.

eprasa.pl 448724bf47

W ostatnim czasie po raz kolejny powrócił Adolf Bocheński. Najpierw za sprawą Jana Sadkiewicza i wydawnictwa Universitas, a teraz – któryś raz z rzędu – dzięki Ośrodkowi Myśli Politycznej w Krakowie. Krakowscy neostańczycy przypomnieli kanoniczne studium Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją" z 1937 r. i całą serię tekstów o polityce zagranicznej z lat 1938–1939 (w opracowaniu dr. Macieja Zakrzewskiego).

Sławomir Cenckiewicz

Powroty Adolfa Bocheńskiego

Bocheńskiego nigdy za wiele, a i lektura jego tekstów wciąż potrafi być inspirująca. Tak jest przynajmniej w moim przypadku, pewnie ze względu na ciągnące się latami spory historyczne o nagłą reorientację i zmianę kierunku polityki zagranicznej przez Józefa Becka na początku 1939 r. Myliłby się jednak ten, który uznałby lekturę Bocheńskiego jedynie za historyczną. Bocheński jest współczesny i ważny, bo przypomina prawidła oczywiste i ponadczasowe: że w życiu narodów honor ma znaczenie może najmniejsze, a cechuje go przede wszystkim zmienność konstelacji międzynarodowych i relatywizm polityki zagranicznej, w której nic nie jest ani ustalone na zawsze, ani zdeterminowane przez geografię, a tym bardziej przez jakąkolwiek ideologię!

Ów relatywizm wydaje mi się kwestią najważniejszą. Chodzi tu o to, co Bocheński nazwał „zmiennością polityki zagranicznej". „Jeżeli przyjmiemy, że polityka państw jest zmienna i że ta, która dziś np. nie zwraca się przeciw nam, może zmienić się w odwrotną, to jednocześnie zachwieją się podstawy teorematu Dmowskiego, który opierał się na założeniu, że Niemcy są zawsze »złym« sąsiadem Polski, Rosja zawsze »dobrym«" – pisał w „Między Niemcami a Rosją". A więc, jak twierdził Bocheński, należy się liczyć ze „zmianami zarówno w polityce niemieckiej, jak i w polityce rosyjskiej. Możliwe i prawdopodobne są zarówno dobre, jak i złe stosunki między tymi państwami a Polską. Nie ma jakichś stałych i koniecznych stosunków, ale należy się liczyć z nawrotami zarówno ekspansji niemieckiej, jak i ekspansji rosyjskiej przeciw Polsce".

> Osłabienie jednego z dwu naszych wielkich sąsiadów **nie może być uważane za niekorzystne dla Polski**

Z powyższego „filozofowania" Bocheńskiego płynie to, co stało się fundamentem jego myśli i polską racją jednocześnie:

– „osłabienie jednego z naszych sąsiadów przez drugiego", przeciwko czemu występowała koncepcja równowagi (czyli „polski przykład zamiłowania w urobionych formułkach, kwietyzmu i niechęci przemyślenia rzeczy do końca");

– „osłabienie jednego z dwu naszych wielkich sąsiadów nie może być uważane dla Polski za niekorzystne";

– wspieranie antagonizmu niemiecko-rosyjskiego, gdyż „historia nieubłaganie zdąża do nowego porozumienia niemiecko-rosyjskiego";

– rozbicie Rosji na kilka państw narodowych (z jednoczesną krytyką polityki francuskiej: Francja zawsze poświęca Polskę, kiedy zyskuje silniejszego sojusznika przeciwko Niemcom, więc rozbita Rosja daje Polsce pozycję siły w relacjach z Francją, tak jak po 1918 r.);

– w warunkach politycznych roku 1937 wybór był jeden: III Rzesza, bo Hitler – bez względu na późniejszy przebieg wydarzeń – „spowodował korzystną dla Polski dzisiejszą koniunkturę" i wzmocnienie jej kosztem Sowietów przy wszystkich ograniczeniach związanych ze zrozumiałą w takiej sytuacji dysproporcją potencjałów, a więc i nieproporcjonalnością sojuszu polsko-niemieckiego.

W zasadzie tylko punkt ostatni stracił swoją aktualność. Pozostałe natomiast, ze względu na bieżącą aktualność zagrożenia rosyjskiego, wyznaczają zasady naszej racji stanu. Oczywiście rozwój techniki wojskowej, globalność potęgi amerykańskiej i NATO redefiniuje po części determinizm geopolityczny położenia Polski między Niemcami a Rosją, ale to wcale nie znaczy, że „osłabienie jednego z dwu naszych wielkich sąsiadów nie może być uważane dla Polski za niekorzystne". W obecnej sytuacji jest oczywiste, że osłabić należy Federację Rosyjską, a więc nie konfliktować się z Zachodem, z Unią Europejską, z Niemcami, a tym bardziej ze Stanami Zjednoczonymi, bo wszystko to może „zaowocować" ponownym resetem i zacieśnieniem relacji Waszyngtonu, Berlina i Brukseli z Moskwą. Ofiarą takich manewrów musi być zawsze Polska.

I na tym właśnie polega aktualność myśli Adolfa Bocheńskiego! ©℗

eprasa.pl 448724bf47

UNIKALNE SPOJRZENIE NA WIELKĄ WOJNĘ OJCZYŹNIANĄ OCZAMI ZWYKŁEGO ŻOŁNIERZA ARMII CZERWONEJ

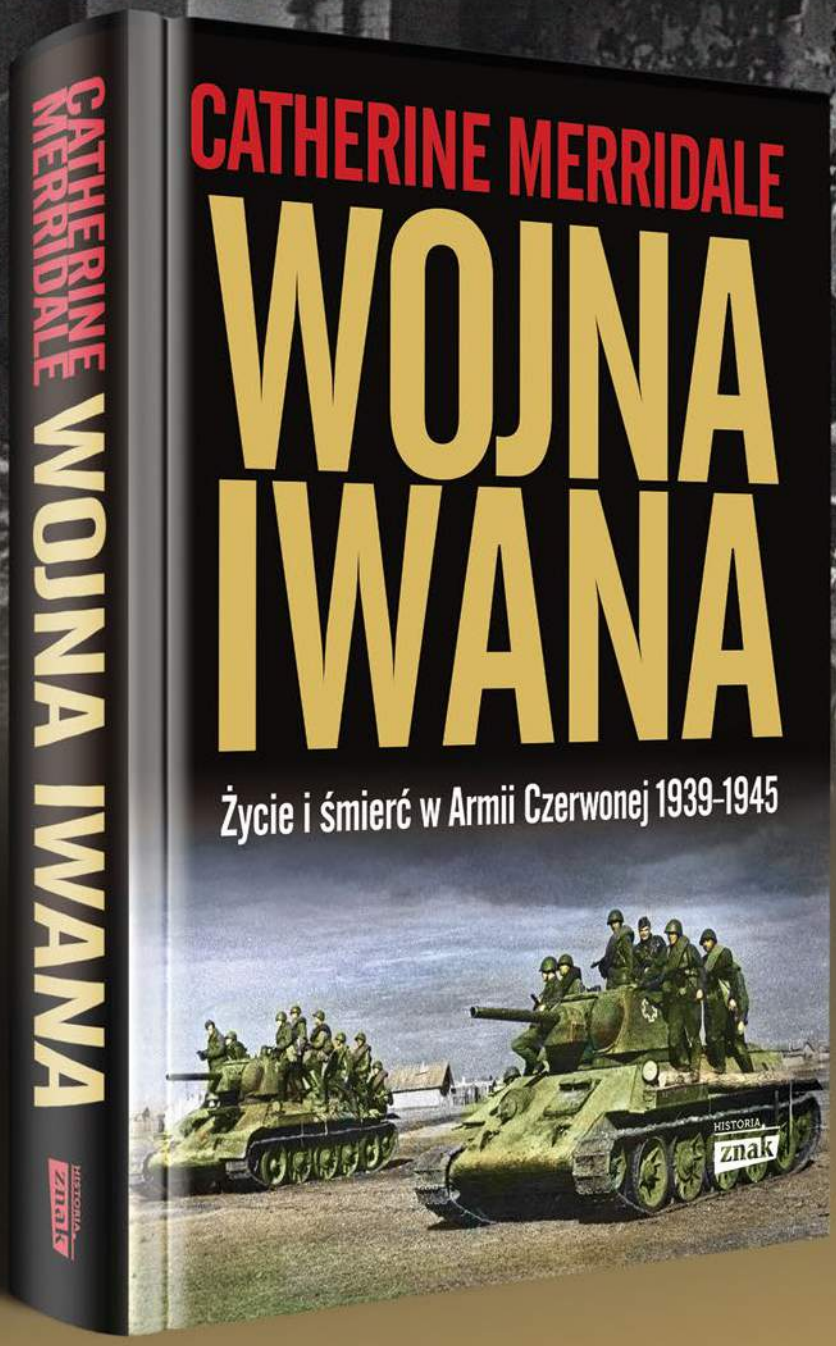

PREMIERA: CZERWIEC 2020

eprasa.pl 448724bf47